

Ks. JÓZEF TISCHNER
Ks. HENRYK ŁUCZAK

JAK ŻYĆ?

MATERIAŁY POMOCNICZE
DO KATECHIZACJI MŁODZIEŻY KLASY IV
SZKOŁY ŚREDNIEJ

ŁÓCKIE WYDAWNICTWO DIECEZJALNE

ŁÓCK 1985

Ks. Józef Tischner

**JAK ŻYĆ?
CZY WARTO I NALEŻY DOBRZE CZYNIĆ?**

Nikt nie może być zapomniany, kto był wielki na świecie; ale każdy był wielki na swój sposób, a każdy w zależności od wielkości tego, co umiłował. Albowiem ten, kto umiłował siebie, był wielki sam przez siebie, ten, kto kochał ludzi, stał się wielki przez swoje oddanie, ale ten, kto Boga ukochał, stał się największy ze wszystkich.

Soeren Kierkegaard

Ja jestem drogą i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej jak tylko przeze Mnie.

Ewangelia wg św. Jana 14,6

1. O POWINNOŚCI ETYCZNEJ

Kto czytał „Zbrodnię i karę” Dostojewskiego, z łatwością przypomni sobie sytuację, jaka wytworzyła się w chwili, gdy za popełnione przez Raskolnikowa morderstwo ktoś inny, zupełnie niewinny, został skazany na katorgę. Raskolnikow odkrywa, że w jego duszy pojawiło się wezwanie: Powiniennem oto iść do sądu i wyznać całą prawdę.

Kiedy jednego ze zdobywców Mont Everestu zapytano, dlaczego tam szedł, odpowiedział, że powinien iść, bo to jest najwyższy szczyt świata.

Emanuel Kant stwierdzał, że dwie rzeczy na świecie wprawiają go w zdumienie: niebo usiane gwiazdami nad naszymi głowami i prawo moralne istniejące w nas.

Istnieje w nas przeżycie powinności. Zobowiązuje nas ono do wykonania czegoś, co czasami jest dla nas nieprzyjemne, czasami najzupełniej niekorzystne. Powinniśmy pomóc choremu. Powinniśmy ustąpić miejsca w kolejce inwalidzie. Powinniśmy oddać to, co pożyczyliśmy, chociaż pożyczający dawno o tym zapomniał. Powinniśmy zdobyć się na jakiś wielki, trudny wysiłek...

Przeżycie powinności zniewala nas do czegoś. Wiąże nasze życie z jakąś wartością. Co to jest wartość? Skąd się wzięła? Jak ją nazwać? Przecież nie jest nią ani to, co korzystne, ani to, co przyjemne, ani to, co w wolny sposób wybrane. Gdzie jest zatem ta wartość?

Etyka chrześcijańska odpowie tutaj wskazaniem na dwie podstawowe sfery wartości: Najwyższą wartością będzie według niej Bóg i człowiek. Dochodzimy tutaj do zasadniczego nerwu chrześcijańskiej nauki o podstawach moralności. Ma się nam teraz oto ujawnić ostateczne źródło rozstrzygnięć, w którym coś nazywamy złem, a coś nazywamy dobrem. A zatem Bóg i człowiek.

Co to bliżej znaczy?

Bóg jest najwyższą i absolutną wartością, która wzbudza

w człowieku wszelkie zobowiązania etyczne i stanowi zobowiązanie wszelkich zobowiązań. Bóg nie jest żadnym potężnym mózgiem elektronicznym, zamkniętym w sobie i odizolowanym tysiącami izolatorów od otaczającego Go świata, zaabsorbowanym mechanizmem własnego życia elektronicznego, dobrowolnie ślepy na świat stworzeń. Bóg jest Osobą, a zatem żyjącym dobrem najwyższym, najwyższą radością, najwyższym pięknem. Wszelkie dobro, piękno i radość rozsiane w stworzeniu jest jedynie przedsmakiem tego, co się znajduje w Bogu. Stąd to szukanie wielkiego dobra, wielkiego piękna i wiecznej radości kończy się znalezieniem Boga.

W potocznym życiu wiemy świetnie, że powinniśmy chronić ginące piękno. Podobnie trzeba nam miłować ludzi. Przez dobroć zasługuje się na miłość. Powinniśmy się cieszyć, gdy nas ktoś obdarzy zaufaniem. Nie pytamy wtedy, czy to przyjemne, czy korzystne, wesołe. Wiemy, że trzeba, by to, co warte miłości, było miłowane.

I tak jest z Bogiem.

Bóg jest najwyższą wartością etyczną, bo jest najwyższym dobrem. Stąd płynie stare przykazanie: „Będziesz miłował Pana Boga twego z całego serca swego i ze wszystkich sił...” Te słowa nie znaczą nic innego, jak tylko to: dobre jest to, co prowadzi nas rzeczywiście do Boga, złe jest to, co oddala od Boga.

Druga zasada etyczna oparta jest na drugiej wartości: na człowieku. Zastanówmy się bliżej nad tą sprawą. Czym jest nasz bliźni? Przede wszystkim nie wnikiemy w zakamarki jego duszy tak, by ją mieć w pełnym świetle, i nie wyczerpiemy wszystkich pokładów bogactwa, jakie w niej są. „Dno” naszego bliźniego jest dla naszego rozumu nieosiągalne. Osiągalne jest dla miłości, ale mniejsza o to w tej chwili. Poza tym, bliźni to obraz Boga i cena Krwi Jezusa. To dusza i ciało, to wolność, świętość, tajemnica powołania. Czyli bliźni to istota podobna do nas. Ten bliźni stanowi znowu pewną wartość. Jest godny podziwu w tym, czym jest, i w tym, czym mógłby być. Jest godny szacunku. Ponieważ jest dzieckiem Bożym, nasza miłość do Boga musi iść przez miłość ku niemu.

I oto na tej rzeczywistości opiera się drugie twierdzenie chrześcijańskiej etyki: Miłuj bliźniego jak siebie samego. Inaczej: oddaj bliźniemu to, co mu się należy; inaczej: dobre jest to, co jest oddaniem bliźniemu tego, co mu się należy.

Czy nie dałoby się jednak jakoś obydwu zasad zamknąć w jednej? Czy nie można wyszukać jednej podstawowej zasady, z której płynęłaby cała etyka chrześcijańska?

O człowieku nie można powiedzieć, że jest, albowiem człowiek jest w stadium ciągłego stawania się. Sens tego stawania się leży w tym, by człowiek z osoby, jaką jest przez swoją naturę, przekształcił się w o s o b o w o ś ć, to znaczy, by doszedł do pełnego rozkwitu w swych władzach duchowych i cielesnych. Im bardziej człowiek jest osobowością, tym bardziej jest człowiekiem.

Rozwój człowieka od indywiduum do osobowości dokonuje się dzięki temu, że człowiek skieruje swe życie ku najwyższej wartości, tj. do Boga, i dzięki temu, że odda drugiemu to, co mu się należy.

Dzięki uruchomieniu obydwu mechanizmów życia wewnętrznego, miłości do Boga i miłości do ludzi, jednostka staje się o s o b o w o ś c i ą, to jest pełnowartościowym człowiekiem. I oto możemy podać ostateczną i podstawową zasadę moralną, na której budować się będzie cała etyka: dobre jest to, co s p r z y j a u d o s k o n a l e n i u o s o b y l u d z k i e j, złe jest to, co obniża doskonałość osoby. W tej zasadzie kryją się inne.

Czym jest zatem przeżycie powinności etycznej? Jest odpowiedzią na Boga, który w tajemniczy sposób pociąga ku sobie swe stworzenia. To prawda. Jest instynktowną odpowiedzią na wartości, jakie stanowi dla nas nasz bliźni. To także prawda.

Ale ostatecznie nie jest też niczym innym, jak ujawniającą się w nas wewnętrzną potrzebą przemiany samego siebie, potrzebą wzrostu, udoskonalenia, potrzebą stania się sobą.

Dziwne jest to przeżycie powinności. Wprawiało ono w zdumienie Emanuela Kanta. Innych wprowadzało na najwyższy szczyt świata. Raskolnikowa doprowadziło do bram sądu.

A my?

My ustępujemy inwalidzie miejsca w kolejce. Odwołujemy rzucone oszczerstwa. Oddajemy pożyczone pieniądze. I nie czynimy tego ani z przyjemności, ani z korzyści, często właśnie wbrew

korzyści i na przekór przyjemności. Czynimy tak, bo powinniśmy. I to jest godne zdumienia.

Jednego nam tylko trzeba: nie zapominać, że w każdym cichym „powiniennem” brzmi zniewalające zaproszenie, abyśmy uwolnili się od tego, co nieludzkie, a stali się pełnymi ludźmi.

Po prostu prawdziwymi ludźmi.

2. CZY CZŁOWIEK JEST ISTOTĄ WOLNĄ?

Na postawione w tytule pytanie odpowiadano dwojako: jedni zaprzeczali, drudzy potwierdzali. I tak filozofowie podzielili się na dwa zwalczające się nawzajem obozy: Zwolennicy determinizmu wskazywali na fakt, że bieg wydarzeń w przyrodzie jest kierowany niezmiennymi prawami, że ta sama przyczyna, w tych samych warunkach daje ten sam skutek, a człowiek również, jako nieoddzielna część przyrody, podlega jej prawom. Jego czyn jest determinowany, jak sądzono, przez czynniki odziedziczone po przodkach, warunki społeczno-gospodarcze, warunki psychologiczne, np. podświadomość, a nawet przez wszechmoc Boga. Zwolennicy indeterminizmu nie przeczyli na ogół temu, że bieg zdarzeń w przyrodzie jest zdeterminowany, ale dla człowieka robili wyjątek: człowiek jest istotą wolną, człowiek sam siebie ostatecznie określa do takiego lub innego czynu, on i tylko on jest odpowiedzialny za własny czyn, chociaż, być może, czynniki zewnętrzne i wewnętrzne skłaniają go do niego. Spór determinizmu i indeterminizmu trwa do dnia dzisiejszego i nic nie wskazuje na jego rychłe zakończenie. My, niestety, nie możemy tutaj wnikać w jego szczegóły. Dla naszych celów niech nam wystarczy stwierdzenie, że mamy świadomość własnej wolności, że w niektórych sytuacjach dokonujemy istotnie wolnego wyboru, że w innych moglibyśmy go dokonać. Ograniczymy się zatem do ujawnienia w nas świadomości własnej wolności i jej bezpośrednich konsekwencji.

1. Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Oto przyjaciel proponuje nam bilet do kina. Ktoś inny w tym samym momencie proponuje nam pójście do teatru. Znaleźliśmy się nagle w sy-

tuacji wyboru. I teraz w naszej świadomości zaczyna funkcjonować swoisty mechanizm, powstaje jakby jakiś ruch, jakies pulsowanie, a wszystko to dzieje się w bliskim „otoczeniu” naszego „ja”.

Teatr czy kino?

Gdy tylko uświadamiam sobie tę alternatywę, czuję, że otgają w mej świadomości dwie wartości: wartość filmu i wartość sztuki teatralnej. Co lepiej wybrać? Film ma interesującą fabułę, grają słynni aktorzy, ciekawy problem. Jednak sztuka teatralna również nie jest pozbawiona walorów. W dodatku w teatrze spotkam z pewnością interesujących ludzi, z którymi będę mógł podyskutować. W trakcie tego równowazenia się wartości pojawia się jednak jeszcze coś trzeciego: świadomość jakiegoś obowiązku, który mam wypełnić. Powinienem to zrobić już teraz. Muszę przecież wykończyć powierzone mi prace. Lecz otjawia się nowa refleksja: możesz to zrobić kiedy indziej, rzecz nie jest aż tak pilna.

Dyskusja trwałaby w nieskończoność. Trzeba zdecydować. W tym szczególnym momencie w dyskusję między wartościami wkracza nasze ja. Następuje wyładowanie się jego mocy. Jakaś wewnętrzna eksplozja czynu. Ja sam, ja jako taki, ujawniam swe istnienie i swe działanie w głębi świadomości. Wybieram film. „Ja” sięgnąłem w tamtą stronę i przywłaszczyłem sobie jego wartość. Wybrałem.

Ale wybrałem w sposób wolny. Oto cały czas idzie za mną świadomość, że mogłem wybrać inaczej, że zatem wszystko ode mnie ostatecznie zależało i nadal zależy.

W opisanej tutaj sytuacji można wyodrębnić trzy etapy wolnego wyboru: etap sytuacji przedwyborczej, gdy ledwo uświadamiam sobie to, co ewentualnie mógłbym wybrać. Dalej: etap „gry wartości”, gdy usiłuję rozważyć wszystkie za i przeciw. Wreszcie etap właściwy, w którym dokonuję samookreślenia w jednym z możliwych kierunków. W tym też momencie moja wolność jest dla mnie najbardziej wyraźna.

2. Wolność człowieka stanowi jakiś niezwykle element w przyrodzie. To ona decyduje o tym, że człowiek jest jednostką w pełni suwerenną i autonomiczną, która bez reszty panuje nad tym, że czegoś chce. Wśród morza zdeterminowanej materii pojawia

się dryfująca kra, przestrzeń nieczuła na burze przelatujące po powierzchni, będąca źródłem nowego życia w świecie. Ale wolność to także rzeczywistość, która może ulegać degradacji. Człowiek może w jakimś zakresie zrzec się dobrowolnie lub niedobrowolnie własnej wolności, zamienić ją w brudną plamę oliwy, poddaną biernie drganiom morza. Nigdy jednak nie może jej w sobie zabić: zawsze będzie mógł ją powołać do życia. W pewnym momencie plama oliwy zacznie zwijać się w kulę, otrząsać wodę i zanurzona w morzu, przeciwstawiać mu się całą mocą swej bezwładności. Wtedy w obliczu ludzkiego, swobodnego **ch c e n i a** wszystkie siły świata będą bezradne.

3. Ale z wolnością człowieka wiąże się jeszcze coś bardziej zasadniczego: Dzięki wolności możemy powiedzieć, że jesteśmy sprawcami jakiegoś czynu. Jesteśmy za ten czyn odpowiedzialni. Ale odpowiedzialnym można być zawsze tylko wobec kogoś.

Wobec kogo jesteśmy ostatecznie odpowiedzialni za nasz czyn? Na przykład za ten czyn, o którym nikt z ludzi nie wie? Za nasze życiowe powołanie, które być może odczuwaliśmy kiedyś, lecz o którym zupełnie zapomnieliśmy? Wobec kogo jesteśmy odpowiedzialni za życie? Za rozwój danych nam przez naturę talentów? Czy wobec świata? Czy wobec historii? Ależ to są abstrakty! Świat nic o nas nie chce wiedzieć. Historia o nas prawdopodobnie rychło zapomni. Wobec kogo zatem jesteśmy odpowiedzialni, bo jednak czujemy w sobie tę odpowiedzialność za siebie, za innych, czasami za los małego, otaczającego nas świata?

Jesteśmy odpowiedzialni wobec kogoś, kto wie, widzi, kto chce. Słowem: wobec jakiejś **O s o b y**, która dała nam życie, talent, powołanie i wolność.

W ten oto sposób nasza wolność poprzez nasze doznanie odpowiedzialności wiąże nas nieustannie z Bogiem. W niej to ostatecznie została zaczepiona pajęczyna, po której sączyć się będzie w nasze wnętrze piekło lub niebo, śmierć lub życie, dobro lub zło.

W poprzedniej naszej rozmowie stwierdziliśmy, że człowiek może swą wolność utracić. Dzisiaj uzupełnijmy to stwierdzenie jeszcze jednym: wolność człowieka może ulec ograniczeniu, ale może się także powiększać, a jedno i drugie zależeć będzie częściowo od nas samych, częściowo od naszego otoczenia: Za ograniczeniami wolności i za jej wzrostem pójdzie ograniczenie i wzrost odpowiedzialności. I tak np. umysłowo chory, który nie widzi, że oto znalazł się w sytuacji wyboru, nie jest także za swój wybór odpowiedzialny. W człowieku jest bowiem tyle wolności, ile jest w nim rozumu. Ktoś działający pod wpływem wielkiego strachu, w atmosferze paniki, ogarnięty burzą uczuć, doznaje ograniczenia wolności od strony emocjonalnej. Najczęstsze ograniczenia wolności płyną od strony naszego temperamentu. Są one całkiem swoiste: stałe, jak stały jest temperament człowieka, jednokierunkowe, stosownie do dyspozycji płynących ze struktury temperamentu.

Czym jest temperament człowieka?

Najogólniej mówiąc: temperament stanowi pewien zespół dyspozycji psycho-fizycznych, które sprawiają, że człowiek przedstawia określony typ reagowania na bodźce świata zewnętrznego. Typów takich jest niezliczona mnogość. Psychologia usiłuje je klasyfikować i opisywać. My oczywiście nie możemy tutaj tego robić. Dlatego też zajmę się tylko krótkim opisem najpowszechniejszego wśród nas temperamentu, który prof. Brzezicki nazwał kiedyś temperamentem skirtingimicznym i uznał za najbardziej charakterystyczny dla Polaków. Z tego względu można powiedzieć, że jest to temperament sarmacki. Nie znaczy to, oczywiście, że wszyscy Polacy posiadają taki temperament. Wydaje się jednak, że wszyscy w jakimś stopniu żyjemy w atmosferze wytworzonej przez skirtingimików. Tak czy inaczej, mamy zatem z nim do czynienia.

Ciekawy to naród ci Sarmaci...

Sławomir Mrozek powiada, że naszym umiłowanym zajęciem jest walka z przeważającymi siłami wroga. W innym miejscu

doda, że jesteśmy chorzy na zanik woli: wszystko mamy, i warunki, i ideologię, i wielkie cele, ale się nam niczego nie chce. Gałczyński widzi swój własny naród, jak przez całą historię biegnie z motyką na słońce, ale za chwilę doda:

*Bo ja jestem Polak,
A Polak to wariat,
A wariat to lepszy gość.*

W „Królu Ubu” parodiowało się wiersz Słonimskiego pt. „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”. Zakończenie wiersza brzmi: „Ogłaszam alarm... niech trwa”. W parodii brzmi ono: „Ogłaszam alarm... niech ma”. Bo podobno jedynie podczas alarmów jesteśmy na miarę wymagań. Natomiast współczesne, popularne powiedzonko nie bez kozery ujmuje rzecz krócej: z Sarmatą wszystko załatwisz, bo to wprawdzie „nie marksista, nie katolik, ale za to alkoholik”.

Powróćmy jednak do Brzezickiego.

W sferze emocjonalnej cechuje nas bogactwo uczuć — przyślowiowy słomiany ogień. W krytycznej sytuacji rzucamy do skarbu państwa ślubne obrączki, ale na co dzień wcale nie kwapiemy się z płaceniem podatków, a do pracy spóźniamy się notorycznie. Szybko i łatwo przechodzimy z jednego nastroju w drugi, od pełnego zapału, poświęcenia do zniechęcenia i bezradności. Wypełnia nas istna burza sprzecznych uczuć i krótkotrwałych zapałów.

Pod względem intelektualnym Sarmata jest egzemplarzem bez wątplenia interesującym. Zdolny, błyskotliwy, inteligentny. Lubi i potrafi mówić, lubi też być słuchany. Musi być podziwiany. Bo on musi błyszczeć. Król Sobieski nosił na swym codziennym ubraniu klejnoty za 200 tysięcy talarów. Student żyjący ze stypendium wyda je całe na oblewanie egzaminu. Czasami popis jest innego gatunku: ot, złapanie kuli armatniej i wyrwanie jej płonącego lontu, szarża na armaty, wyjście na szczyt wrocławskiej iglicy w mundurze pułkownika, zaśpiewanie „O mój rozmarynie” pod oknem pewnej damy, podczas wojny, gdy nieprzyjaciół jest o parę kroków za domem.

Sarmatę cechuje także lenistwo, notoryczny brak konsekwencji. Jego życie jest utkane dobrymi postanowieniami: to takie

wiecznie dobrze zapowiadające się dziecko, które postanawia i postanawia, np. się będzie uczyło, a zabawiało tylko dla odpoczynku. Efekt jest taki, że uczy się w chwilach wolnych od odpoczynku. Za to lubi sobie pomarzyć: to genialny marzyciel. Marzy o sukcesach w nauce, w pracy, w małżeństwie i wszędzie. A potem same rozczarowania: kierunkiem obranych studiów („tego nie chciałem”), rodzajem pracy („za nic mnie mają”), wysokością zarobku („ledwo na trumnę starczy”), małżeństwa („byłem skończonym idiotą”): *Tak by się nam serce rwało do ogromnych, wielkich rzeczy, a tu pospolitość skrzeczy.*

Sarmata lubi błyszczeć wobec otoczenia i to nawet poprzez swe błędy życiowe. Stąd płynie u niego swoista „ideologia zła”. Ja rozumiem, że każdy człowiek popełnia jakieś błędy. Ale my potrafimy sobie swe własne błędy przedstawić jako powód do chluby. Opowiadamy, jak to rodzina daje pieniądze na studia, a my się i tak nie uczymy; że potrafimy iść na egzamin bez przygotowania, i to jest nasza odwaga; że poderwać „babkę” to dla nas jak ręką machnąć. Przy tym gwizdźmy na wszystko, a zwłaszcza na to, co ludzie powiedzą. Z drugiej jednak strony ci sami ludzie są nam niezwykle potrzebni, właśnie po to, by nas podziwiać i gorszyć się naszym gwizdaniem. Nasz pozorny indywidualizm niknie zupełnie w samotności. W samotności Sarmata jest bardzo biedny i bliski płaczu.

Ale z zamyślenia do popisu i marzycielstwa płynie jeszcze coś innego: alkoholizm. Bo w Sarmacie rodzą się kompleksy. Wśród nich najczęstszy to kompleks niższości. I teraz trzeba z tym kompleksem zerwać, trzeba go przelamać. Na normalną drogę Sarmaty nie stać, pozostaje do dyspozycji jedynie jej namiastka: alkohol. Teraz wyrasta się już ponad przeciętność, zapomina o rzeczywistości, jest się na miarę marzeń i „na złość światu”.

Alkoholizm jest świadectwem klęski, której doznało w człowieku jego poczucie rzeczywistości, klęski poniesionej wobec marzenia. Mamy tutaj przykład alienacji człowieka rzeczywistego przez człowieka-marę, człowieka-upiора. Alkoholizm jest efektem tego, że człowiek zupełnie nie rozumie świata ani samego siebie.

Ale temperament, jakikolwiek by on był, to tylko propozycja, to jeszcze nie gotowy człowiek. Po powierzchni morza przechodzą

liczne prądy, niektóre sięgają nawet dość głęboko. Im jednak głębiej, tym jest ciszej. Tam, na samym dnie, spoczywa nasze „ja”. To „ja” jest wolne. Ono ma moc ustosunkowania się do propozycji.

Temperament to tylko propozycja. Wolność to „ty”. To twoja wolność w ostatecznej konsekwencji decyduje, czy propozycję wyzyskasz ku swej nędzy, czy ku swej wielkości. To ty wychowujesz własny temperament.

4. O PRAWIE NATURY

Jednym z najbardziej podstawowych pojęć etyki chrześcijańskiej jest pojęcie prawa natury, tj. prawa, które z natury przysługuje osobie ludzkiej i nie potrzebuje być wyznaczane przez specjalne ustawy. Czym jest prawo natury? Jakie jest jego etyczne znaczenie?

Przypomnijmy sobie lata, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, lub lepiej — zwróćmy uwagę na dzieci, jakie z pewnością znajdują się w zasięgu naszej obserwacji. Co robiliśmy my sami, co robi każde dziecko, gdy odczuje, że jest traktowane niesprawiedliwie? Za dobrą odpowiedź uzyskuje gorszą notę, za dobre — w jego mniemaniu — czyni naganę? Protestuje spontanicznie. Jest rozżalony i wszem, i każdemu z osobna ogłasza bezmiar krzywdy, jakiej doznało. (To samo zresztą robią i starsi.)

To bardzo interesujące. Skąd może dziecko wiedzieć, że każdemu trzeba oddać to, co mu się należy? Skąd wie, że za dobry czyn należy się mu nagroda, a nie kara? A my skąd o tym wiemy? Nie na podstawie kodeksów, bo tych jako dzieci nie czytaliśmy. Rzecz tym bardziej dziwna, że wszyscy ludzie są pod tym względem jednomyślni.

Odpowiedź prosta: Człowiek ma świadomość własnej natury i z niej czerpie nieokreślone wycucie swych podstawowych praw i podstawowych obowiązków.

Aby to lepiej zrozumieć, odwołajmy się do wyobraźni. Każdy z nas posiada zapewne w domu aparat radiowy. Wiadomo, że jest to aparat służący do zmian fal elektromagnetycznych na fale

akustyczne, słyszalne dla naszego ucha. Z tego powodu aparatowi radiowemu przysługują, powiedzmy w cudzysłowie, „ pewne prawa”, które każdy posiadacz aparatu musi respektować, jeżeli nie chce zniszczyć aparatu. Nie można go np. trzymać zanurzonego w wodzie, trzeba go odpowiednio włączyć do sieci elektrycznej, nie można rozpalać w jego wnętrzu ogniska itp. Sama struktura rzeczy jest tutaj podstawą do pewnych praw regulujących sposób obchodzenia się z aparatem. Podobnie do natury samochodu należy zdolność poruszania się z miejsca na miejsce, do natury ogórka, że nie śpiewa, jak to powiedział Gałczyński w swym dowcipnym wierszu: „jeżeli ogórek nie śpiewa, i to o żadnej porze, widocznie z woli nieba prawdopodobnie nie może”. Nie należy również do natury radia, by rzucało obraz telewizyjny, do natury samochodu, aby rozmawiał z przechodniami. Każdy istniejący przedmiot posiada szereg naturalnych „praw” zakotwiczonych bezpośrednio w jego własnej strukturze.

Podobnie ma się rzecz z osobą ludzką. Człowiek posiada również swą własną naturę, wspólną wszystkim ludziom i dlatego zasadniczo niezmienną. Człowiek jest istotą zmysłowo-rozumną. Jako taki posiada szereg praw i obowiązków zakotwiczonych w swej naturze, praw bardziej podstawowych i pierwotnych niż wszystkie prawa ustawowe. Są one również niezmiennie, ponieważ natura ludzka jest zawsze ta sama. Człowiek to zawsze i wszędzie istota zmysłowo-rozumna. Prawa te są również powszechnie znane, chociaż z różnym stopniem jasności. Jedyłą ich wadą jest to, że są ogólne i często w konkretnych wypadkach nie wystarczają.

Przykładem praw natury są stwierdzenia: „Oddaj każdemu, co mu się należy”. „Czyń dobrze”. „Unikaj złego”. „Za zbrodnie należy się kara”. Dalej prawo do osobistej wolności, prawo do pracy, prawo do utrzymania życia.

O prawa te będzie człowiek walczył z narażeniem życia, chociażby żaden pisany kodeks nie zmuszał go do tego.

Kiedy przed człowiekiem stanie perspektywa naruszenia jego naturalnych uprawnień, człowiek się broni, jakby samo jego człowieczeństwo zostało zagrożone. I istotnie. Prawa natury wyznaczają najbardziej elementarne warunki życia i rozwoju ludzkiej osobowości. Jako takie stoją u podstaw wszelkich kodeksów.

Powróćmy jeszcze na chwilę do dziecka. Spróbujmy mu powiedzieć, że będziemy je traktować niesprawiedliwie i że ono powinno się na to zgodzić, bo jest małe i słabe, bo mamy władzę nad nim itd. Czujemy wszyscy, że dziecko zaprotestuje. Zaprotestuje zaś w imię niewyraźnie wyczuwanego prawa natury. Uczyni zresztą zupełnie słusznie. Skoro bowiem prawo natury jest podstawowym i najbardziej pierwotnym prawem człowieka, wszelkie inne prawo musi iść z nim w zgodzie. Wszelki kodeks sprzeczny z prawem nie obowiązuje w sumieniu.

„Prawo” hitlerowskie hołdujące utylityzmowi państwowemu nie usprawiedliwia popełnionych w jego imię zbrodni. Dekrety cesarów, zakazujące praktyk religijnych chrześcijanom, nie obowiązywały w sumieniu. Ustawy bijące bezpośrednio w prawo do życia każdego człowieka, bez względu na jego wiek, również. Ogólna zasada brzmi: aby prawo pozytywne obowiązywało w sumieniu, musi być zgodne z prawem natury.

Ponieważ jednak prawo natury jest ogólne i często w konkretnych przypadkach nie wystarcza, musi ono być uzupełnione przez szereg praw pozytywnych, wśród których znajdują się prawa państwowe, kościelne, zwyczajowe itp.

Dla chrześcijanina prawo natury posiada jeszcze jeden aspekt. Chrześcijanin wie, że Bóg na dwa sposoby ujawnił się światu: przez akt stworzenia świata i przez specjalne objawienie Starego i Nowego Testamentu. W rzeczach widzialnych odbija się Bóg zupełnie podobnie, jak w konstrukcji maszyny elektronicznej odbija się umysł konstruktora.

I oto stajemy wobec zagadki naszej własnej natury. Wobec kapitalnego pytania: kim jest człowiek? Wobec zadania: w jaki sposób wyznaczyć sobie szerokość i długość przestrzeni życiowej potrzebnej do tego, by żyć i by się rozwijać?

Odkrywamy elementarne prawa rozwoju własnej osobowości. Odkrywamy to minimum, bez którego nie możemy być. To, co musi być, co konieczne, to „najmniej”. Odkrycie prawa natury jest odkryciem prawa, które wzięło się ostatecznie od Boga. Prawo natury to odbite w nas najwyższe prawo Boga.

Znamy już podstawowe twierdzenie etyki chrześcijańskiej: dobre jest to, co jest zgodne z Bogiem, i wiemy, że Bóg jest najwyższą normą moralności. Po drugie: wiemy, że dobre jest to, co jest zgodne z naturą człowieka, i to jest bliższa norma moralności. Ale to wszystko jeszcze nie wystarcza. Dopóki prawa moralne są poza nami, jak długo nic o nich nie wiemy, tak długo nie mogą one stworzyć w nas żadnego zobowiązania etycznego. Potrzebna jest jeszcze jakaś bezpośrednia norma moralności. Ma to być norma wciąż obecna w świadomości człowieka i zawsze gotowa do chrześcijańskiej reakcji. Stąd trzecie twierdzenie etyki chrześcijańskiej: najbliższą normą moralności jest dla człowieka jego sumienie — praktyczny osąd o zgodności jego postępowania z obiektywnym dobrem.

Musi to być, oczywiście, sumienie pewne i prawe.

Istnieją trzy najczęściej spotykane typy błędnego sumienia: sumienie wąskie, sumienie szerokie i sumienie niepewne.

Przyjrzyjmy się nieco poszczególnym przypadkom.

Trafiają się ludzie żyjący w nieustannym przekonaniu, że cokolwiek robią, wszystko to jest niedoskonałe lub wprost grzeszne. Przypomnijmy sobie chwile, w których nam samym wydawało się, że nasza wina sięga wręcz kosmicznych rozmiarów, chociaż w gruncie rzeczy nie chodziło wcale o grzech, ale o pokusę, na przykład mimowolną myśl nieczystą, czy też zwykłe zapomnienie, na przykład o piątkowym poście. A jednak byliśmy mylnie przekonani, że zgrzeszyliśmy, i to ciężko. Odzywało się wtedy w nas sumienie fałszywe, sumienie skrupulackie. Sumienie tego typu dopatruje się zła tam, gdzie zła nie ma, lub widzi grzech ciężki tam, gdzie jest tylko niedoskonałość. Sumienie wąskie może obejmować całość etycznego życia człowieka, albo — co się często zdarza — jakiś specjalny wycinek. Niejednokrotnie sumienie wąskie, skrupulatyzm, wiąże się z zaburzeniami psychiki, na przykład z nerwicą, stanami lękowymi.

Co ma czynić człowiek obciążony takim sumieniem?

Ponieważ nie jest on zdolny do właściwego, obiektywnego osądzania swego postępowania, musi zdać się na zdanie spowiednika. Wyjście z impasu sumienia wąskiego leży w posłuszeństwie

spowiednikowi i wyrobieniu sobie na tej drodze sumienia prawdziwego i pewnego.

Innym typem sumienia błędnego jest sumienie szerokie, liberalistyczne. Orzeka ono, że nie ma grzechu tam, gdzie grzech obiektywnie jest, lub widzi grzech lekki tam, gdzie obiektywnie mamy do czynienia z ciężkim przewinieniem. Sumienie szerokie, praktycznie biorąc, nie spełnia swej roli albo spełnia ją tylko w ograniczonym zakresie. Granice dobra i zła są tu ujmowane tak niewyraźnie i tak płynnie, że praktycznie dla wszystkiego, cokolwiek człowiek robi, potrafi sobie znaleźć usprawiedliwienie.

Przykładów szerokiego sumienia mamy wokół nas bez liku. Kto z nas i jak spowiada się z zaniedbywania obowiązków rodzinnych, społecznych, zawodowych? Kto poczuwa się do naprawienia wyrządzonej szkody, odwołania rzuconego na bliźniego szczerstwa? Nasze grzechy szerokiego sumienia powodują ogromne szkody społeczne, są właściwą przyczyną wielu społecznych plag.

I wreszcie trzeci typ błędnego sumienia: sumienie niepewne. Człowiek nie wie, czy dany czyn jest zgodny, czy nie jest zgodny z właściwą hierarchią wartości. Jego działaniu towarzyszy niepewność: dobrze czy źle, wina, zasługa czy rzecz obojętna? A jednocześnie nie podejmuje koniecznego wysiłku, żeby zdobyć jasny i prawy sąd o rzeczy. Nie chodzi tu o chorobliwy niepokój i niezdecydowanie charakterystyczne dla skrupulatów, ale o wygodną lekkomyślność, brak poczucia odpowiedzialności, moralne zobojętnienie. Tymczasem istnieje zobowiązująca zasada, że człowiekowi, który ma sumienie niepewne, nie wolno działać, dopóki sobie sumienia nie upewni, na przykład przez rzetelną refleksję lub zasięgnięcie kompetentnej rady.

Istnieją zatem co najmniej trzy typy sumienia błędnego: sumienie wąskie, szerokie i niepewne. Przeciwnieństwem sumienia błędnego jest sumienie prawdziwe i pewne.

Problem wychowania w człowieku prawdziwego sumienia stał się dzisiaj tragicznym problemem społecznym — tragicznym, ponieważ zbyt często nie dostrzeganym. Obserwujemy na wielką skalę niedorozwój sumienia. Wpajamy naszym dzieciom mnóstwo wiadomości. Całe „wychowanie” jest właściwie tylko nauczaniem. Są języki, jest matematyka, jest muzyka, pływalnia i lekcje

tańców. O kształtowaniu sumienia nie ma mowy. Usiłujemy wychować geniuszy, zapominając o ich sumieniu.

A przecież na własnej skórze doświadczyliśmy już kiedyś, czym staje się wiedza i władza w rękach ludzi pozbawionych sumienia lub o fałszywie ukształtowanych sumieniach.

6. CZYM JEST SUMIENIE?

Czymże jednak jest nasze sumienie?

Według niektórych teorii ma to być głos płynący z przyzwyczajenia, nawyku, który odzywa się w nas tylekroć, ilekroć postępujemy inaczej, aniżeli postępowaliśmy dotąd. Ale nie jest to słuszne stanowisko. Istnieją przecież sytuacje, które pojawiają się tylko raz w życiu, a mimo to i w nich głos sumienia jest jednoznaczny, mocny i zniewalający. Poza tym sumienie odzywa się w człowieku już wtedy, nim zdążył wypracować w sobie jakiegokolwiek przyzwyczajenia: dziecko ocenia jako niesprawiedliwość krzywdzącą je nagane, zanim zdąży przywyknąć do innego sposobu traktowania przez ludzi dorosłych.

Według innych teorii sumienie to głos ludzkiego instynktu etycznego, podobnego do instynktu samozachowawczego, rodzicielskiego itp. Ale to też nie jest słuszne. Instynkt obraca się z reguły wokół interesów człowieka: zmierza do tego, aby utrzymać go przy życiu lub zapewnić przyszłość następnym pokoleniom. Podstawową wartością, na której straży stoi instynkt, jest życie biologiczne i interes związany z tym życiem. Tymczasem sumienie stoi na straży wartości etycznych, które są wartościami innego typu.

Sumienie przypomina, że ten inny typ wartości jest nie tylko inny, ale i wyższy od wartości ekonomicznych, użytkowych, przyjemności itp. Potrafi przecież zmusić człowieka nawet do ofiary z własnego życia na rzecz wartości etycznych. Niejeden więzień w czasach okupacji ponosił śmierć wśród tortur, a jednak nie wydał kolegów.

W świetle naszego wewnętrznego doświadczenia sumienie jest głosem ludzkiego rozumu. Niewątpliwie ciekawy to głos.

Przede wszystkim informuje on człowieka, co jest złe, a co jest dobre, co wartościowe, a co etycznie bezwartościowe. Nie ogranicza się jednak tylko do prostego stwierdzenia: to jest dobre, to złe, to czarne, to białe. Głos sumienia wnosi ze sobą moment swoistego zobowiązania: To jest złe, a zatem nie wolno ci tego czynić. To jest dobre, a zatem powinienes tak czynić.

Ile razy pojawia się w nas głos sumienia, zawsze chodzi o to, że to ja nie mogę pozwolić, by między mną a światem wartości etycznych wyrastała przepaść nie do przebycia. Nie mogę postępować tak, aby w harmonii wartości mój czyn zabrzmiał jak drażniący dysonans. Trudno ten głos sumienia zagłuszyć, chociaż przemawia czasem bardzo cicho. I na tym ciągłym uobecnianiu człowiekowi świata wartości i zobowiązującym apelu, zwróconym bardzo konkretnie właśnie do nas, polega siła ludzkiego sumienia.

Wiemy już, że sumienie może być prawdziwe lub błędne. Wiemy, że sumienie błędne to sumienie szerokie, wąskie lub niepewne. Prócz tego można jeszcze wyróżnić sumienie przeduczynkowe i pouczynkowe, które ocenia czyn przed lub po jego dokonaniu. Wedle którego z nich ma człowiek postępować?

Człowiek nie może czegoś czynić, jeżeli wie, że jego sumienie jest błędne. Jeżeli kierowca nie potrafi kierować samochodem, to nie wolno mu siadać za kierownicą. Sumienie jest sterem ludzkiego życia. Z zepsutym sterem do celu nie dojedziemy.

Nie wolno człowiekowi postępować z sumieniem niepewnym, ponieważ naraża się wtedy na niebezpieczeństwo czynienia zła. Jak długo ktoś nie jest pewny, czy to, co przed sobą widzi, jest zajacem czy też futrzaną czapką na głowie kolegi, nie wolno mu strzelać.

Głos sumienia pouczynkowego nie może decydować o wartości czynu już spełnionego. Człowiek powinien postępować wyłącznie z sumieniem pewnym przeduczynkowym. Ono jest najbliższą, rozstrzygającą normą moralności. Ono ostatecznie decyduje o winie i ono decyduje o zasłudze. Stąd bierze się też podstawowa formuła etyki chrześcijańskiej: dobre jest to, co jest zgodne z przeduczynkowym i pewnym sumieniem człowieka; złe jest to, co jest niezgodne z przeduczynkowym i pewnym sumieniem człowieka.

Zdarza się nieraz, że penitent pyta się spowiednika w konfesjonale: zrobiłem to lub tamto... czy ja „mam za to grzech”? A spowiednik odpowiada: nie wiem.

Bo on istotnie nie wie. Spowiednik wie, jaki czyn, obiektywnie rzecz biorąc, jest zgodny z zasadami etyki, a jaki z nią zgodny nie jest. Spowiednik zna więc tylko obiektywny stan rzeczy. Ale spowiednik nie zna subiektywnego stanu rzeczy. Nie wie, co się działo w sumieniu penitenta w chwili popełniania danego czynu. I dlatego nie on rozstrzyga, czy był grzech, czy go nie było. To rozstrzygnięcie już padło. Spowiednik może sprostować sumienie skrzywione. Może je uczynić bardziej czułym. Ale nie może decydować o tym, czy ty popełniłeś grzech, czy go nie popełniłeś. O tym zdecydowałeś ty sam, idąc lub nie idąc za głosem twojego prawego, pewnego, przeduczynkowego sumienia.

7. UCIECZKA PRZED SUMIENIEM

Sumienie jest w człowieku mocą niezwykłą. Na tego rodzaju moc nie natrafiamy nigdzie we wszechświecie. Potrafi ono skłonić człowieka do działania wbrew największym strachom, doprowadzić go do szczytów bohaterstwa i głębi skruchy. Dzieje ludzkości są pełne przykładów ludzi, którzy zwyciężali w wojnach najsilniejszych przeciwników, ale uginali się pod ciężarem własnego sumienia. Bywało, że sumienie doprowadzało ich do świętości, bywało także, że uciekając przed nim — wybierali samobójczą śmierć. Ewangeliczny Piotr i Judasz — oto dwie postacie, które stały się dwoma urastającymi do symbolu przykładami działania sumienia ludzkiego.

Dobra wola człowieka, zmysł moralny, sumienie — to wszystko jest ściśle ze sobą powiązane. Dobra wola oznacza pragnienie dobra. Ale pragnienie dobra byłoby ślepe, gdyby nie zmysł moralny, który otwiera wolę na to, co dobre, lepsze, najlepsze. Z kolei bez sumienia widzenie dobra i pragnienie dobra kończyłoby się samym podziwem dla dobra, bez próby jego realizacji. Sumienie wprawia wszystko w ruch. Jest ono mocą, która skłania do zmiany, do postępu, do tego, by osoba ludzka budowała

siebie na fundamencie nadziei, którą odkrywa jako najistotniejszą dla siebie i w sobie. Dopiero sumienie czyni z istoty ludzkiej osobowość w pełnym tego słowa znaczeniu moralną. Dzięki sumieniu możemy powiedzieć, że osoba „niesie winę” lub „niesie zasługę”. To ono decyduje o tym, że o Piotrze mówimy „święty”, a o Judaszu — „zdrajca”.

Czym jest sumienie?

Sumienie poznajemy po jego owocach. Najpierw i przede wszystkim sumienie coś odsłania. Można je porównać do światła, które wtargnęło do jaskini przez małą szparę i oświetliło jej mroki. Można je również porównać do wyjątkowej ciszy, w której dają się słyszeć głosy zazwyczaj niesłyszalne. Martin Heidegger porównuje je do „milczenia”, które jest „pełne wymowy”, chociaż nie wyraża go żadne „gadanie”. Tak czy owak istotą sumienia jest odsłanianie. Kierunek odsłaniania jest jednak inny niż kierunek preferencji. Preferencja odsłania sferę wartości obiektywnych; w sumieniu odsłania się osoba ludzka (persona) w jej odniesieniach do świata wartości. Dzięki sumieniu człowiek „czuje” siebie, czuje swój prawdziwy stan, czuje to, kim jest, bowiem jego stosunek do wartości wyciska piętno na jego byciu, jego egzystencji. Sumienie jest zawsze „egzystencjalne”. Nie chodzi o to, co zrobiłeś lub zrobisz; chodzi przede wszystkim o to, kim jesteś robiąc to lub tamto.

Przypomnijmy scenę upadku pierwszych rodziców. Po upadku rozlega się głos Boga. Głos nie pyta, co Adam zrobił, głos nie robi wyrzutu, głos pyta głębiej: „Adamie, gdzie jesteś?” Człowiek to istota, która znajduje się na jakiejś drodze, jak pielgrzym. Wędrując swą drogą, człowiek żyje jakąś nadzieją. Nadzieją człowieka rozwija się i obejmuje różne płaszczyzny wartości — wyższą i niższą. Następuje upadek człowieka. Człowiek rezygnuje z nadziei wyższej na rzecz niższej. Sprzedaje wielkie dziedzictwo za małą miseczkę zupy. Wtedy następuje „odślonięcie” sumienia. Skądś z głębin osoby wyrasta milcząca: „gdzie jesteś, człowieku?”.

Sumienie odsłania bądź winę, bądź dobrą wiarę człowieka.

Wina towarzyszy upadkowi człowieka. Dobra wiara towarzyszy jego postępowi. Najboleśniej doświadcza człowieka sumienie wtedy, gdy odsłania ono jego winę. „Milczenie sumienia” staje

się wtedy milczeniem złowrogim, groźnym, milczeniem pełnym wyrzutu. Wtedy to człowiek postępuje tak, jakby chciał zagłuszyć swe sumienie, zagadać je, uciec gdzieś od jego głosu. Wdaje się w spór z własnym sumieniem. Ale na próżno. Sumienie nie klóci się z człowiekiem; na wszystkie jego „wyjaśnienia” i „wy tłumaczenia”, na każde „nie mogłem”, „byłem zmuszony”, „nie zauważyłem” — sumienie odpowiada wielkim, przejmującym milczeniem, z którego rośnie wina człowieka. Mimo że sumienie „milczy”, jego milczenie ma sens. Sens ten można różnie ujmować. Szczególnie trafna jest formuła Heideggera. Sumienie „daje do zrozumienia”, by człowiek „chciał mieć sumienie”. Bo w swym jałowym sporze z sumieniem człowiek chciałby się chętnie zupełnie pozbyć sumienia, „uratować siebie” powrotem w ciemność, utonięciem w zgiełku świata, rozproszeniem uwagi w bezpłodnej gadaninie o tym, co nieistotne. Stąd przejmujące „milczenie”, które przychodzi „z drugiej strony świata”, milczenie pełne wymowy: „chciej mieć sumienie”, „gdzie jesteś?”.

Dobra wiara towarzyszy wzrostowi, rozwojowi, dojrzewaniu wewnętrznemu. Dojrzewać znaczy owocować. A owocować znaczy iść w górę, postępować od nadziei niższej do wyższej. Drzewo dojrzewa wtedy, gdy wypuszcza liście, rozkwita, wydaje owoc. Przechodząc od jednego stopnia rozwoju do drugiego, człowiek musi coś z siebie poświęcić, musi zrezygnować z jednostronnej realizacji nadziei niższej, aby dać miejsce nadziei wyższej, nadziei ogarniającej i porządkującej. Drzewo, które by chciało jedynie kwitnąć, skazałoby się na śmierć przedwczesną. Trzeba umieć w odpowiednim czasie poświęcić kwiaty dla owocu. Każdemu słusznemu poświęceniu towarzyszy świadectwo sumienia, które określamy słowem „dobra wiara”. Mówimy: „oto człowiek dobrej wiary”. Nawet gdy jego postępek nie podoba się nam, fakt, że był on „w dobrej wierze”, usprawiedliwia go w naszych oczach.

Dobra wiara jest przejawem dobrej woli człowieka poświadczonej przez sumienie. Możemy śmiało powiedzieć: dobra wiara to sumienie, które „milcząco” wprowadza jasność w głąb człowieka. Także tutaj sumienie obywateli się bez gadaniny, bo wszystko jest jawne. Człowiek poddaje się pokojowi, który płynie z sumienia. Wielu wybitnych myślicieli wierzyło, że spokój sumienia

to najwyższy rodzaj szczęścia, jaki może się stać udziałem człowieka.

Sumienie jest zasadniczo nieomyślne. Jest nieomyślne w tym sensie, że przypisując człowiekowi winę lub przyznając mu dobrą wiarę, nie może być sprawdzone za pomocą żadnego innego narzędzia niż ono samo. Któż może lepiej od niego wiedzieć, kim jestem? Któż jest bliżej osoby niż ono? Jeśli sumienie wskazuje na winę, jestem winny, bo „milczenie” sumienia jest częścią mnie samego. Jeśli mam „czyste sumienie”, jestem czysty. Rzecz ma się tak, jak z wodą: jeśli w wodzie nie ma żadnych mętów, woda jest czysta, jeśli są w niej męty, woda jest brudna. Nie znaczy to jednak, by człowiek uznawał to, na co wskazuje sumienie. Sumienie jest co prawda „nieomyślne”, ale człowiek często woli nie słyszeć, co mówi sumienie, na co sumienie wskazuje. Tragedią człowieka jest to, że chętnie ucieka od swego sumienia, że przekręca sens jego „milczenia”, że własne życzenia podsuwa pod jego mowę. Bywa, że człowiek jest inny, a za innego siebie uważa. Człowiek jest rozszczepiony, jest inny dla świata i inny w sobie. I na tym polega jego tragedia.

W tym kontekście należy również rozumieć postulat etyczny, który w ostatnich czasach stał się popularny i aktualny. Brzmi on: „bądź sobą”, „stawaj się sobą”. Co to bliżej znaczy?

Jest to postulat dla tych, którzy znaleźli się w stanie ucieczki od własnego sumienia. Ucieczka pozostaje w ścisłym związku z uwiadem ich zmysłu moralnego. Całe zatroskanie tych ludzi obraca się wokół funkcji, jaką przyszło im pełnić w aktualnym systemie technicznej organizacji życia. Ich hierarchia wartości sprowadza się do hierarchii mniejszej lub większej przydatności technicznej w nowym świecie. Chcą być „sprawni” w tym, co robią, ale to, co robią, nie stoi w polu promieniowania nadziei podstawowych. Żyją na „spłaszczonym” aksjologicznie świecie, są ludźmi „jednego poziomu”, jednego horyzontu, są „spłaszczeni”, „spłycony”, jak spłaszczony i spłycony jest ich świat.

Wezwanie „bądź sobą” lub „bądź tym, kim jesteś”, zwane również „wezwaniami do autentyczności”, ma na celu skierować ludzi znajdujących się w ucieczce w stronę, w której bije źródło człowieczeństwa w człowieku — w stronę ich milczącego sumienia.

Dobra wola człowieka, jego zmysł moralny oraz sumienie stanowią wprawdzie niezbędne warunki do tego, by w człowieku powstało poczucie odpowiedzialności, ale nie są to jeszcze warunki dostateczne owego przeżycia. Do tego, by poczucie odpowiedzialności rozwinęło się, człowiek musi mieć świadomość (przekonanie), że w konkretnej sytuacji, w jakiej się znalazł, nie tylko wiedział, co robić należy, lecz rzeczywiście mógł coś zrobić. Jeśli ktoś nie zna się na chorobach, nie można od niego wymagać, żeby leczył ludzi. Jeśli ktoś nie potrafi pływać, nie można żądać, by ratował tonącego. Nie można go też obwiniać za to, że go nie ratuje. Czym innym jest „chcieć”, a czym innym „móc”. Dobra wola, zmysł moralny, preferencja i sumienie znajdują się po stronie „chcieć”. Poczucie odpowiedzialności wyrasta nie tylko na fundamencie chcenia, lecz także na fundamencie możliwości działania. Odpowiedzialność człowieka nie sięga poza granice możliwości skutecznego działania, aczkolwiek wyrasta na podłożu skierowanego na dobro lub zło pragnienia.

Zanim powiemy kilka słów o granicach ludzkiej odpowiedzialności, zapytajmy: czym jest odpowiedzialność?

Odpowiedzialność to nic innego jak przekonanie, że się jest rzeczywistym sprawcą aktu moralnego i jego skutków. Aby powstało w człowieku poczucie odpowiedzialności, muszą być spełnione pewne warunki. Oto niektóre z nich: człowiek musi odkryć co dobre, co lepsze, co najlepsze, musi zobaczyć siebie w relacji do odkrytego dobra i zła, musi nadto mieć świadomość własnej siły, własnej zdatności do podjęcia owego aktu, musi wreszcie domyślić się, co zrobić, kiedy zrobić, jakich środków użyć do obranego celu. Odpowiedzialność to nader złożone przeżycie. Obejmuje ono nie tylko to, co dotyczy „wnętrza” człowieka, lecz również to, co się wiąże z jego ciałem. Słusznie mówimy o „polu odpowiedzialności” poszczególnego człowieka. Pole odpowiedzialności rozpościera się wokół każdego człowieka i obejmuje tę przestrzeń jego życia, w której człowiek w pojedynkę lub wspólnie z innymi może skutecznie chcieć dobra. Dobro jest tu nie tylko treścią jego życzenia, lecz spoczywa w zasięgu jego działania. Odpowiedzialność jest odpowiedzialnością w sytuacji, która jest

konkretna, zmienna, często niepowtarzalna, podobnie jak zmienne są siły zaangażowanego człowieka. Nic więc dziwnego, że nie ma dla człowieka stałego pola odpowiedzialności, że pole to jest raz szersze, raz węższe.

Podstawowe problemy związane z zagadnieniem pola odpowiedzialności układają się mniej więcej następująco: najpierw problemy ograniczenia odpowiedzialności, potem problemy odpowiedzialności pozbawionej wszelkich ograniczeń, odpowiedzialności, która — jak wzburzona rzeka — „wystąpiła z brzegów”.

Pytanie o źródła ograniczonej odpowiedzialności doprowadza nas bądź do ujawnienia braków w sposobie widzenia wartości, bądź braków w sposobie widzenia rzeczywistości, w której wartości mają być zrealizowane. Jest także problem siły i konsekwencji w realizowaniu odpowiedzialności. Gdzie jest odpowiedzialność, ale brakuje sił, tam odpowiedzialność rodzi szczególny rodzaj cierpienia zwanego „moralną bezsilnością”. Świadomość bezsilności moralnej świadczy o wielkości człowieka i zarazem jego kruchości, owej pełnej tajemnic istoty, która „rozmyślaniem swoim nie może ani łokcia dodać do swego wzrostu”, której jednak marzy się świat bez płaczu, bólów i bez umierania.

Źródłem odpowiedzialności ograniczonej jest przede wszystkim nadwrażliwość moralna.

Często zdarza się, że jakiś człowiek jest szczególnie uczulony na jeden rodzaj wartości, że ten rodzaj wartości odbiera żywo, mocno, że reaguje nań całą siłą swej osobowości. Cała reszta hierarchii wartości także jest mu jakoś dana, ale już nie tak żywo i nie tak przejmująco. Ktoś może na przykład szczególnie mocno odczuwać wartości witalne, co przejawia się w jego życiu przesadną troską o zdrowie. Człowiek taki stale będzie nagiął odczuwanie innych wartości do swej troski o zachowanie dobrego stanu zdrowia. Ktoś inny zostanie pochłonięty przez ciekawość mikrokosmosu i choć ciekawość ta nie przekreśli w nim odczucia innych wartości, to jednak w praktyce nigdy nie znajdzie on czasu na to, by dać wyraz owym odczuciom. Bywają przypadki jeszcze bardziej osobiste. Oto ktoś przeżył tragedię zdrady przyjaciela. Raz zdradzony człowiek będzie czuł uraz przed powierzeniem swego zaufania po raz wtóry.

Nadwrażliwość moralna idzie zawsze w parze z jakąś formą niewrażliwości. Człowiek nadwrażliwy w jednej dziedzinie staje się niewrażliwy w innej. Stara się on do tego stopnia o zrealizowanie wartości upragnionej, że usuwa w cień wszystko to, co nią nie jest, lub co przeszkadza w jej realizacji.

Nadwrażliwość nie oznacza jednak ślepoty. Człowiek „teoretycznie wie” o innych wartościach i innych nadziejach, wydaje mu się jednak, że są one poza planem jego odpowiedzialności.

Inny rodzaj ograniczeń pola odpowiedzialności wiąże się z przeszkodami w działaniu. Najczęściej człowiek po prostu nie wie, co w danej sytuacji zrobić może. Im bardziej nietypowa sytuacja, tym trudniej znaleźć właściwy sposób postępowania. Człowiek popełnia gafy będąc w najlepszej intencji: to daje rady, które irytują, to stawia pytania, które wprawiają drugiego w osłupienie, to znów decyduje się na gesty, których rezultat jest przeciwny do zamierzonego.

Znalezienie właściwej odpowiedzi na potrzeby człowieka wymaga rozumu, cierpliwości, roztropności, których ludziom najczęściej brak. Umiejętności te wymagają nie tylko nauki trwającej latami, lecz również inteligencji oraz czysto odkrywczych zdolności, których nauczyć się trudno. Gdybyż to drugi człowiek zawsze wiedział, o co mu naprawdę chodzi! Bywa niekiedy tak, że chodzi mu właśnie o to, by mu uświadomić, o co chodzi. Wtedy trzeba z cierpliwością szukać płaszczyzny porozumienia i pozwoli wynajdywać tę szczególną wartość, która mogłaby podbudować w drugim jego nadzieję istotną.

Ale w naszym życiu codziennym mamy do czynienia nie tylko z przypadkami ograniczonej odpowiedzialności, lecz również z odpowiedzialnością przesadną, która „wystąpiła z brzegów”. Wydaje się człowiekowi, że jego pole odpowiedzialności nie ma granic. Cierpi za miliony i milionom udziela dobrych rad. Stara się ratować ludzi nawet wbrew ich woli i od nieszczęść, które są tylko jego nieszczęściami. Reformuje cały świat, poznając jednocześnie to, co jest jego codziennym obowiązkiem. I nie wiadomo, co w tej sytuacji bardziej rzuca się w oczy: czy żywość, z jaką czuje, że jest odpowiedzialny, czy słabość, z jaką odczuwa rzeczywistość otaczającego go świata. Jedno w każdym razie jest

znamienne: tam, gdzie poczucie odpowiedzialności „wystąpiło z brzegów”, zawsze przecenia się własny rozum, własne serce, siebie, a nie docenia rozumu i serca innych ludzi.

Sprawa właściwego widzenia tego, co jest, a co nie jest w polu odpowiedzialności, to bardzo ważna sprawa ludzkiego życia. Dlatego winna ona być tematem częstej refleksji krytycznej.

9. CZY CEL UŚWIĘCA ŚRODKI?

Czy człowiek dokonując złego czynu w dobrym celu jest etycznie w porządku?

Przypuśćmy, że ubogi student systematycznie okrada bliźnich, a zdobyte w ten sposób pieniądze przeznacza na własne studia. Ukończenie studiów to niewątpliwie dobra rzecz. Czy jest jednak w porządku, gdy do rzeczy dobrych zmierza się złą drogą? Przypuśćmy, że kobieta decyduje się na usunięcie poczętego płodu, uzasadniając to tym, że ma na celu zachowanie swego zdrowia lub po prostu dobrobytu. Znowu sytuacja podobna. Cel dobry, bo zdrowie, dobrobyt matki; środek do celu zły, bo pozbawienie życia niewinnego. Czy to jest etycznie w porządku? Czy więc można czynić zło w tym celu, by stąd wynikło dobro? W historii myśli etycznej zagadnienie to formułowano zwykle tak: czy dobry cel uświęca środki prowadzące do tego celu?

Z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej cel nie uświęca środków prowadzących do celu. Nie można zmierzać do dobrego celu dobierając do tego złe metody, bo człowiek od początku do końca powinien stać ponad złem. Tymczasem we współczesnym świecie bardzo często proponuje się rozwiązania przeciwne. W praktyce codziennej pojawiają się zjawiska stojące w rażącej sprzeczności z chrześcijańskimi rozstrzygnięciami. Dlatego chciałbym tu wskazać pokrótce, skąd bierze się takie, a nie inne rozstrzygnięcie problemu celu i środków przez etykę chrześcijańską.

W sytuacjach, które wymieniłem na początku, wyróżniamy dwa zasadnicze momenty: zamiar osiągnięcia dobrego celu istniejący z natury rzeczy w umyśle człowieka, oraz zły czyn (kradzież, spędzanie płodu), który z natury rzeczy ma obiektywnie zaistnieć.

Normalnie rzecz biorąc, ów zły czyn nie pociąga za sobą dobrych skutków, ale w tej konkretnej sytuacji może je pociągnąć. Podkreśliłem, że chodzi tutaj o dwie odrębne sfery rzeczywistości: zamiar (dobry zamiar, dobry cel działania) istniejący tylko i wyłącznie w umyśle człowieka, powiedzmy nawet w jego wyobraźni. Natomiast zły czyn, traktowany jako środek do dobrego celu, istnieje w rzeczywistości. Kradzież, śmierć niewinnego — to są fakty istniejące realnie w przestrzeni i w czasie. Śmierć niewinnego, kradzież są złe obiektywnie, tak samo, jak istnieją obiektywnie. Ich zło, podobnie jak istnienie rzeczy, jest niezależne od nas i od naszego sposobu potraktowania owych faktów. W ten sposób z jednej strony istnieje w umyśle człowieka, w jego wyobraźni, zamiar osiągnięcia dobrego celu, z drugiej w rzeczywistości istnieje zły czyn.

Lecz oto człowiek traktuje ów zły czyn pod kątem dobrego celu. Chce, aby przez zły czyn nastąpiły dobre skutki. Czy to jednak coś zmienia w wewnętrznej strukturze złego czynu? Czy subiektywny zamiar człowieka może zmienić coś w obiektywnym stanie rzeczy? Czy wyobrażony cel działania może zmienić cokolwiek w tym, co jest od wyobraźni niezależne?

Oto mam przed sobą kawałek drewna. Zacznę go traktować odtąd jako kawałek złota. Czy drewno przestanie być drewnem przez to, że ja je tak traktuję? Mam przed sobą grupę ludzi zebranych na modlitwie. Przypuśćmy, że potraktuję ją jako grupę ludzi zebranych na meczu piłki nożnej. Czy to jednak coś zmieni w tym, kim oni teraz są? Niczego nie zmieni. Dzieje się zaś tak dlatego, ponieważ to, co subiektywne, nie zmienia tego, co obiektywne.

Podobnie jest w naszym przypadku. Zło czynu istnieje obiektywnie, potraktowanie tego zła jako środka do celu nie zmienia tego, czym ono w swej istocie jest. Stąd cel działania nie uświęca środków do celu.

Ktoś mógłby mieć jednak jeszcze wątpliwości. Niektóre zasady etyczne staną się dla nas bardziej oczywiste, jeżeli tylko uświadomimy sobie konsekwencje, jakie by płynęły z nieprzestrzegania ich. Przypuśćmy zatem, że prawdziwa jest zasada „cel uświęca środki”, wtedy oczywiście popadamy w jakąś wersję idealizmu etycznego. Przyjmujemy bowiem, że nasz umysł posia-

da władzę tworzenia dobra i zła etycznego. Jako ostateczna konsekwencja wyłania się kompletna anarchia etyczna. To, co było dotąd złe, staje się dobre, i wszystko w praktyce jest dozwolone.

Himmler rozkazuje budować obozy śmierci dla dobra Rzeszy Niemieckiej. Dobro narodu to niewątpliwie cel dobry, etyczny, a zatem i obozy śmierci byłyby również dobre. Aby zapewnić sobie pokój na tyłach armii, hitlerowcy mieli zwyczaj aresztowania pewnej ilości zakładników, a potem rozstrzeliwania dla przykładu. Bezpieczeństwo cofającej się armii to cel etycznie dobry, a zatem rozstrzelywanie zakładników byłoby również dobre. Pewien człowiek chciał poślubić kobietę, którą kochał. Poślubić kobietę, którą się kocha, jest niewątpliwie rzeczą dobrą, etycznie dobrą, ale on w tym celu skrytobójczo morduje jej aktualnego męża. Gdyby cel uświęcał środki, to taka czynność byłaby również dobra. Dla dobrego celu moglibyśmy być okradani, oszukiwani, mordowani i nikt nie mógłby mieć do nikogo pretensji. Zamiast społecznego ładu mielibyśmy dżunglę, zamiast etyki — bezprawie. W ten sposób wniosek nasuwa się sam: dobry cel działania nie uświęca złych środków do celu i to bez względu na to, jak nęcące byłyby przeciwne zdania. Czynność, która nie respektuje tej zasady, jest etycznie zła.

Do dobrego celu możemy zmierzać wyłącznie dobrymi środkami. W takiej postawie tkwi niewątpliwie konsekwencja etyczna. Praktyczny przykład takiej konsekwencji daje nam Chrystus, a w ostatnich czasach np. Mahatma Gandhi. Nie można w życiu iść na kompromis ze złem. Gdy chce się dobra i jednocześnie godzi się na zło, które przychodzi z boku, w gruncie rzeczy nie chce się dobra.

Człowiek powinien zabiegać o wiedzę, ale nie przez kradzież. Zdrowie, życie, dobrobyt matki, to cenne rzeczy. Trzeba o te rzeczy zabiegać nie oszczędzając wysiłków. Lecz spędzając plód dowodzi się, że jest się w gruncie rzeczy przeciwko zdrowiu i życiu jako takiemu. Skoro człowiek pragnie dobra, trzeba, aby go pragnął konsekwentnie. Nie pragnąc dobra konsekwentnie, w gruncie rzeczy nie dobra się pragnie, lecz zła.

Kto choćby sporadycznie słuca wypowiedzi młodych na temat ich stosunku do współczesności, kto przegląda literaturę młodzieżową lub obejrzy przynajmniej niektóre filmy poświęcone tematyce młodzieżowej, ten zobaczy, że najczęściej na określenie młodego pokolenia używa się słowa „zbuntowani”. W filmie „Z soboty na niedzielę” młodzian, zresztą nader prymitywny w swych doznaniach i reakcjach, rzuca kamieniem w powstającą kolonię domków robotniczych. Dlaczego? Dlatego, że kiedyś była tam trawa, a teraz jest cywilizacja. W ankietach mówi się wiele o buncie przeciwko zgniłym normom. Mówi się o proteście przeciwko nakazom i zakazom, których sens i cel jest dla młodego nieczytelny. Protestuje się przeciwko etyce, przeciwko prawu.

Ofiarą buntu staje się również etyka katolicka. Tutaj nie rozumie się także sensu nakazu i zakazu. Nie chodzi już o to, co się nakazuje lub zakazuje, sam nakaz, sam zakaz staje się przedmiotem protestu. W normie etycznej jako takiej widzi się zagrożenie człowieczeństwa. Nie będę próbował polemizować z postawą zbuntowanych. Ale, być może, naprawdę sens zakazu i nakazu etycznego nie jest nam podany jasno. Spróbujemy zatem zająć się tym zagadnieniem.

Kiedy byliśmy jeszcze mali, dostawaliśmy różne zabawki, które miały nam uprzyjemnić życie. Szczytem marzeń za naszych czasów było dostać drewnianego konia na biegunach. Przy pomocy odrobiny wyobraźni można było toczyć na nim zwycięskie boje, odbywać dalekie podróże i pełne sukcesów polowania na grubego zwierza. Koń na biegunach stanowił wtedy dla nas wszystko. Na nim to opierał się nasz dziecienny świat kolorowych marzeń. Gdyby nam ktoś odebrał konia na biegunach, nasze życie straciłoby dla nas sens. A jednak przyszła taka chwila, że trzeba było go porzucić. Wewnątrz człowieka rozgrywa się nieustanny konflikt z samym sobą. W owym konflikcie samo życie i prawa dojrzwania zmuszają nas do porzucenia czegoś, co jest nasze, lub czegoś, co chcielibyśmy, aby było nasze, na korzyść tego, co nadchodzi. Chrystus mówi o prawie ciągłego obumierania. Najpierw porzuciliśmy naszego konia na biegunach, potem musieliśmy porzucić nasze ambicje sportowe, potem musieliśmy zrezy-

gnować z jednych studiów na rzecz drugich, potem z jakiejś posady, z jakiejś miłości, przyzwyczajenia. Jak łuska z orzechów, opada z człowieka jedna po drugiej jego nadzieja.

W etyce chrześcijańskiej są pewne zakazy: „nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, nie pożądaj”. Czasami stają się one jeszcze bardziej konkretne: „nie wypowiadaj tego słowa, nie czyn tego gestu, nie wstępuj do tego mieszkania, nie marnuj chwili czasu”. Opisują one ten zakres naszego człowieczeństwa, który trzeba nam porzucić. Etyczne zakazy obejmują to, co stanowi złudę, fałsz, miraż. Tak czy inaczej — to wszystko kiedyś odpadnie.

Drugim aspektem chrześcijańskiej etyki jest nakaz: „będziesz miłował bliźniego, czcij ojca i matkę swoją, będziesz miłował Pana Boga, będziesz święcił dzień święty”. Czasem te nakazy mogą być bardziej konkretne: „wstąp do tego domu, podaj rękę biednemu, odmów tę modlitwę” itp. Jaki jest sens tych nakazów?

Powróćmy na chwilę do naszego konia na biegunach. Przyszedł kiedyś taki dzień, w którym koń na biegunach i cały świat na nim zbudowany zaczął nam blednąć, ponieważ okazało się, że otaczający nas świat realny był ciekawszy niż świat naszego marzenia. Któregoś dnia koń na biegunach pomaszerował na strych. Staliśmy się dojrzałsi.

Człowiek jest nieustannym stawaniem się. Bez ustanku rozwija się. Nakazy etyczne wyznaczają dla niego szlaki tego rozwoju. Postępując wedle nich człowiek odzyska samego siebie i wzbogaci się o wewnętrzną prawdę.

W ten sposób widzimy, jak rysują się przed nami dwie funkcje norm etycznych. Z jednej strony wskazują to, co stoi poza barierą człowieczeństwa, z drugiej — szkicują pozytywny zarys tego człowieczeństwa, które ma się w nas ucieleśniać. Dlatego to życie etyczne jest ze swej istoty pewnym tworzeniem. Idąc za głosem Boga, swej ludzkiej natury i głosem sumienia, człowiek — by użyć słów św. Piotra — przyobleka się w nowego człowieka.

Dziwne są drogi edukacji człowieka przez Boga. Ale jej kressem ma być zawsze zdobycie autentycznej miłości: „Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość jeden ku drugiemu mieć będziecie”.

Proces przemiany zbuntowanego człowieka w „człowieka nowego” może dokonywać się dobrowolnie, lub może dokonywać się pod wpływem zewnętrznych okoliczności. Życie może nas wbrew naszej woli obrabować ze wszystkiego, co kiedykolwiek miało dla nas znaczenie. Zepsuł się nam nasz drewniany koń na biegunach. Przestała mieć znaczenie ambicja, sława, jakaś pasja życiowa. Stawaliśmy się coraz bardziej ogołoceni. W ten sposób sama konieczność zapędza nas do wrót, poza którymi kryje się najprostsza z rzeczy prostych: miłość człowieka do człowieka, a poprzez człowieka do Boga.

Ale może być tak, że człowiek od początku wybierze „nowego człowieka”. Wtedy życie oszczędzi mu rozczarowań. Wtedy w krótkim czasie przeżyje czasów wiele. Wszystko jedno, na jakiej drodze dokona się cały proces. Efektem będzie zawsze ucieleśnienie najprostszej z rzeczy prostych: autentycznej miłości człowieka do człowieka i w ostatecznej konsekwencji do Boga.

11. CZYN ETYCZNIE DOBRY

Po wszystkich przygotowaniach możemy wreszcie podjąć próbę zrozumienia ludzkiego czynu dobrego. Spróbujmy zatem zobaczyć, jaki jest mechanizm jego powstawania i gdzie ostatecznie ma on swe korzenie. Zagadnienie jest pod każdym względem skomplikowane.

Przypomnijmy sobie najogólniej sytuację, w której znajduje się każdy człowiek. Oto głębia jego osoby. Pod powierzchnią zmiennych nastrojów kryje się jej rdzeń: ludzkie wolne i autonomiczne „ja”. W nim leży ostateczne źródło naszego działania. Ono stanowi centrum naszej osoby.

Wokół nas istnieje świat wartości, stosownie do którego mamy wybierać i postępować. Istnieje zatem to, co dobre, to, co godne miłości, to, co sprawiedliwe, to, co słuszne. Otaczające nas wartości wpływają na nas. Skierowują ku sobie nasze sumienie, a poprzez sumienie pociągają ku sobie nas, naszą wolność i nasze „ja”.

Ponad nami istnieje Bóg. Bóg jest wartością najwyższą i twórcą

wszystkich wartości etycznych. Nasze „niespokojne serce” ostatecznie poprzez wszystkie wartości zmierza ku Niemu.

I w tym szczególnym kontekście rodzi się nasz dobry czyn. Można powiedzieć, zaczynając niejako od góry, że jest to taki czyn, którego wymaga od nas Bóg, który ponadto zostaje spełniony zgodnie z obiektywną hierarchią wartości etycznych, dalej zgodnie z głosem pewnego i prawdziwego sumienia przeduczynkowego i wreszcie taki czyn, który wypłynął z głębi ludzkiej wolności. Rozpoczynając niejako „od dołu”, można na to samo pytanie odpowiedzieć następująco: dobry czyn to czyn, który wyłania się z naszej wolności, jest zgodny z sumieniem, zgodny z obiektywną hierarchią wartości etycznych i zgodny z wolą Boga. Można to także ująć krócej: dobry czyn to czyn zgodny z wolą Boga, bo domyślam się słusznie, że będzie to jednocześnie czyn wolny, czyn zgodny z prawdziwym sumieniem i obiektywną hierarchią wartości etycznych. Mogę też powiedzieć: zgodny z prawdziwym sumieniem, bo i taki czyn będzie w harmonii z całą resztą. Pełna struktura dobrego czynu jest jednak taka, że jest on w zgodzie z wolą Bożą, z wartościami etycznymi, z sumieniem, i jest w wolny sposób podjęty. W dalsze szczegóły nie będę już tutaj wnikał. Jedno tylko wymaga bliższego rozważenia.

1. Wyobraźmy sobie taką sytuację: Oto na ulicy spotykamy kogoś, kto nas po prostu nie lubi. Z niewiadomych nam powodów ten ktoś wyświadcza nam jakąś przysługę. Niedługo potem spotykamy kogoś, kto nas kocha i kogo my kochamy. I ten ktoś znowu nam wyświadcza podobną przysługę.

Jak my oceniamy obydwie czyny?

Oczywiście naszemu wrogowi przyznamy jakąś iskrę dobra w sercu. Ale zaraz też dodamy: on nas przecież w gruncie rzeczy nienawidzi; to, co uczynił dla nas, jest sporadycznym wypadkiem, a może nawet wynika z obłudy, bo w gruncie rzeczy to człowiek przewrotny i wcale nie chce naszego dobra... Zupełnie inaczej potraktujemy przysługę człowieka, który nas kocha. Wartość jego czynu będzie błyszczeć w naszych oczach jak niczym nie sfalszowane złoto. Powstanie w nas uczucie wdzięczności i wzrost naszej miłości. I tak okaże się, że ten sam dobry czyn ma zupełnie inny charakter zależnie od tego, czy spełniająca go osoba

jest w stanie miłości ku nam, czy spełniając go, mimo wszystko trwa w stanie nie-miłości.

Przenieśmy teraz tę sytuację na nasze stosunki z Bogiem. Są ludzie, którzy żyją w stanie grzechu ciężkiego i mimo to spełniają wiele dobrych uczynków. I są także ludzie, którzy żyją w stanie łaski i również spełniają dobre uczynki. Jest rzeczą zrozumiałą, że inny charakter mają w oczach Boga jedne i drugie uczynki.

I tak pierwsze rozgrywają się w całości na płaszczyźnie natury: tu czerpią swój początek i tu znajdują swój koniec. Drugie mają swój oddźwięk na płaszczyźnie „nadnatury”, są nadnaturalnie dobre. Na ich czysto naturalnych wartościach nadbudowuje się jeszcze wartość nadnaturalna. Teologia nazywa je uczynkami z a s ł u g u j ą c y m i. Czyni zaś tak dlatego, że one to zasługują na nadnaturalną nagrodę oglądania twarzy w twarz Boga i obcowania z Tym, w imię którego podjęło się ostatecznie dobry czyn. Mówiąc językiem najprostszym: uczynki naturalnie dobre dają człowiekowi prawo do naturalnej nagrody za nie, uczynki nadnaturalnie dobre uprawniają do nadnaturalnej nagrody, oprócz oczywiście nagrody naturalnej.

A zatem: dla chrześcijanina ideałem dobrego uczynku jest taki uczynek, który oprócz tego, że jest zgodny z wolą Bożą, obiektywną hierarchią wartości etycznych, sumieniem, że płynie z wolności, jest jeszcze dokonany w stanie miłości ku Bogu, tzn. w stanie łaski uświęcającej.

2. Na koniec jeszcze jeden aspekt dobrego czynu.

Dobry czyn spełniony z miłości ku Bogu jest jednocześnie uczynkiem podjętym w dobrej intencji, a zatem nie po to, by sobie samemu chwałę przynieść. Chrystus powie: „Nie czyńcie sprawiedliwości waszej przed ludźmi, aby was widziano”.

Bo człowiekowi zagraża to niebezpieczeństwo, że wybiera dobro tylko ze względu na spoglądające na niego oczy bliźnich.

Także drugie niebezpieczeństwo zagraża człowiekowi: „człowiek szuka, co jego jest”. Przez pozorne dobro przebija egoizm. Cała motywacja czynu kręci się wokół naszego egoistycznego „ja”. Nie ma wtedy mowy o miłości ku bliźnim.

Chodzi teraz o to, by człowiek, czyniąc dobro, odrzucił obydwie postawy jako błędne. Czyniąc dobro, nie może czynić dobra ani

ze względu na oczy świata, ani ze względu na własne egoistyczne „ja”. Co to pozytywnie znaczy?

Znaczy to, że mamy się zdobywać na wspaniałomyślność w czynieniu dobra. Wspaniałomyślność nie szuka nagrody u nikogo za to, co czyni z miłości. Kocha, bo kochać warto. Przebacza, bo warto przebaczać. Czyni dobro, bo warto czynić dobro. Bezinteresownie, ofiarnie. Postawa wspaniałomyślności świadczy o głębi naszego etycznego życia, bo oznacza ona konsekwencję. Czyniąc dobro, trzeba dobro czynić konsekwentnie.

Nie czyniąc dobra konsekwentnie, w gruncie rzeczy to nie dobro się czyni.

12. ZŁO MORALNE A GRZECH

Aby czyn ludzki można było uznać za czyn grzeszny, musi on być podjęty z jakąś przynajmniej dozą świadomości i jakimś stopniem wolności. Są to prawdy tak elementarne, że nie ma potrzeby przypominać ich tutaj bardziej szczegółowo. Zwrócę jedynie uwagę na sprawy najczęściej zapoznawane: na zjawisko grzechu, które wyodrębnia się od zjawiska prostego zła moralnego. Zwykle bowiem nie dość jasno ustala się ich wzajemny stosunek.

1. Po tym, co powiedzieliśmy dotychczas, możemy bez szczególnych wstępów stwierdzić: czyn etycznie zły to taki czyn, który stoi w sprzeczności z obiektywną hierarchią wartości etycznych. Konkretnie: sprzeczny ze sprawiedliwością, z godnością osoby ludzkiej, z godnością ojca, matki itd. Można jeszcze uwypuklać jeden rys: czasami zdarza się, że czyn taki nie stoi w sprzeczności z żadną z wartości etycznych, ale jest podjęty w złej intencji i wtedy również jest zły, ponieważ w istocie rzeczy to nie wartości etyczne powołały go do istnienia. O takim człowieku, który kierując się złymi motywami chce realizować dobro, mówimy, że jest przewrotny lub obłudny. Taką postawę szczególnie często piętnował Jezus w Ewangelii, ostrzegając słuchaczy, by nie czynili dobra (modlitw, postów itd.) po to, aby byli widziani przez ludzi.

Nazwać jakiś czyn człowieka czynem etycznie złym — to bardzo dużo. Ujawniamy wtedy przecież wewnętrzną sprzeczność między naturą człowieka, która dąży do dobra, a czynem człowieka, który kieruje się w stronę zła. Jakieś ciemne i niezrozumiałe siły ciągną wtedy człowieka w stronę ciemności. Ciemność rozlewa się na dnie jego duszy. Owa wewnętrzna ciemność jest też karą za sprzeniewierzenie się samemu sobie i otaczającemu nas dobru.

Ale to nie znaczy, że powiedziało się całą prawdę o złu w człowieku. Mówiąc, że coś jest złem moralnym, mówimy jedynie część prawdy. Zło ma głębszy i bardziej dramatyczny wymiar.

2. Na kartach Starego Testamentu czytamy, jak Dawid stał się powodem śmierci Uriasza, naczelnego wodza swych wojsk. Aby móc bezkarnie poślubić jego żonę, posyła go na śmierć świadomie i z premedytacją. Ale po latach przyszła chwila refleksji, wtedy stanął mu przed oczyma pełny wymiar dokonanego zła. Oto Dawid odkrywa, że jego zły czyn w jakiś tajemniczy sposób dotknął samego Boga. „Tobie samemu zgrzeszyłem i co złe wobec Ciebie uczyniłem” — powie w jednym ze swych psalmów. Dzięki odkryciu tego wymiaru uświadamia sobie, że jego zły czyn jest **g r z e c h e m**.

Zło moralne jest grzechem, ponieważ zawsze w jakiś sposób dotyka Boga.

Są ludzie, którzy czynią dobro, chociaż mają na uwadze złe cele. Wiemy, że wtedy ich czyny są w istocie złe, ponieważ ostatecznie ci ludzie zmierzają do zła. Ale oni nam mogą wmawiać coś innego. Odpowiemy im wtedy, że nie odkryli pełnego wymiaru zła i stąd ich pomyłka. Są jednak ludzie, którzy niewątpliwie posiadają wyższy stopień świadomości etycznej, którzy uznają zło swego czynu, ale nie będą mogli pojąć, że to zło było grzechem. Że w jakiś sposób dotknęli Boga żywego. Wszystko będą chcieli zamknąć w ramach stosunku między ludźmi. I tutaj będzie leżał ich błąd, analogiczny do błędu poprzedniego.

Pełny wymiar zła etycznego jest zawsze taki, że w jakiś tajemniczy sposób dotyka ono Boga. Bo Bóg wytyczył w głębi twojej duszy zarysy twego powołania. Przez łaskę sam zamieszkał w tobie. Bóg stworzył też obiektywną hierarchię wartości

etycznych, według których masz postępować. Bóg stworzył i uświęcił twego bliźniego, którego ty krzywdzisz. Twój czyn jest zatem sprzeniewierzeniem się twojemu powołaniu, twojemu Chrystusowi, światu przez Boga stworzonemu, Chrystusowi w twoich bliźnich. W każdym kierunku zatem dotyka on Boga. I stąd twój czyn etycznie zły jest g r z e c h e m.

Wspomniałem, że przez czyn etycznie zły powstaje w duszy człowieka jakiś mrok. Teraz, gdy widzimy, że zło moralne jest grzechem, możemy powiedzieć coś więcej: ten mrok jest zadatkiem twojego piekła. Przez odwrócenie się od Boga, przez pustkę, którą rodzi grzech, wnika do duszy człowieka coś z piekła, jakaś jego część. I tak jest, że zanim człowiek znajdzie się w środku piekła, grzech sprawia, że jakaś część piekła znajduje się wewnątrz człowieka.

3. Ale sprawa grzechu nie wyczerpuje się na tym. Wiemy, że od czasu pierwszego upadku nasza natura jest skażona, a to skażenie ujawnia się przez skłonność do grzechu. Nasza wolność jest osią skrzywioną w stronę grzechu. Wiemy, że jakże często nie czynimy dobra, które pragniemy czynić, lecz czynimy zło, którego nie pragniemy.

Na naszą skłonność do grzechu Bóg odpowiada leczącą łaską Sakramentu Pokuty. Sakrament Pokuty nie tylko bowiem gładzi grzechy, ale również leczy naszą wewnętrzną skłonność do zła.

Znowu zatem jesteśmy w sytuacji wyboru: z jednej strony nasza skłonność do zła, z drugiej lecząca łaska Sakramentu Pokuty. Nasza wolność ma znowu wybrać.

Tak oto na dnie duszy każdego z nas trwa odwieczna polemika dobra i zła. Na każdy ciężar zła Bóg zgotował odważnik. Wszystko jest przewidziane, gotowe i do naszej dyspozycji. Człowiek ma tylko wyciągnąć rękę.

13. CNOTA JAKO ETYCZNA SPRAWNOŚĆ

„Cnota” — to słowo jest dzisiaj przegrane. Zwykle pojmuje się przez nie tzw. „cnotę czystości”, a tę z kolei uważa się,

w pewnych środowiskach, za anachronizm. Tymczasem ani my na gruncie etyki, ani psycholog na gruncie swej specjalności nie może się obejść bez tego pojęcia: cnota. Na gruncie psychologii jego zastosowanie jest, być może, ograniczone, za to na gruncie etyki jest bardzo szerokie. Spróbujmy sobie uzmysłwić, o co właściwie tutaj chodzi?

Zaobserwujmy kiedyś przy okazji, jak wprawny cieśla obrabia siekierą drewno. Jego ruchy są pewne, mocne, wykonywane z zamachem, a tak precyzyjne, że ani jedno zacięcie nie jest niepotrzebne. Spróbujmy potem sami robić to samo. Okaze się, że nasze ruchy są niepewne, uderzenia pozbawione precyzji, drewno pokaleczone i cały efekt roboty bardzo żaloszny. Jest to zupełnie zrozumiałe: cieśla ma wprawę w obróbce drewna, a my tej wprawy nie mamy. Inaczej mówiąc, cieśla posiada pewną sprawność, która powoduje, że jego czynność jest wykonywana szybko, łatwo, a nawet z przyjemnością, podczas gdy my tej sprawności nie posiadamy.

Czy jakiejś analogii do sprawności fizycznej nie obserwujemy również na innej płaszczyźnie? Na przykład na płaszczyźnie życia ściśle duchowego? Spójrzmy bliżej na zagadnienie. Oto początkujący i zaawansowany szachista. Oto wprawny matematyk i ktoś wykonujący dodawanie przy pomocy palców. Oto literat i autor przypadkowo skleconego listu. Różnice biją wprost w oczy. Z jednej strony czynności są wykonywane mozolnie, z trudnością, z drugiej — szybko, łatwo, z dużą dozą przyjemności. Czynności te, jak widać, mają charakter duchowy, a zatem sprawności, z których one pochodzą, są również typu duchowego.

Wśród sprawności duchowych istnieje grupa sprawności etycznych, czyli właśnie cnót. Sprawiają one, że człowiek podejmuje odnośny czyn etyczny szybko, wykonuje go z łatwością i dokładnie, doznając bardzo często przy okazji głębokiej satysfakcji.

Teologia rozróżnia dwa typy etycznych sprawności (cnót): cnoty wlane i cnoty nabyte. Pierwsze są darem Ducha Świętego, drugie są rezultatem naszych własnych usiłowań.

W dzisiejszej rozmowie ograniczymy się do omówienia cnót nabytych. Jaki jest mechanizm powstawania cnoty? Jaka jest rola cnoty w życiu człowieka?

Sprawność cieśli, o której wyżej wspomniałem, posiada charakter fizjologiczny. Powstaje ona głównie dzięki temu, że cieśla często wykonuje swoją pracę i jego ruchy zostały już dostatecznie zmechanizowane. Ale podobnie rzecz się ma ze sprawnością matematyka, szachisty, pisarza. Oprócz niewątpliwych danych wrodzonych najbardziej rozstrzygające jest tutaj po prostu częste powtarzanie czynności.

Inaczej nieco wygląda sprawa powstawania cnót.

Pierwszym, podstawowym warunkiem pojawienia się sprawności etycznej jest wewnętrzna decyzja naszej wolnej woli. Postanawiamy, że od pewnej chwili będziemy postępować jak ludzie pokorni. Albo że będziemy okazywać miłość komuś, kto jest bardzo antypatyczny. Z tego postanowienia rodzi się w nas stan pewnej wewnętrznej gotowości do wykonania odnośnego aktu: gdy tylko znajdziemy się w sprzyjających warunkach, postanowienie kiedyś podjęte ożywi się w nas i wyłoni z siebie konkretny akt pokory, miłości itp. Lecz oto odkrywamy jeszcze coś więcej. Powstały już kiedyś raz akt miłości lub pokory pozostawia po sobie jakiś ślad. Okazuje się, że jutro, pojutrze, gdy tylko okazja się powtórzy, nowy akt miłości lub pokory wyłoni się z nas o wiele łatwiej i szybciej niż akt poprzedni. Z wewnętrznej decyzji powstaje gotowość, z gotowości powstaje akt, z powtarzanego aktu powstaje sprawność. Tak oto pojawia się w nas cnota etyczna. Ma ona, jak widać, podwójne zaczepienie: z jednej strony wypływa z naszej wolności, z drugiej — wynika z powtórzeń tych samych aktów. Odkrywamy tutaj swoiste wzajemne uwarunkowanie czynu i cnoty: z jednej strony z postanowienia wewnętrznego rodzi się zarodek cnoty, z niego powstaje czyn, a z jednego i drugiego doskonała cnota. Tak uzyskana i utwierdzona cnota sprawia, że nasze czyny zostają wykonane szybko, łatwo, z głęboką przyjemnością.

*

Jakie znaczenie ma cnota dla życia człowieka?

W pewnym sensie można o człowieku powiedzieć, że on nie jest, lecz że się nieustannie dopiero staje. Dzięki swym wolnym decyzjom, dzięki odczuwanym wartościom, dzięki tysią-

com podjętych czynności człowiek nieustannie tworzy samego siebie. Ktoś uczynił siebie lekarzem, ktoś cieślą, ktoś matematykiem. Stało się tak dlatego, że wybrał i wypracował w sobie właściwe każdemu z tych zawodów sprawności. Dzięki sprawnościom o charakterze etycznym, tj. dzięki cnotom, człowiek staje się osobą etyczną (moralną), człowiekiem, który jest w pełni wrażliwy na otaczający go świat wartości etycznych i który posiada wystarczający zasób dostatecznie utrwalonych sprawności etycznych, aby można było mieć gwarancję, że nie zawiedzie także w przyszłości. Cnoty człowieka to ucieleśniona etyka. Dzięki cnotom etyka przestaje być teorią, a staje się rzeczywistością. Dzięki cnotom również człowiek przestaje być nieokreśloną plazmą, której ruchy poddane są wpływowi otoczenia, a staje się jednostką w pełni autonomiczną. Cnota to szczególne miejsce, w którym krzyżują się ze sobą z jednej strony ucieleśniona etyka, z drugiej — ukonstytuowana w osobę jednostka ludzka.

Istnieje jednak jeszcze pewna szczególna oś, wokół której obraca się tworzenie osoby w człowieku, a o której nie powiedzieliśmy dotąd ani słowa. Osią tą jest Chrystus.

„Żyję ja, już nie ja, żyje we mnie Chrystus” — pisze św. Paweł. Przez chrzest zostaliśmy wszczępieni w Chrystusa. Nasza wolność zyskała nową propozycję, którą jest naśladowanie Chrystusa. Nasza miłość zosła dotknięta przez miłość Chrystusa. To wszystko, cały ten wielki dramat, rozegrał się gdzieś w mrokach naszego „ja”.

I teraz ów zaszczeplony nam Chrystus ma się ujawnić światu. Poprzez cnotę, poprzez nasz czyn ma iść nieustanne ujawnienie Chrystusa światu. Dlatego właśnie jesteśmy członkami Jego Ciała.

I oto staje przed nami sam rdzeń, ostateczny sens naszego etycznego życia: poprzez etyczne życie każdego z nas ma się dokonywać ciągle ujawnianie się Chrystusa ludziom, Chrystusa żyjącego w nas swym i naszym życiem.

Mamy teraz zająć się podstawowymi zagadnieniami etyki szczegółowej. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj cały zespół zagadnień dotyczący stosunku człowieka do Boga. Wśród nich naczelną miejsce zajmuje wiara religijna. Przede wszystkim trzeba sobie zdać sprawę z tego, że wiara jest w gruncie rzeczy smutną koniecznością. Gdybyśmy mogli mieć wiedzę, nie potrzebowalibyśmy mieć wiary. Rzecz w tym, że nie możemy mieć wiedzy. Są rzeczy, które przerastają możliwości ludzkiego rozumu. Jest światło, które oślepia. Tak jest z Bogiem. Bóg dla człowieka jest w Swej Istocie niepoznawalny. Dlatego człowiek skazany jest na wiarę. Wiara wyklucza wiedzę. Kiedy coś wiem, nie potrzebuję w to wierzyć. Gdy wiem, ile jest elektronów w atomie wodoru, nie potrzebuję wierzyć. Lecz wiara różni się również od przypuszczenia. Przypuszczając, że jest tych elektronów np. pięć, mogę się mylić. Ale gdy wierzę uczonym, że jest tylko jeden, jestem przeświadczony, że się nie mylę. Wiara — to uznanie czegoś za prawdę, oparte na autorytecie. Im większy autorytet, tym mniejsze niebezpieczeństwo błędzenia. Wiara Bogu wyklucza wszelką możliwość błędu. Dlatego wiara religijna, nie będąc wiedzą, może być pewnością.

Wiara jest wynikiem kilku czynników: łaski, rozumu i woli. Rozum jest nieodłączny od wiary; nie można rozumu odsuwać na bok i usiłować tylko wierzyć. Rozum informuje nas, w co mamy wierzyć. Informuje nas o treści prawd, w które mamy wierzyć. Rozum mówi nam nadto, że nierozumnie jest nie wierzyć Bogu. To jest tak, jakby człowiek stanął na rozdrożu, by odczytywać drogowskazy. Miasta na horyzoncie nie widać, ale drogowskaz mówi, gdzie go należy szukać. Nie widzę miasta, ale wierzę drogowskazowi. Podobnie z rozumem w wierze. Rozum nie widzi Boga, ale odczytuje drogowskazy wskazujące kierunek. Ponieważ drogowskazy w gruncie rzeczy pochodzą od Boga, nierozumnie byłoby nie wierzyć drogowskazom. Do tego dołącza się łaska. To dziwne, ale Chrystus ciągle podkreśla, że wiara to jest coś, co pochodzi od Boga, a nie od człowieka. „Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli Ojciec mój nie pociągnie go”. „Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem, abyście szli i owoc przy-

nieśli". Bóg nas znalazł, zanim my znaleźliśmy Boga. W Ewangelii najlepszym argumentem na istnienie Boga jest szukanie Boga przez człowieka. Człowiek nie szukałby Boga, gdyby Bóg człowieka przedtem nie znalazł. Nam się wydaje, że wiara jest rezultatem naszych trosk, tymczasem nasze starania o wiarę są wynikiem Bożego działania w nas.

I wreszcie wola. Człowiek postawiony u stóp drogowskazu i pchnięty przez łaskę w stronę, którą on wskazuje, musi zdecydować się na marsz. Wola ma wybrać. Wola, która ciągle musi wybierać, ma wybrać uznanie prawdy lub jej odrzucenie. Wybierając uznanie prawdy, wybiera poddanie się jej. Wybiera przeobrażenie siebie na obraz prawdy. Wybiera nowe życie. Bez decyzji woli nie ma wiary. Człowiek waha się, stoi ciągle na huśtawce niewiedzy, niepewności, ostrożności. Nie jest za, ale nie jest też przeciw. Wieczny katechumen. Dopiero wola wyjaśnia sytuację. Podejmując swobodnie decyzję, człowiek staje po stronie prawdy. Takie są zatem trzy warunki wiary: rozum, łaska i wola. Sam akt wiary to akt uznania tego, co Bóg o sobie człowiekowi powiedział.

Wiara to podstawowy czyn etyczny, przez który człowiek zwraca się ku Bogu. Bez niej niczego nie będzie, z nią może się zacząć cała reszta.

Często narzekamy, że nie mamy silnej wiary, że nasza wiara jest ciągłym wahaniem, ciągłym wyczekiwaniem i nieustanną próbą nie wiedzieć czego. Rzeczywiście może tak być. Może brakuje naszej wierze rozeznania rozumowego. Może brakuje decyzji woli. Ale z drugiej strony wiara nie jest wiedzą. Wiara jest smutną koniecznością. Byłoby lepiej, aby dała się zamienić na wiedzę. Ale to jest niemożliwe. Gdy nie widać miasta, pozostaje tylko drogowskaz. Drogowskaz to bardzo mało w stosunku do celu, na który wskazuje, ale dla tego, kto błądzi, to bardzo dużo. Dlatego wiara to także przywilej.

15. DLACZEGO LUDZIE WIERZĄ I NIE WIERZĄ

Dlaczego ludzie odchodzą od religii? Dlaczego niektórzy z nas tracą wiarę? Jakie są motywy przejścia na ateizm lub na laicyzm? Zdawałoby się, że najprościej będzie spytać o to tych właśnie, którzy odeszli. Sam usiłowałem kiedyś to zrobić. Podawali mnóstwo powodów, np. że katolicyzm jest sprzeczny z nauką, bo na gruncie nauki istnieje teoria ewolucji i istnieje dogmat stworzenia człowieka na gruncie religii katolickiej. Tłumaczyłem, że nie jest to bynajmniej ze sobą sprzeczne. Z reguły przytakiwali, że być może, rzeczywiście, sprzeczność jest tylko pozorna. Potem powiadali, że to teoria samorodztwa odwiodła ich od wiary. Tłumaczyłem, że i tutaj nie ma sprzeczności. Mówili więc o wstecznej roli Kościoła, o Galileuszu, Giordanie Bruno, Koperniku, o inkwizycji i indeksie... Znowu tłumaczyłem mozolnie i długo, a oni przyznawali, że być może istotnie rzeczy inaczej się mają... Ale wierzącymi nie zostali. Miało się w końcu wrażenie, że cała argumentacja, którą usiłowali podeprzeć własną niewiarą, była jej skutkiem, a nie przyczyną. Zasadniczy wybór dokonał się gdzieś głębiej. Te wszystkie historie z nauką, ewolucją, inkwizycją były już tylko szukaniem podpory dla stanowiska, które zajęło się o wiele wcześniej.

Dlaczego ludzie pozostają przy wierze pomimo wielu trudności? Dlaczego są ludźmi religijnymi nawet wtedy, gdy są przekonani, słusznie czy niesłusznie — w to teraz nie wchodzę — że zachodzi jakaś sprzeczność między nauką i wiarą? Są religijni nawet wtedy, gdy nie znajdują pod ręką niczego, co by im wytłumaczyło sprawę inkwizycji. Gdy im człowiek niewierzący przytoczy wszystko, co wie na ten temat, czasami nic nie odpowiadają, czasami przyznają mu rację, ale gdy przyjdzie niedziela, znajdujemy ich razem z innymi na Mszy św. Pozostają katolikami mimo całej argumentacji przeciwnej katolicyzmowi.

Są więc ateści, którzy pozostają ateistami nawet wtedy, gdy nie mają pod ręką żadnego argumentu za niewiarą. Są ludzie wierzący, którzy pozostają wierzącymi nawet wtedy, gdy im człowiek niewierzący wytrąci chwilowo wszelki argument za prawdziwością wiary. Dlaczego jedno i drugie jest możliwe?

Dlatego, że sprawy wiary i niewiary religijnej nie rozstrzygają

się wyłącznie na płaszczyźnie dyskusji intelektualnych w typie „nauka i wiara”. Nie rozstrzygają się nawet na płaszczyźnie doznań, uczuć czy czynów moralnych. Dramat wiary i niewiary, dramat Boga czy braku Boga — to wszystko rozgrywa się w człowieku gdzieś o wiele głębiej. To wszystko dzieje się „na dnie”. Dzieje się to w tym miejscu, gdzie krystalizuje się zasadnicza postawa życiowa człowieka.

Czym jest ta postawa życiowa? Czym jest ta wiara i ten brak wiary?

Wiara religijna to uznanie, że istnieje Bóg, który stworzył człowieka i do którego człowiek ma powrócić. Ale to jeszcze nie wszystko. Istota wiary religijnej to poddanie siebie Bogu. Ofiara Bogu. Czyn ofiarny z siebie.

Niewiara religijna to uznanie, że Bóg nie istnieje, że nie ma zatem komu się ofiarować. Ale to znowu nie wszystko. Istota braku wiary religijnej to uznanie, że człowiek „stworzył” sobie Boga i że w rzeczywistości człowiek sam dla siebie jest celem życia, że zatem to człowiek jest bogiem. Taka wiara kryje się pod każdą postacią ateizmu. Jest to wiara w bóstwo człowieka.

Wiara i niewiara to w końcu pewien czyn. Czyn dokonany w najgłębszym wnętrzu człowieka. To albo czyn poddania się Bogu, albo czyn poddania się samemu sobie. Oto dlaczego niewiara jest grzechem.

Miałem dzisiaj rozmawiać z wami o wierze i o trudnościach w dziedzinie wiary. Miałem zamiar pokazać, że nie ma sprzeczności między nauką a wiarą, a zatem między religijną nauką o pochodzeniu człowieka a ewolucjonizmem, że nie ma sprzeczności między postępem a religią, że grzechy duchownych nie naruszają istoty świętości Kościoła. Ale wątpię, czy mówiąc to wszystko, dotknąłbym istoty rzeczy.

Istnieje tylko jedna prawda religii i jedna prawda niewiary. Tutaj zaczyna się wszystko i tutaj kończy — prawda, że człowiek nie jest bogiem, że Bóg jest Bogiem. Gdy człowiek uwierzy, że on sam jest bogiem, wtedy wszystko będzie dowodem jego niewiary. Gdy człowiek uwierzy, że Bóg jest Bogiem, wszystko będzie dowodem jego wiary. Gdy zyska pierwszą wiarę, traci drugą, gdy traci pierwszą — zyska drugą.

Nie można niczego powiedzieć o wierze, co nie byłoby jednocześnie powiedzeniem czegoś o modlitwie. Modlitwa to żywy oddech wiary.

Istnieją obecnie wśród ludzi rozpowszechnione dwa sposoby przeżywania modlitwy i stąd dwie formy modlitwy. Pierwszą formę stanowi modlitwa wyizolowana. Przez sześć dni tygodnia człowiek topi się w zajęciach codzienności. Niedziela przynosi ze sobą czas na modlitwę. Modlitwa pojawia się wtedy niby oaza na pustyni: otoczona świeckimi pracami, interesami, zainteresowaniami, wyizolowana od konkretnego życia; jest rezultatem protestu, walki, napięcia, które człowieka wyrwa z niepobożnej codzienności.

Drugi typ modlitwy stanowi modlitwa integralna. Nie ma w modlitwie tej radykalnej przepaści między codziennym życiem i niedzielnym modlitewnym słowem. Życie przenika modlitwa, a modlitwa życie. Życie i modlitwa to nierozzerwalna całość.

W jaki sposób jest możliwa modlitwa integralna?

Aby sobie to uprzytomnić, popatrzmy bliżej na pewne elementarne prawdy religijne. To nie jest prawda, że tylko człowiek jest zdolny do modlitwy. Istnieje prócz modlitwy ludzi również modlitwa świata. I w ludziach również — oprócz modlitwy słowa — istnieje modlitwa czynu, konkretnego życia. Święt modli się nieustannie tym, że jest, i tym, że jest taki, a nie inny. Spójrzmy na skomplikowany mechanizm działania elementarnej komórki żywego organizmu, na jej zadziwiająco złożoną budowę i prostą, zrozumiałą działalność. To, że ona jest, i to, że jest taka, a nie inna, że działa wedle nadanych jej praw — to jest jej modlitwą chwały. I tak jest z każdą cząstką otaczającego nas świata. Istnieje modlitwa wirujących elektronów, istnieje modlitwa uciekającego z szaloną szybkością małego kosmosu w nieskończoną przestrzeń wszechświata, modlitwa rozkwitającego z wiosną kwiatu jabłoni, modlitwa motyla, który żyje jedną dobę, i modlitwa wieczności, która otacza wszelki czas. Rytm maszyn, które służą człowiekowi, rytm biegnących promieni świetlnych, rytm życia i rytm śmierci — to wszystko jest najprawdziwszą modlitwą, w atmosferze, w której nieustannie żyjemy.

Pisał kiedyś św. Franciszek: „Pochwalony bądź, Panie, przez naszą siostrę ziemię, która nas żywi i chowa, i rodzi różne owoce, barwne kwiaty i zioła”. Trzeba, aby człowiek włąbił się w świat. Trzeba, aby odkrył modlitwę świata. Trzeba, aby w modlitwie świata dojrzał Boga, Stwórcę świata.

Istnieje też swoista modlitwa człowieka, inna niż modlitwa słowna. Jest to modlitwa ludzkiego czynu. Modlitwa czynu to modlitwa życia zgodnego z wolą Bożą. Lekarz, który ratuje człowieka, sam narażając się na niebezpieczeństwo śmierci, modli się swą umiejętnością i swą odwagą. Robotnik naprawiający tor kolejowy modli się swym trudem fizycznym i swym zmęczeniem. Wszystko, co człowiek robi zgodnie z wolą Bożą, przynosi Bogu chwałę i jest autentyczną modlitwą.

Modlisz się nawet wtedy, gdy stoisz w ogonku, aby posłużyć drugim. Modlisz się trudem swego przygotowania do egzaminu. Modlisz się rozmową pożyteczną z bliźnim. Swą pracą, wypoczynkiem, uśmiechem, czesaniem dziecku włosów i sadzeniem drzew na skwerze, by na świecie było piękniej. Modlisz się wtedy, gdy zwalczasz pokusę do grzechu, nienawiści. Bóg jest ukryty w modlitwie twego codziennego trudu. Trzeba nam odkryć Boga w modlitwie ludzkiego czynu.

Czym na tym tle jest nasza modlitwa słowa, którą przynosimy Bogu w tej chwili? Tylko człowiek może ofiarować Bogu słowo i w słowie zamkniętą myśl. Bo tylko człowiek posiadał umiejętność tworzenia słów i zamykania w nich znaczeń. Tylko człowiek jest istotą duchową. Przez słowo składa człowiek Bogu hołd ducha, hołd wolności, hołd rozumu. Jest to najdoskonalsza forma modlitwy, bo wymaga, aby modlący miał w sobie doskonałość ducha. W modlitwie słowa duch ludzki składa hołd Bogu. Istnieje modlitwa świata materii, istnieje modlitwa ludzkiego czynu. Gdyby zabrakło modlitwy słowa, w powszechnej harmonii modlitw nastąpiłby pewien zgrzyt, dysonans i pustka. Człowiek miałby grzech, bo byłby sprawcą tego zgrzytu. Rozumiemy teraz lepiej, dlaczego etyka chrześcijańska twierdzi, że kto się nie modli, ten grzeszy.

Powiedziałem na wstępie, że istnieją dwie postacie modlitwy: modlitwa wyizolowana i modlitwa integralna. Modlitwa integralna to nic innego jak wiara i słowo. To wiara, że Bóg jest w mo-

dlitwie świata i w modlitwie twego ludzkiego czynu. To słowo, którym włączysz swego ducha w powszechną modlitwę świata.

Gdy przychodzisz do kościoła, nie sądz, że robisz rzecz nadzwyczajną i dziwną, rzecz, która stanowi oazę na pustyni bezbożności twego codziennego życia. Że to wymaga napięcia nerwów, nastroju, oderwania od świata. Robisz rzecz normalną i powszechną. Po prostu tylko się włączasz: Do naturalnej modlitwy istnienia, życia, śmierci, ludzkiego czynu — dołączasz swego ducha. To jest najprostsza, najbardziej naturalna i pospolita rzecz.

17. W BOGU POKŁADA SIĘ NADZIEJĘ

Z niezwykle bogatego zespołu zagadnień dotyczących stosunku człowieka do Boga omówiliśmy dotychczas zagadnienia wiary religijnej. Pozostaje jeszcze do omówienia zagadnienie nadziei i miłości. Zatrzymamy się teraz na sprawie religijnej nadziei.

Przed wszystkim musimy sobie uświadomić, że zawsze żyjemy jakąś nadzieją. Ważne jest tutaj słowo: *ż y j e m y* nadzieją. Oto życie nasze przeniknięte jest nadzieją niby światłem, które rozszerza horyzont widzenia i umożliwia wszelki celowy ruch w przyszłość. Ono życiu udziela życia.

Oto przygotowujemy się do egzaminu. Mijają dni, noce, krótkie przerwy na jedzenie, sen, obowiązki religijne. Co kryje się u dna podjętego trudu? Nadzieja, że kiedyś ten egzamin zdamy. Bez tej nadziei nie otwieralibyśmy książki. Ale mieć nadzieję, że zdamy egzamin, możemy tylko dzięki jeszcze bardziej podstawowej nadziei. Będzie to nadzieja ukończenia studiów, głębiej: spełnienia własnego powołania życiowego, jeszcze głębiej: sensu życia w ogóle. W ten sposób jedna nadzieja zapuszcza korzenie w drugą nadzieję i tak aż do dna. Przypuśćmy, że nadzieja zdania egzaminu była złudzeniem. Oblaliśmy egzamin, wtedy pozostaje nam jeszcze inna nadzieja: ukończenie innych studiów. Gdyby i to odpadło, pozostanie jeszcze nadzieja zrealizowania innego powołania życiowego, jakiegoś dalszego sensu życia. A gdyby z nas, jak łuska po łusce, odpadła nawet ostatnia nadzieja, wtedy popadlibyśmy w rozpacz. Stanęlibyśmy całkowicie pokonani, niezdolni

do życia, ruchu. Brak nadziei to rozpacz. Iskra nadziei, choćby niewielka, to ruch, życie, moc do podejmowania trudów.

Żyjemy nieustannie jakąś nadzieją. U dna nadziei cząstkowych spoczywa podstawowa nadzieja, nadzieja tego, że ma sens wszelka nadzieja cząstkowa. Jest to ostatecznie nadzieja religijna. Jej to poświęcimy dzisiejszą rozmowę. Zapytamy, z jakiej sytuacji wyrasta nadzieja i do kogo ona ostatecznie się kieruje.

Student, który ma świadomość, że czeka go egzamin, żyje tym samym w sytuacji pewnej próby życiowej, z której pragnie się czym prędzej wyzwolić. Zakochany, czekający na chwilę, w której jego miłość znajdzie przychylnie przyjęcie, przeżywa próbę oczekiwania, niepewności, lęku. Wszelka nadzieja, nawet ta drobna, kładąca się blaskiem na każdym konkretnym czynie człowieka, wyrasta z jakiejś życiowej próby i jest odpowiedzią na tę próbę. Dopóki jest człowiek przekonany, że nie przegrał ostatecznie sprawy, dopóty żywi w sobie nadzieję jako zadatek przyszłego ostatecznego zwycięstwa nad sytuacją.

Są różne próby życiowe. Są różne sytuacje próby. Oprócz próby cierpliwości, oprócz próby miłości, której trzeba być wiernym, i próby wytrwałości, którą trzeba pokonać słabość, istnieje próba życiowego sensu. W ogóle samo życie jest sytuacją próby. U korzeni małych prób leży wielka próba życia jako takiego. Próba istnienia, sensu, pewności. A może życie nie ma najmniejszego sensu? Może wraz z życiem nie ma sensu nasz egzamin i nasza miłość, i nasza wierność ideałom? Może to nie ma sensu, że usiłuję być uczciwym? Może to wszystko jedno, czy człowiek stanie po stronie diabła, czy po stronie Boga? Może dobro i zło to tylko fantazja, miraż, złudna fata morgana?

Kto przeżyje cały sens tych pytań, ten zobaczy w całej jasności tragizm ludzkiego istnienia. Ten zobaczy w głównych zarysach swą własną życiową próbę. Nie próbę siebie jako studenta, jako zakochanego, ale próbę siebie jako człowieka. Wszelka nadzieja jest odpowiedzią na sytuację próby. Nadzieja religijna jest odpowiedzią na próbę ludzi jako ludzi. Oto skąd się ona w końcu bierze.

Drugi aspekt nadziei stanowi to, ku komu się ona kieruje. Uprzytomnijmy sobie sens zdania: „W Tobie pokładam swą nadzieję”. Brzmi ono zaiste tragicznie i jakoś bezradnie, ale równo-

cześniej jest pełne ufności i nieśmiałości, delikatnej, jak wszystko, co ludzkie, miłości. Student pokłada swą nadzieję w uczciwości egzaminatora. Zakochany — w wierności drugiej strony. Nadzieja zawsze zmierza w kierunku jakiejś osoby. A nadzieja religijna, ta, która ożywia wszelką cząstkową nadzieję — dokąd zmierza ta nadzieja? Gdy zrodzi się w człowieku świadomość, że jest w sytuacji próby i że w tej sytuacji jest w końcu bezradny, bo nie wszystko od niego zależy, wtedy też rodzi się w nim nadzieja boska: „W Tobie, Boże, pokładam swą nadzieję... W ręce Twoje oddaję...” Co człowiek oddaje? Sens swego życia. Oddaje Temu, kogo wybrał. A wybrał Boga, nie szatana. Wraz z tym pokładam w Bogu ostatecznie wszelkie cząstkowe nadzieje. Zatem tę nadzieję egzaminu, miłości, nadzieję tego, że ma sens każde moje spotkanie z ludźmi, mój dzień i moja noc, mój uśmiech i mój płacz. Nadzieja swym naturalnym ciężarem zmierza w stronę Boga. Kto straci nadzieję najbardziej zasadniczą i podstawową, ten straci wszelkie cząstkowe nadzieje. Popadnie w rozpacz. Będzie niezdolny do ruchu, wzrostu. W samym rdzeniu zostanie dotknięty przez śmierć. Utrata nadziei to początek śmierci.

Na koniec tylko jeszcze jedno. Jesteśmy ludźmi wierzącymi. Wierzmy zatem, że jest Bóg, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, że Bóg tak umiłował świat, iż Syna swego dał, że Bóg powołał nas do życia, że każdemu dał szczególną misję życiową. Wierzmy także, że włos z głowy człowieka nie spadnie bez woli Ojca, który jest w niebie. Nasza sytuacja próby jest nam nadana przez Boga. Nadzieja, która z niej wyrasta, zmierza ostatecznie w stronę Boga.

Gdybyśmy utracili nadzieję, sugerowalibyśmy Bogu, że skłamał, że nie umiłował świata, że nie dał nam niczego, że wszystko jest absurdem. Sugerowalibyśmy Bogu, że nie jest Bogiem, lecz szatanem. Mielibyśmy wtedy grzech. Rozumiemy teraz lepiej, dlaczego etyka chrześcijańska twierdzi, że utrata nadziei jest grzechem.

Kilka dni temu zwierzyłem się komuś, że mam mówić o miłości Boga. Usłyszałem odpowiedź: I tak nie powiesz nic nowego.

To prawda, należy wątpić, czy komukolwiek uda się w przyszłości powiedzieć na temat miłości coś naprawdę nowego. Jeżeli jednak jesteśmy z góry skazani na powtarzanie starych prawd, wróćmy myślami do najbardziej odległych źródeł mówiących o miłości Boga. Natrafimy tam na biblijną opowieść o Abrahamie i Izaaku.

Bóg zechciał — głosi opowieść — wypróbować wierność Abrahama i zażądał od niego ofiary z jedyne go syna — Izaaka. Abraham przeżywa dramatyczny konflikt. Konflikt stawia go w sytuacji osoby absolutnie samotnej. Jest tego typu, że nikt nie może mu pomóc w jego rozwiązaniu. A może głos Boga nie jest głosem Boga? Może jest to głos jego rozpalonej wyobraźni, może jest to głos złych duchów? Abraham musi wybrać sam. Wynik biblijnego dramatu jest nam znany. Bóg przez anioła powstrzymuje rękę ojca i ofiary nie przyjmuje.

Spróbujmy wniknąć w psychologiczny aspekt sytuacji Abrahama. Co przeżył Abraham od chwili, gdy Bóg postawił go w stan próby, do chwili, gdy sytuacja jego znalazła pozytywne rozwiązanie? W jaki sposób miłość przewyciężyła wszelką próbę? Pierwsze pytanie, jakie tutaj powstaje, to pytanie, czy Bóg miał prawo żądać takiej ofiary od Abrahama? Ofiary z tego, co dla Abrahama było najbardziej cenne, to jest jego własnego syna. Ale pytanie to jest pytaniem człowieka współczesnego, który przyzwyczał się do matematyki w dziedzinie miłości. Abraham tego pytania nigdy by na serio sobie nie postawił. Przecież syna miał od Boga. Zresztą coś innego jeszcze wchodziło tutaj w grę. Dla człowieka, który miłuje, problem ofiary nie istnieje jako problem, ponieważ jego miłość nieustannie żyje jako spalająca się ofiara. Czym byłaby miłość bez ofiary? Wiązką sentymentów, które mogą wzruszać, ale nie potrafią przeistoczyć człowieka. Zakochany czeka na kochającą, chociaż jest zimno i pada deszcz. Nikt tu konieczności stania na deszczu nie kwestionuje; przecież każdy zakochany by to zrobił. Co najwyżej można się tylko dziwić temu, że po świecie chodzą jeszcze tacy romantycy. Chrystus

pyta Piotra: „Miłujesz mnie więcej niżli ci?” A Piotr odpowiada: „Ty wiesz, że Cię miłuję”. A zatem bierz mój ciężar na własne barki. Bóg zwraca się do Abrahama: „Miłujesz mnie więcej niż rodzinę, święty spokój, własnego syna? A zatem daj dowód tej miłości, oddając go w ofierze. Stój na słocie. Bierz mój ciężar. Oddaj syna”. To są logiczne następstwa wszelkiej miłości.

Miłość skazuje człowieka na ogołocenie, rezygnację, na przedsmak jakiegoś unicestwienia. Miłość jest swoistą formą oddawania człowieka w niewolę, tyle, że słodką. I dlatego właśnie Abraham nie dziwi się, lecz rozumie sedno sprawy. Wie, że człowiek miłujący każdym nerwem swego ciała i każdym odruchem serca musi być zawsze przygotowany na ofiarowanie wszystkiego, czym jest i co posiada. Ale do tego dołącza się jeszcze wiedza, którą Abraham troskliwie przechowuje w pamięci. Abraham wie, że jego trudna miłość Boga jest jedynie prostym odwzajemnieniem się za miłość, którą Bóg mu pierwiej ofiarował. Bóg zawarł z Abrahamem przymierze. Bóg Abrahamowi obiecał, że jego ród rozmnoży się na ziemi jak gwiazdy na niebie. Miłość stworzenia do Stwórcy jest zawsze tylko wdzięcznością. I oto naraz, nagle oddaj syna, pokaż, jak mnie miłujesz. W tej chwili trzeba, aby Abraham uwierzył Panu Bogu. Musi się zdobyć na bezwzględne zaufanie. Zaufanie wbrew ojcowskiemu sercu i wbrew rozumowi. Abraham musi rzucić się w absolutne ciemności, w których nie tli się żadna iskra nadziei popartej rozumowymi racjami. Wiara, zaufanie, odanie siebie w miłości to są zwykłe codzienne sprawy, to jest chleb powszedni wszelkiej miłości. Wierzę ci, mam do ciebie zaufanie, nawet wtedy, gdy pryskają wszelkie rozumowe racje. Miłość zawsze wierzy, wierzy heroicznie.

I wreszcie moment trzeci. Zwróćmy uwagę na rozwiązanie dramatu. Na początku całe zagadnienie przedstawiało się Abrahamowi jako alternatywa: albo, albo. Bóg albo syn. Albo kochasz syna i jesteś wrogiem Boga, albo kochasz Boga i jesteś wrogiem syna. Tymczasem rozwiązanie problemu jest inne: będziesz miłował syna, bo miłujesz Boga. Człowiek ma właściwie tylko jedną miłość, miłość Boga. Jeżeli tą miłością nie obejmuje ludzi, którzy są dziećmi Boga, ani Boga naprawdę nie miłuje, ani człowieka. Bóg uczy człowieka miłości dogłębnej, obejmującej wszystko.

W ten sposób stało się, że o miłości nie powiedziałem nic no-

wego. Wskazałem rzecz starą, którą od początku do końca przeżył już stary Abraham. Że miłość jest związana z ofiarą, że wiąże się również z zaufaniem, że trzeba, by była powszechna. I ubocznie, że miłość Boga to jest sprawa bardzo trudna, choć bardzo podstawowa.

Ale co my na to? Co na to my, ludzie XX wieku, ludzie wieku elektronów i komór gazowych do spalania niemowląt? Co my mamy robić z naszą miłością Boga? Miłość Boga to sprawa, którą człowiek wypracowuje w sobie przez całe życie. Miłość Boga dojrzewa w nas jak ziarno, jak owoc, jak wszystko, co żyje i rośnie.

Miłość Boga żąda ofiary. Przyjdzie chwila, że będziesz musiał w imię miłości Boga porzucić może małą, może wielką rzecz, ale zawsze rzecz cenną, jakieś „dziecko” drogie twemu sercu. Miłość wymaga ofiar. Miłość wymaga zaufania, wiary. A zatem będzie w twoim życiu wszystko ciemne. Żadnej rady, żadnej pociechy, żadnej wiedzy. Będzie mozolna droga na górę ofiarowania. Zupełna ciemność. Miłość zażąda rzucenia się w ciemność. Wydawać ci się będzie, że to już koniec, a potem przyjdzie rozwiązanie. Ważne jest tylko, by człowiek chciał rzucić się w ciemność. Izaak wrócił do Abrahama — wróci i do ciebie. Cokolwiek było dobre i zostało dla Boga ofiarowane, wróci do ciebie. Bóg nie jest skąpy. Oddaje więcej, niż bierze. Miłość, którą ofiarujesz Bogu, jest z konieczności tylko wdzięcznością.

19. MIŁUJ SAMEGO SIEBIE

To, że każdy człowiek miłuje siebie samego, nie budzi niczyich wątpliwości. Wątpliwości pojawiają się dopiero, gdy idzie o zagadnienie źródeł miłości do samego siebie i zagadnienie zakresu tej miłości do samego siebie. Przede wszystkim natrafiamy na instynkt samozachowawczy. Zmierza on do tego, by człowieka utrzymać w istnieniu i zapewnić ciągłość ludzkiemu gatunkowi. Instynkt samozachowawczy wiąże nas biologicznymi więzami z życiem. On to wyznacza nasze umiłowanie snu i jawy, nasze przywiązanie do pokarmu i do przyjemności, on wzbudza w nas lęk przed śmiercią i przed cierpieniem. To wszystko jest w nas

mocne i ślepe zarazem, właśnie instynktowne. Instynkt żąda istnienia za wszelką cenę i bez żadnego warunku. Ale jest jeszcze inny przejaw miłości do samego siebie. Powiedziano o człowieku, że on, aby istnieć, musi się rozwijać. Ktokolwiek wykroczy poza prawo powszechnego rozwoju, tego życie wyeliminuje z gry, postawi na bocznym torze i skazuje na powolne umieranie. Rozum człowieka nieustannym wysiłkiem dąży do osiągnięcia takiej doskonałości, która pozwoli mu na zdobycie prawdy o życiu i o świecie. Wola człowieka wciąż mężnieje, pokonując napotkane przeszkody i w ten sposób coraz radykalniej uniezależnia się od ślepych popędów. Także ludzkie przywiązanie do radości dojrzewa z wiekiem: od przywiązania do zabawki poprzez przywiązanie do sukcesu, aż do zatopienia się w Bogu. Wszystkie te przejawy stawania się człowieka mają swe źródło w miłości siebie. Wtedy tylko można podjąć trud stawania się, jeżeli się siebie umiłowało.

Ale istnieje jeszcze bardziej zasadnicze źródło owej miłości: jest nim miłość Boga do nas. To, że Bóg nas miłuje, jest faktem poświadczonym przez nasze własne istnienie. Gdyby nas Bóg nie miłował, nie istnielibyśmy w ogóle. Bóg miłuje każdego z nas tak, jakby poza nami nie było na świecie żadnego innego człowieka. I ten fakt, fakt Bożej miłości ku nam, jest tym najbardziej podstawowym źródłem naszej miłości do siebie. Bóg nie może miłować nicości. Gdyby nie było w nas ani odrobiny dobra, gdybyśmy byli samą nicością, Bóg nie miłowałby nas. Lecz On nas miłuje, dowodem tego jest nasze własne istnienie. Skoro jesteśmy miłowani, jesteśmy czymś. W ten sposób wiara, że jesteśmy przez Boga miłowani, że w Jego oczach jesteśmy czymś, ta wiara staje się ostatecznym źródłem chrześcijańskiej miłości samego siebie. Mamy miłować siebie, bo Bóg nas miłuje. W ten sposób u rdzenia człowieka leży miłość Boga ku człowiekowi. Stąd rodzi się ludzka miłość do siebie samego. Ta z kolei przejawia się w różnych formach i pod różnymi postaciami: poprzez instynkt i poprzez potężny pęd do rozwoju. Lecz ludzka miłość do samego siebie może niekiedy ulegać degeneracji i wtedy przyjmie postać ubóstwiania siebie lub nienawiści do siebie.

Dziesięciu uzdrowionych trędowatych. Idą ukazać się kapłanom. I tylko jeden wraca, by podziękować Chrystusowi za uzdrowienie. Dziewięciu uzdrowionych jest przekonanych, że uzdro-

wienie nastąpiło dzięki ich prośbie, a nie dzięki łasce Chrystusa, że zatem nie ma powodu do wdzięczności. Człowiek wierzy, że sobie i tylko sobie zawdzięcza swe szczęście. Znalazł miłość na drodze swego życia — wierzy, że on jest jej sprawcą. Zbudował raketę kosmiczną — wierzy, że tylko jego geniusz jest budowniczym rakiety. Potrafił zdobyć się na przebaczenie krzywd — wierzy, że on jest cały święty i dobry, bez Boga.

Ubóstwienie człowieka polega na tym, że człowiek nie wierzy w łaskę uzdrowienia z trądu, łaskę znalezionej miłości, w łaskę rakiety kosmicznej, łaskę zdolności do przebaczenia. Natomiast wierzy, że on sam jest na miarę Boga. Wtedy to miłość własna nabrzmiewa w człowieku na miarę schorzenia. Już nie jest miłością siebie, ale ubóstwianiem siebie.

Lecz oto drugie zniekształcenie miłości do samego siebie: Judasz. Gdy Judasz zobaczył, że Chrystusa skazano na śmierć, przeżył wstrząs. W tym momencie znikły w nim resztki szacunku dla samego siebie, popatrzył na dno swej duszy, która odtąd miała być na wieczne czasy naznaczona piętnem zdrajcy Syna Bożego i zobaczył samo błoto. Błoto należy unicestwić. Judasz popełnił samobójstwo.

Gdy człowiek straci resztki miłości do samego siebie, wtedy wydaje mu się, że jest tylko błotem. Gubi się również wtedy szacunek dla samego siebie. Ciemność ogarnia duszę.

Dlaczego tak nie można? Dlaczego Judaszowi nie wolno było tak umierać, dlaczego nie wolno nam widzieć w sobie samego błota? Bo w ciemności płonie iskra miłości Boga ku nam. Nawet gdyby człowiek osiągnął dno pogardy dla samego siebie, Bóg będzie go miłował nadal. Jak długo będzie mu dawał istnienie, tak długo będzie to znak, że miłuje człowieka, że czeka, że jest gotów przebaczyć. Ponieważ Bóg ma szacunek dla człowieka, człowiek nie może tracić szacunku dla samego siebie. Miłość człowieka dla samego siebie jest złotym środkiem, który znajduje się pomiędzy ubóstwieniem siebie i nienawiścią do siebie, między pokusą Judasza i pokusą dziewięciu trędowatych. Ubóstwiać siebie znaczy stawiać siebie na miejsce Boga. Nienawidzić siebie oznacza odrzucać tę miłość, którą nas Bóg obdarzył. Prawdziwa miłość siebie znajduje się w pośrodku.

Autentyczna miłość siebie samego to także miłość własnego ciała. Co o tej miłości mówi etyka chrześcijańska? Spośród wielu tekstów Pisma św. opis stworzenia świata jest jednym z najbogatszych w etyczne treści. Oto doskonale pamiętamy: Bóg dokonuje stworzenia świata. Po każdym dziele stworzonym autor biblijny mówi: „I widział Bóg, że było dobre”. Dobra była ziemia, dobre zwierzęta i wreszcie dobre było ciało człowieka. Co więcej, było także piękne. To dobro i piękno wymaga z natury miłości. Dobre i piękne ciało człowieka wymaga także miłości i tego wszystkiego, co z miłością idzie w parze, wymaga troski i szacunku. Może się spodziewacie, że będę mówił o niebezpieczeństwach, jakie przynosi przesadna, nieuporządkowana miłość własnego ciała? Nie. Nie będę tu przestrzegał przed etycznymi konsekwencjami kultu ciała, ironizował na temat biologizmu, sportu, rytmiki dzieci. Patrząc na was na ulicy, w kościele, w czasie lekcji, jestem przekonany, że nie grozi wam przesadny kult ciała. My, ludzie zagonieni, ciągle się śpieszący, przemęczeni, my nie grzeszymy przesadną troską o ciało, grzeszymy raczej niedostatkami takiej troski.

W wiekach średnich nieuporządkowana miłość własnego ciała ujawniała się skłonnością do obżarstwa. Jedzono wtedy dużo i pito dużo. Na dworach magnackich, i nie tylko tam, zdarzały się wypadki śmierci z przejedzenia. Ojciec polskiej literatury Mikołaj Rej, potrafił spożywać za jednym posiedzeniem średniej wielkości zwierzęta. Wtedy to trzeba było stosować posty, by powstrzymać epidemię obżarstwa. Dzisiaj niebezpieczeństwo leży gdzie indziej.

Jeden z publicystów postawił pytanie: Czy wszyscy musimy zwariować? Pytanie niezwykle aktualne. W Stanach Zjednoczonych przytłaczającą większość chorych stanowią ludzie chorzy nerwowo. W Szwajcarii około 70% pacjentów leczących się w ubezpieczalniach to ludzie psychicznie chorzy. We Francji różnymi nerwicami jest spowodowane 80% absencji w pracy. W Polsce liczba nerwowo chorych leczących się w szpitalach sięga 40% ogółu pacjentów szpitalnych. Oczywiście statystyka nie obejmuje tutaj nerwic nie objętych przez kliniczne leczenie,

a takich jest dzisiaj przytłaczająca większość. To samo obserwujemy w codziennym życiu. Mamy trudności w skupieniu uwagi. Nawet kazania niedzielne muszą być zwięzłe, krótkie, operujące krótkimi zdaniami, bo dłuższej frazy nikt ze słuchaczy nie może w całości uchwycić. Konflikty pojawiają się nieustannie. Brak nam elementarnej zdolności zapominania uraz. Nie odczuwamy wartości przebaczenia. To znowu jesteśmy apatyczni. Straciliśmy władzę nad własnymi przeżyciami. Mamy mnóstwo kompleksów. Utraciliśmy pierwotną zdolność do kochania. Cała miłość wylądowuje się w prymitywnym erotyzmie. W ocenie świata nie potrafimy zdobyć się na obiektywizm. Zatracamy poczucie tożsamości z samym sobą. Nie potrafimy kochać życia. Zniknął gdzieś nasz ludzki instynkt tworzenia.

Skąd się to wszystko wzięło?

Mówimy: winne są czasy, w których żyjemy. Wojny, niepewność jutra, atmosfera intryg, insynuacji, wizja atomowej zagłady i piekielne tempo życia związane ze wzrostem automatyki. Winne jest także często fatalnie prowadzone życie erotyczne. Erich Fromm, słynny filozof amerykański, pisze o współczesnym człowieku: poddany własnej i cudzej manipulacji, pozbawiony poczucia własnej osobowości. Brak ten wywołuje głęboki niepokój. Niepokój powstaje w zetknięciu z otchłanią nicości i jest czymś bardziej przerażającym niż katusze piekła.

To dziwna rzecz. Ludzie przestali wierzyć w piekło od chwili, gdy sami sobie piekło zaczęli stwarzać na ziemi.

Czy wszyscy musimy zwariować? To pytanie ciąży nad współczesnością. Gdy Bóg stworzył człowieka, powiedział, że był dobry i piękny. Ciało człowieka jest dla człowieka wielką wartością, ponieważ jest narzędziem jego myślenia, kochania, modlitwy. Człowiek powinien doceniać prawa narzędzia. Nie może zapominać o elementarnych potrzebach własnego ciała. Oddajcie ciału to, co mu się należy. Nie mniej, nie więcej.

21. NASZ BLIŹNI JEST OSOBA

Drugi — obok zagadnień stosunku do samego siebie — kompleks problemów etyki chrześcijańskiej obejmuje wszystko, co

dotyczy stosunku do drugiego człowieka, do bliźniego. Tym sprawom poświęcimy nasze kolejne rozmowy.

W świecie nas otaczającym rozróżniamy rzeczy i osoby. Inaczej ustosunkowujemy się do rzeczy, a inaczej do osób, ponieważ czymś innym są pierwsze, a czymś innym drugie.

Co znaczy, że ktoś jest osobą? Przede wszystkim nie używamy tego terminu „osoba” na oznaczenie roślin lub zwierząt. Zwierzęta mogą co najwyżej być osobnikami. Tylko ludzie są osobami. Decydujące pod tym względem jest to, że tylko ludzie są istotami rozumnymi i wolnymi. Rozum sprawia, że człowiek może poznawać świat takim, jakim ten świat rzeczywiście jest, bez względu na korzyści, jakie mu przyniesie jego nastawienie do świata. Zwierzę widzi na świecie tylko to, co służy zaspokojeniu jego bezpośrednich potrzeb, potrzeb jego życia i jego instynktu. Zwierzę używa świata, człowiek jest zdolny do podziwiania świata.

Osoba to także wolność człowieka. Wolność jest to zdolność dokonywania wyboru. Człowiek sam sobie dobiera przyjaciół, doradców, sam dobiera sobie ideały życiowe i swój życiowy los. Tylko człowiek może chcieć być takim, jakim jeszcze nie jest, lub nie chcieć być takim, jakim jest.

Rozum i wolność sprawiają, że człowiek nie jest osobnikiem, lecz właśnie osobą. Człowiek jest istotą niepowtarzalną, jedynym w swoim rodzaju indywiduum, które w rozumny i wolny sposób może odpowiadać na zwrócone doń przez Boga wezwanie.

Ponieważ bliźni jest osobą, nasz stosunek do niego nie może być taki, jaki jest nasz stosunek do rzeczy lub do osobników. Najogólniej mówiąc i biorąc pod uwagę sytuację najbardziej typową: rzeczy są przedmiotami naszego używania. Używać czegoś to przede wszystkim chcieć za pośrednictwem używanych przedmiotów osiągnąć jakiś cel. Rzeczy są narzędziami lub środkami do osiągnięcia różnych celów. Pióro służy do pisania, obraz służy do ozdoby pokoju, rakieta do przenoszenia człowieka w przestrzeń kosmiczną. Używać to także niszczyć rzecz. W trakcie procesu używania rzeczy zostają zniszczone, zużyte. Gdy zaś cele, którym służyły, zostaną już osiągnięte, rzeczy stają się dla człowieka niepotrzebne i tracą dlań swe dotychczasowe znaczenie.

Nasz stosunek do bliźnich nie może być taki, jaki jest nasz

stosunek do rzeczy. Człowiek jest osobą, to znaczy, że jest indywiduum wolnym i rozumnym. Człowiek sam na własną odpowiedzialność wykrywa swoje życiowe cele, sam trzyma się w doborze środków do ich realizacji, sam w efekcie decyduje o własnej strukturze. Dlatego człowiek nie może stać się przedmiotem niczyjego używania. Tę prawdę akcentował Emanuel Kant. Człowiek nie może być środkiem do osiągnięcia czyjegoś celu. Człowiek może być jedynie celem działalności człowieka. Nawet gdy ludzie w machinie społecznej stają się narzędziami władzy, może to mieć miejsce wyłącznie pod warunkiem, że sami się w wolny sposób tej władzy podporządkowują, dla wspólnego dobra. Tę prawdę ukazuje Ewangelia, przykazanie miłości bliźniego.

Odkryliśmy najbardziej podstawową prawdę tego rozdziału etyki, którym mamy się obecnie zająć, rozdziału o stosunku człowieka do człowieka. Odkryliśmy prawdę opartą na samej naturze człowieka, to jest na fakcie, że człowiek nie jest rzeczą, nie jest osobnikiem, lecz o s o b ą. Człowiek powinien być celem, a nie środkiem lub narzędziem działań dla drugiego człowieka. Chrystus mówi: „Kto chce iść za Mną, niech weźmie krzyż”. Kto chce. Chrystus nie mówi: „Musisz wziąć krzyż i musisz iść za Mną”. Kto chce. Rezygnujesz z używania ludzi, gdy uznajesz, że bliźni ma własne drogi życiowe, inne niż twoje, czasami do twoich niepodobne, że zatem wcale nie musi ciebie naśladować. Rezygnujesz z używania ludzi, gdy uznajesz, że nikt nie może mieć absolutnej władzy nad drugim człowiekiem, a więc i ty nie możesz jej mieć. Rezygnujesz z używania ludzi, gdy wierzysz, że oni tak samo są wolni, rozumni, indywidualni, jak ty. Słowem: człowiek staje się celem, a nie środkiem twoich działań, jeżeli w głębi duszy uznasz, że jest takim samym, jak ty, człowiekiem. Wymaga on od ciebie uznania tych samych praw, których dla siebie od niego żadasz.

22. TRZY ZASADY NASZEGO STOSUNKU DO BLIŹNIEGO

Powiedzieliśmy, że według etyki katolickiej osoba człowieka jest wartością, że zatem może ona być wyłącznie celem, a nie

środkiem naszych działań. Nie można człowieka używać tak, jak się używa narzędzi, ponieważ człowiek posiada rozum i sam może odkrywać swe własne cele, ponieważ posiada przywilej wolności i sam może zmierzać do wytkniętych celów. Człowiek stanowi autonomiczną jednostkę. Nikt nie jest uprawniony do wnikania w sferę jego rozumu i jego wolności. Takie jest podstawowe prawo etyki chrześcijańskiej, prawo, które ostatecznie opiera się na tym, kim jest człowiek. Z podstawowego prawa etyki chrześcijańskiej o wartości ludzkiej osoby dają się wyprowadzić pochodne zasady, które bliżej regulują nasz stosunek do bliźniego.

Pierwsza zasada brzmi następująco: Największym dobrem człowieka i najpełniejszym rozwinięciem jego osobowości w doskonały sposób jest świętość. Osoba ma prawo do świętości. W dążeniu do niej realizuje się jej najgłębsze powołanie.

Fakt ten rzutuje na nasz stosunek do osoby drugiego człowieka. Jeżeli bliźni ma prawo do świętości, to wszystko, co przeszkadza mu w osiągnięciu świętości, będzie złem. Nasz stosunek do bliźnich winien więc być taki, abyśmy im nieśli pomoc, a nie przeszkadzali w ich drodze do zbawienia. Winniśmy uznać wraz ze wszystkimi konsekwencjami prawo osoby do świętości.

Zasada druga uwzględnia tę okoliczność, że bliźni nasi są w stanie pewnych potrzeb. Czegoś od nas potrzebują, oczekują, znajdują się w sytuacji swego braku, któremu my mamy zaradzić. Jednemu brak chleba, drugiemu — prawdy, trzeci jest chory i opuszczony. Są inni, którzy tych potrzeb nie mają i nie potrzebują nas. Druga zasada będzie brzmiała: im większa potrzeba bliźniego, tym większy obowiązek pomocy bliźniemu.

Zasada trzecia uwzględnia jeszcze jedną okoliczność: Są wśród naszych bliźnich ludzie nam bliżsi i ludzie stojący od nas dalej. Bliżsi to ci na przykład, którym winniśmy wdzięczność z tej racji, że nam więcej dobra wyświadczyli: dalsi to ci, którzy nam tego dobra wyświadczyli mniej. Nasz stosunek do bliźnich nie może pomijać tego faktu. Zwykle rodzice, krewni, wychowawcy zajmują pierwsze miejsce pod tym względem. Stąd też zasada trzecia: im większe więzy wdzięczności w stosunku do bliźnich, tym większy obowiązek pomocy bliźnim. Gdy matka choruje, obowiązek pielęgnowania spada najpierw na dzieci, a dopiero potem na sąsiadów.

Takie są trzy zasady regulujące nasz stosunek do bliźnich. Pierwsza brzmi: obowiązkiem człowieka jest pomagać bliźnim na drodze do świętości. Druga: im większa potrzeba bliźniego, tym większy obowiązek pomocy bliźniemu. Trzecia: im bliższe więzy, tym bardziej zniewalający obowiązek niesienia pomocy.

Współczesny styl życia skłania nas do tego, byśmy przesunęli punkt ciężkości z zainteresowania sprawami bliźnich na zainteresowanie sobą. W ten sposób współczesne życie podsyca w nas egoizm. Chrześcijaństwo odwrotnie. Stawia nas ono w pozycji służby bliźnim.

Praca zawodowa, nauka, rozrywka wtedy mają sens, gdy są powiązane ze służbą bliźniemu. „Przyszedłem służyć i duszę dać” — mówi Chrystus. W ten sposób chrześcijaństwo inspiruje naszą miłość do bliźnich. Życie nasze toczy boje pomiędzy dwoma przeciwieństwami: egoizmem tego świata i miłością innego świata. W codziennych drobnych i wielkich rozstrzygnięciach człowieka ma się rodzić nieustannie służba bliźnim, która jest wykwitem naszej miłości.

23. O MIŁOŚCI CZŁOWIEKA DO CZŁOWIEKA

Zwróciłem poprzednio uwagę na fakt, że człowiek jest osobą, a zatem nie może on być środkiem, lecz tylko celem w naszych zamiarach i działaniach. Celem naszych działań i zamiarów staje się człowiek wtedy, gdy jest przedmiotem naszej miłości. Aby głębiej zrozumieć, czym jest miłość i jaki jest jej sens, spróbujmy ją wyróżnić od doznań pokrewnych, z którymi jest ona niejednokrotnie mylona, szczególnie od sympatii, od współczucia.

Nasze zwyczajne i nadzwyczajne stosunki z ludźmi są najczęściej opromienione naszą sympatią do nich i ich sympatią do nas. Staramy się na ogół o to, by otaczać się kręgiem ludzi, którzy są dla nas przynajmniej sympatyczni. I tak przebywamy przeważnie w świecie ukonstytuowanym przez naszą sympatię. Niekiedy traktujemy ją jako miłość. Na ogół, gdyby nam przyszło uzasadnić, dlaczego żywimy sympatię do tej osoby, moglibyśmy to po pewnym namyśle uczynić. Wskazalibyśmy wtedy na niektóre wartości osoby, do której kieruje się nasza sympatia.

Okazuje się, że sympatia zakotwicza się w takich walorach, jak bystrość umysłu, poczucie humoru, zalety towarzyskie, niekiedy atrakcyjny wygląd zewnętrzny. W ten sposób daje się jakoś wytłumaczyć. Okazuje się także, że sympatia nie sięga w sferę duchowych wartości wyższego rzędu. Gdy spotkamy człowieka o głębokiej wiedzy lub głębokim życiu religijnym, wtedy sympatia ustępuje miejsca podziwowi czy uczuciu szacunku. Poza tym zachowuje ona w stosunku do człowieka swoisty dystans: szanuje cudzą wolność, nie usiłuje niczego zmieniać, jest statyczna. Gdy człowiek dla nas sympatyczny popada w życiowe tarapaty, mówimy „szkoda go”, ale na ogół sympatia nie mobilizuje nas jeszcze do niesienia aktywnej pomocy.

Miłość różni się także od współczucia. Współczucie jest reakcją emocjonalnej strony naszej osobowości na cudze nieszczęście. Widok smutku, przygnębienia, lub wprost rozpaczliwego bliźniego powoduje, że powstają w nas takie same doznania, jakie on przeżywa. Współczuć to znaczy czuć to samo, co czuje nasz bliźni w chwilach życiowych klęsk. Współczuć to znaczy dzielić jego ból, jego nadzieję wyjścia ze stanu próby lub też brak takiej nadziei.

Współczucie skłania nas do niesienia pomocy bliźniemu, ale nie skłania nas do wzięcia na nasze barki brzemienia jego nieszczęścia. Oznacza wspólnotę emocjonalną z bliźnim, ale nie oznacza wspólnoty w niesieniu krzyża, który jest źródłem tragedii. Jestem obok ciebie w tym cierpieniu, jestem w twoim bólu z tobą związany, bo sam czuję ten ból w sobie, ale nie zmuszaj mnie do tego, bym wziął na swe barki jego źródło, bym rzeczywiście niósł twój krzyż. Współczucie ma coś z połowiczności właściwej sympatii, przerasta ją jednak siłą zaangażowania się w cudzy los.

Miłość różni się od sympatii i od współczucia. Różni się przede wszystkim tym, że jest głębsza. Tamte obejmują jedynie powierzchnię mojej osoby, miłość przenika mnie całego i zmienia moją życiową postawę. Człowiek, który dojrzał do przeżycia autentycznego aktu miłości, zmienił zupełnie swe nastawienie do świata, świat stał się dla niego inny, bo on sam dla siebie stał się inny. Miłość jest zjawiskiem głębi człowieka, zjawiskiem, które bezpośrednio wkorzenia się w sferę ludzkiej intymności.

Miłość jest ponadto dynamiczna. Jest dobra i wyrozumiała, ale nie jest ślepa na wady umiłowanego człowieka; widząc je oczekuje postępu w dojrzałości i wyzwolenia się z wad. Żąda ona wolności dla umiłowanego, wolności od krępujących go ograniczeń. Daje nie tylko to, co dawała sympatia i co dawało współczucie, ale je niewymownie przerasta przez swój dynamizm. W miłości może dojść do całkowitego zapomnienia o sobie, do wyrzucenia się z siebie dla dobra drugiego, w imię wzrastania tego, do kogo nasza miłość się skierowała.

Miłość do osoby — człowieka zawiera jeszcze jeden moment: Sympatię można wytłumaczyć wartościami sympatycznej osoby. Współczucie można wytłumaczyć nieszczęściem cierpiącego człowieka. Miłości nie można niczym wytłumaczyć. Miłość do osoby, do konkretnej, niepowtarzalnej jednostki ludzkiej, jest zawsze tajemniczym „czymś więcej” niż wartości danego człowieka. Dlatego stanowi zawsze jakąś łaskę.

Bóg umiłował świat i Syna swego dał nie dlatego, że świat był wart miłości Boga. Chrystus nazwał Judasza przyjacielem, nie dlatego, by Judasz był wart tego imienia. O. Kolbe umarł za zupełnie nieznanego człowieka i jego zupełnie nieznaną sobie rodzinę. Miłość do osoby jest łaską. Łaski nie da się z niczego wyprowadzić. Powiedzieliśmy poprzednio, że osoba nie może być narzędziem naszych działań, co najwyżej ich celem. Jest to równoznaczne ze stwierdzeniem, że podstawowym doznaniem człowieka skierowanym w stronę drugiego człowieka ma być miłość, a miłość do osoby to znaczy prawdziwa wola dobra tejże osoby.

Jest niewątpliwie faktem, że każdy z nas przynajmniej raz w życiu zetknął się z taką miłością. Czasami uświadomiamy sobie nagle, że jesteśmy przez Boga umiłowani tą właśnie miłością. Pytamy w takich momentach: „Za co? Czy jesteśmy tego godni?” Nie, nie jesteśmy godni. Nikt nie jest godny miłości drugiego człowieka, a tym bardziej miłości Boga. Z tym trzeba się pogodzić. Ale to nas do czegoś zobowiązuje. Za darmo otrzymujemy, za darmo dajmy. Bóg umiłował nas, nie czekając, aż my go umiłowujemy, za nic. My miłowujemy ludzi nie pytając, za co ich mamy miłować. Cała rzecz w tym, by nasza miłość obywatela się bez pytań o nagrodę i cenę.

„A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi, i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5,44 n.).

Problem miłości do nieprzyjaciół jest centralnym zagadnieniem etyki chrześcijańskiej, a także centralnym zagadnieniem miłości. Miłość jest czymś, czego się nie da uzasadnić wartościami umiłowanego przedmiotu, ostatecznie zawsze stanowi „coś więcej” niż wartość człowieka, ku któremu się zwraca. Widać to szczególnie jasno w przypadku miłości nieprzyjaciół. Tutaj miłość kieruje się do człowieka, który dla nas chce złego, zajmuje miejsce, które normalnie powinna zajmować nienawiść. Dlaczego tak jest?

Jedyne uzasadnienie nakazu takiej miłości leży w naśladownictwie Boga, który sprawia, że Jego słońce wschodzi nad dobrymi i złymi jednocześnie, nad świętymi i nad grzesznikami, nad ofiarami obozów i nad twórcami tychże obozów. Jeżeli chcesz żyć, jak żyje Bóg, kochać, jak kocha Bóg, kochaj nieprzyjaciół. Ale to właściwie nie jest uzasadnienie. To tylko wezwanie do naśladownictwa.

Spróbujmy teraz wniknąć w ducha miłości do nieprzyjaciół. Zrozumiemy wtedy, dlaczego zajmuje ona tak szczególne miejsce w etyce chrześcijańskiej.

Przede wszystkim miłość umożliwia nam poznanie pełnej prawdy o człowieku. Bo tak już jest w miłości, że będąc czymś darmo danym — pomimo to — szuka uzasadnienia dla siebie w wartości drugiego człowieka.

Żona, która kocha męża, pomimo że mąż jest pijakiem, próbuje dokopać się w nim choć iskry dobra, aby znaleźć tam punkt zaczepienia dla swej miłości. Poprzez miłość dochodzimy do głębszego poznania człowieka. Co więcej, dochodzimy do zrozumienia człowieka. Miłość wszystko zrozumie. Chrystus powie do Judasza: „Przyjacielu, po coś przyszedł?” Chrystus rozumie Judasza tak dogłębnie, że chce mu umożliwić zrozumienie siebie. Jedynie miłość umożliwia widzenie człowieka w perspektywie prawdy. Ponadto miłość jest jeszcze życzeniem dobra dla człowieka.

Widzenie człowieka w perspektywie prawdy otwiera nam oczy na głębię człowieka i na jego istotne metafizyczne potrzeby. Widzi wroga w kategoriach ludzkich. Widzi, jak bardzo jest biedny i jednocześnie jak bardzo jest wielki, jak bardzo potrzebuje uleczenia. Miłość życzy mu tego dobra.

I wreszcie moment trzeci. Miłość nieprzyjaciół jest zawsze czymś heroicznym, co wynosi człowieka ponad samego siebie. Oznacza siłę ducha. Wyprowadza nas z ciasnego podwórka wyłącznie naszych spraw i kłopotów. Opanowuje naturalną żądzę zemsty. Wykorzenia, aż do ostatecznych granic, egoizm. Dlatego jest ostatecznym wykwittem chrześcijańskiego życia.

Te trzy elementy: widzenia człowieka w prawdzie, życzenia dobra człowiekowi, heroizm w opanowaniu siebie — sprawiają, że miłość nieprzyjaciół zajmuje centralne miejsce w etyce chrześcijańskiej. Zarzuca się czasami takiej koncepcji etyki, że jest bezradna wobec zła pleniącego się w świecie. Przeciwstawia się jej rzekomo bardziej dynamiczną koncepcję: za uderzenie — uderzenie, za policzek — policzek. Takie ujęcie sprawy wydaje się czystym nieporozumieniem. Jeśli za zło będziemy płacić złem, to kiedyż na świecie będzie koniec zła? Jeżeli na obrazę odpowiem obrażą, kiedyś będzie koniec kłótni? Jeżeli na krzywdę odpowiem krzywdą, kiedyś będzie koniec krzywdy? Jeżeli na hałas sąsiada odpowiem wzmożonym hałasem i jeżeli on podwoi swój hałas, a ty znowu, kiedyś będzie koniec awantury? Ktoś kiedyś musi powiedzieć — dość. Ktoś kiedyś musi zatrzymać w swym wnętrzu nieszczęsne koło zła. Ktoś kiedyś musi odpowiedzieć miłością na nienawiść.

Chrystus chce, aby czynili to chrześcijanie, by po tym ich rozpoznawano.

25. O NIENAWIŚCI: „KOMU BIJE DZWON”

Zaprzeczeniem miłości do osoby, lub lepiej: przeciwieństwem miłości do osoby jest nienawiść. Mówić o nienawiści jest, być może, prościej niż mówić o miłości, zwłaszcza mówić o nienawiści, która kieruje się przeciw ludziom niewinnym. Przynajmniej nie ma potrzeby uzasadniać, że jest nieetyczna. Lecz nie zawsze rzecz

jest tak oczywista. Bo nienawiść, podobnie jak miłość, niejedno ma imię. Zatem na wstępie musimy wytropić przynajmniej niektóre imiona zamaskowanej nienawiści.

Sprawa jest najzupełniej prosta, gdy idzie o nienawiść człowieka do tego, co złe, niesprawiedliwe, co grozi zniszczeniem i odbiera ludziom nadzieję. Kiedy Chrystus wszedł do świątyni i zobaczył w niej handel zamiast modlitwy, uniósł się gniewem, siłą przepędzając lichwiarzy. Jest gniew, który powstaje na widok świątyni skalanej lichwą, na widok błota rzuconego w obraz Rubensa. Gniew z powodu zła i nienawiść powstałego zła, rodzące się wtedy w człowieku, świadczą o wewnętrznej sile człowieka. Świadczą o jego umiłowaniu dobra i świętości. Człowiek nie walczyłby z lichwą w domu modlitwy, gdyby nie miłował Boga i nie cenił modlitwy. Jest zatem nienawiść, która wypływa z głębi ludzkiej miłości do tego, co święte i najcenniejsze, która wypływa z głębin ludzkiej miłości do tego, co szlachetne i godne: jest ona drugą twarzą miłości.

Nienawiść zwrócona przeciwko złu jest prawem i obowiązkiem człowieka. Inaczej ma się sprawa z nienawiścią do człowieka, do osoby. „A ja wam powiadam, że każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu”. Kto chce mieć swe miejsce w świecie Chrystusa, nie może nienawidzić osoby. To proste i oczywiste. Ale nienawiść niejedno ma imię.

Na gruncie Ewangelii spotykamy nienawiść faryzeuszów do Osoby Chrystusa. Jest jakaś nić wspólnoty pomiędzy nienawiścią świata do Chrystusa, a nienawiścią, która płynie przez historię ludzkości i zwraca się przeciwko osobie każdego człowieka, a zatem i przeciwko nam. Nienawiść faryzeuszów to była wielka nienawiść. Kazała im dzień po dniu tropić Chrystusa, kazała im gotować ciągle nowe zasadzki, aż do ostatecznego zniszczenia. Była płomieniem, który spędzał sen z oczu nienawidzących, który zżerał ich siły. Była niewidoczną więzią łączącą los nienawidzonego z losem nienawidzących. Ktokolwiek znalazł się w kręgu tej wielkiej nienawiści, znalazł się w świecie walki i zniszczenia. Wszystko jedno, czy to było tam, w Palestynie, czy to jest tu, teraz, w twoim świecie, w twoim biurze, w twojej rodzinie. Ruiny są podobne wszędzie. Straszliwa pasja niszczenia człowieka jest potworem narodzonym z wielkiej nienawiści. Jej dziełem jest

krzyż na Golgocie. W jego cieniu, w podobny kształt układają się ruiny i zgłiszczą ludzi podobnie zniszczonych.

Oprócz wielkiej nienawiści istnieje mała nienawiść. Obok nienawiści faryzeuszów istniała zimna obojętność Piłata. Piłat był zbyt mierny, by móc nienawidzić kogokolwiek, i zbyt tchórzliwy, by wiązać swój los z losem człowieka znienawidzonego przez innych. A przecież sam przyłożył rękę do krzyża, który stanął na Golgocie. Krzyż był dziełem wielkiej i małej nienawiści. W historii świata wszystko to znajduje swoje powtórzenie. Obok wielkiej nienawiści przywódców istnieje zimna obojętność wykonawców. Wokół nas żyje świat obojętny na sprawy człowieka. Kogo to obchodziło, że umierał Chrystus? Kogo to obchodzi, że umiera człowiek? Obojętność nie atakuje nikogo. Obojętność jest zbyt leniwa, by planować zasadzki na ludzi, i zbyt wygodna, by porzucać domowe pielesze dla ratowania ludzi. Ale obojętność zabija tak samo. Obojętność to także nienawiść, ale nienawiść w wydaniu miernot ludzkich, których nie stać na siłę. Krzyż Chrystusa był dziełem wielkiej nienawiści faryzeuszów i małej nienawiści Piłata.

Istnieje nienawiść i gniew sprawiedliwy: nienawiść do tego, co złe, w imię tego, co dobre. Ale nie istnieje sprawiedliwa nienawiść do człowieka.

Gdy Chrystus znalazł się w świecie nienawiści, jaki dlań zgotowali faryzeusze, to wraz z Nim znalazło się w świecie nienawiści Jego dzieło, Jego powołanie, sens Jego ofiary, a poprzez to każdy z nas. Poprzez nienawiść do Chrystusa nienawiść sięgała jakoś każdego z nas. Tak było obiektywnie. Zniszczyć Chrystusa, znaczyło zniszczyć także mnie. Nie pytaj zatem, komu bije dzwon nienawiści. Bo tak jest zawsze z nienawiścią: nie ma nienawiści, która by sięgała twego bliźniego, nie sięgając jednocześnie ciebie. Zagrożenie człowieka na drugiej półkuli jest zagrożeniem każdego z nas. A poprzez każdego z nas jest zagrożeniem Chrystusa, który zamieszkał w człowieku. Nie pytaj zatem, komu bije dzwon. Dlatego to „nie możecie dwom panom służyć”. Dlatego to „kto nie jest ze Mną, przeciwko Mnie jest”. Nie można jednych ludzi miłować, a innych nienawidzić. Wtedy nienawidzi się wszystkich. Nie pytaj zatem nigdy, komu bije dzwon nienawiści. Zawsze bije on tobie.

Jako chrześcijanin jestem obecny w świecie. Ta moja obecność w świecie ma mieć charakter chrześcijański.

Co bliżej znaczą te sformułowania?

Jako pierwsze zagadnienie staje przed nami sprawa apostołstwa w środowisku, w którym się znaleźliśmy.

Na kartach Ewangelii spotykamy wzór apostołowania, w osobie Jana Chrzciciela. Chrystus powiedział swoim uczniom: „Wy jesteście światłością świata... Nie może skryć się miasto na górze leżące... Niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli dobre czyny wasze i chwalili Ojca waszego, który jest w niebieszech”.

Zanim słowa te zostały wypowiedziane przez Chrystusa, stały się rzeczywistością w osobie św. Jana Chrzciciela.

Są dwa elementy składowe apostołstwa: dobre czyny i dawanie świadectwa słowem. Obydwa elementy wymagają bliższego rozpatrzenia.

„Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli dobre czyny wasze”. Chrystus nawiązuje w tych słowach do sprawy niezwyklej wagi. Dobry czyn w pełnym, pierwotnym znaczeniu tego słowa to czyn, w którym wyładowuje się zasadnicze powołanie człowieka do tworzenia rzeczywistości, tworzenia bytu, tworzenia dobra, bo każdy byt jest dobry. Człowiek nie może wkraczać w świat jak zwierciadło, biernie odbijające obraz. Powołaniem człowieka jest tworzenie, udział w tworzeniu dobra, zarówno dobra moralnego, jak i dobra fizycznego. Chodzi o udział w „tworzeniu” człowieka i tworzeniu rzeczy. Tu dokonuje się uzewnętrznienie naszego powołania. Oczywiście, że dobry czyn ujawnia się na szeroką skalę i trwa w czasie dopiero przez dobry skutek. Taki jest zwykły los procesów trwających w czasie. Dobry owoc wskazuje na dobry czyn. Dobrze wychowane dziecko wskazuje na miłość matki, która je wychowała. Dobrze funkcjonująca lodówka wskazuje na dobrą pracę inżyniera i wykonawcy. Czynić dobrze to dbać, by skutki naszych czynów i same czyny były dobre.

I oto mamy całą głębię apostołstwa ujętego z jednego punktu widzenia: apostołstwo chrześcijan jest zakorzenione w samym

tworzeniu świata. Nie na propagandzie polega rzecz, nie na słowie, nie na romantycznych gestach. Polega na tworzeniu w świecie dobra. To jest powołanie człowieka. Chrześcijanin nie może się wymigać od tego, by być człowiekiem. Musi być tam, gdzie tworzy się nowy świat.

Ale jest jeszcze drugi element apostołstwa — świadectwo dawane słowem. Jan wyznał i nie zaprzeczył: „Nie jestem Chrystusem”. Ludzie, szukając wzorów do naśladowania, zwracają się ku Chrystusowi: Co On czyni? Co On mówi? I chcą znaleźć odpowiedź w nas. Oczywiście byłoby pomyłką twierdzić, że oni szukają Chrystusa dzięki nam. Oni są ciekawi Chrystusa, a nie nas. Szukają, bo pociąga ich sam Jezus. My — jako Jego uczniowie — jesteśmy dla nich drogowskazem. Drogowskaz nabiera wartości wtedy, gdy ktoś szuka drogi, którą właśnie ten drogowskaz wskazuje. I oto tutaj ujawnia się nowa prawda. Pytającym mamy dać odpowiedź. Odpowiedź słowną. Mamy powiedzieć, że my nie jesteśmy Chrystusami, ale dawać słowo prawdy o Chrystusie, dać świadectwo prawdzie przez pokorę.

Drogowskaz może być spróchniały i może się chwiać. Ale jeszcze wtedy spełnia swą rolę. Nawet z kierunku jego upadku można wyczytać, jaki kierunek wskazywał. I my podobnie. Nasze uwikłanie w grzech może jeszcze ostrzegać. I w ten sposób powtórzy się na swój sposób w naszym życiu scena Janowa: „Ja nie jestem Chrystusem, lecz On. A ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u Jego sandałów”.

Są zatem jak widać dwa elementy składowe apostołstwa: czyn i słowo. Jedno i drugie składa się na naszą obecność w świecie. Sprawa naszej obecności i apostołstwa wcale nie jest jednak sielankowa. Jan Chrzciciel poniósł śmierć, ponieważ był świadkiem wiernym. I wielu innych świadków Chrystusa, wiernych świadków, spotkał taki sam los. Skąd się to wzięło? Stąd, że my jesteśmy świadkami ze swobodnego, nieprzymuszonego wyboru. Nasze świadectwo płynie z naszej wolności. Świadczymy, bo chcemy. I tutaj leży nasz codzienny dramat. Świat szuka wojny ze świadkami wyboru. Gdybyśmy byli świadkami z przypadku, mielibyśmy spokój. Ale tak nie jest. Poza tym sam świadek, jak drogowskaz, jest skazany na spryskanie błotem. Czasami sam tonie w błocie. I w ten sposób jesteśmy zaplątani w wojnę ze światem,

który walcząc z nami, myśli, że walczy z Bogiem. I jesteśmy uwikłani w wojnę z sobą, ponieważ łatwiej nam wołać o Boga, niż zmierzać do Boga. I tu leży nasz codzienny dramat. Chodzi o to, by nie rezygnować, by trwać. By wołać ciągle. Trzeba wołać nawet wtedy, gdyby to miał być tylko krzyk: „Panie, ratuj, bo giniemy”. Bo tak już jest, że nawet krzyk o ratunek jest świadectwem danym Prawdzie.

27. KU PIĘKNEMU CZŁOWIECZENSTWU

Dla ilu z nas religia jest systemem zakazów i nakazów określających człowiekowi sposób bycia w świecie rzeczy i ludzi? Jedni ten system odrzucają, gdyż sądzą, że odbiera on radość życia i spontaniczność istnienia. Inni dopiero w karbach nałożonego na siebie jasno sformułowanego prawa czują się bezpieczni.

Ewangeliczne błogosławieństwa są propozycją ustawienia życia ludzkiego w perspektywie j e d y n e j spośród tych wszystkich, które przekazała nam tradycja. Są wezwaniem do wolności, choć nie formułują anarchicznych żądań, a jednocześnie wprowadzają ład, przez ukazanie celu, kierunkującego ludzkie działanie.

W eseju tym chciałbym ukazać znaczenie etyki błogosławieństw dla budowania pięknego człowieczeństwa.

Kazanie na Górze z jego ośmiu błogosławieństwami możemy rozumieć jako drogę do urzeczywistniania nigdy dotychczas nie spełnionych tęsknot człowieka — zamieszkania w bliskości Boga.

Życie twórcze

Od dłuższego czasu w dyskusjach na tematy etyczne narasta głęboka potrzeba przywrócenia należnych praw słowu: t w o r z e n i e. Idzie o to, aby dać wyraz elementarnemu doświadczeniu, że ludzki etos jest w swej najbardziej fascynującej odmianie etosem twórczym, a nie odtwórczym. Jest z tym trochę tak, jak z działalnością artystyczną: działanie artysty jest tworzeniem, i to nawet wtedy, gdy stara się naśladować mistrza lub tylko fotografuje naturę. Tymczasem ten, kto śledzi nasze pisarstwo

o etyce, może wysnuć wniosek, że do prawdziwie etycznego czynu potrzeba wyrzec się wszelkich oryginalności, a tylko podać własną osobowość wpływowi dawno wypróbowanej normy.

Rzeczywisty czyn etyczny jest, jak czyn artysty, odkryciem i tworzeniem. Na tę tak prostą prawdę otwarł mi kiedyś oczy Henri Bergson i odtąd pielęgnuję ją w sobie jako jedno z najcenniejszych odkryć, jakie zawdzięczam filozofii. Bergson, ściśle rzecz biorąc, odróżnił dwa rodzaje moralności: moralność zamkniętą i moralność otwartą. Moralność zamkniętą buduje rozum, gdy formuluje reguły postępowania, których celem ostatecznym jest służyć organizmowi społecznemu, aby ten nie rozpadł się pod wpływem egoizmu jednostek i ciśnienia wrogich mu sił zewnętrznych. Moralność zamknięta ma charakter defensywny. Staje ona w obronie integralności grupy społecznej, która ją wytworzyła. Mówi ona: „nie zabijaj”, ale zakaz dotyczy wyłącznie członków własnego narodu, środowiska. Moralność zamknięta jest wyrazem dążenia, by interes całości rozciągał swe władztwo na interes części.

Regułą staje się powielanie czynów raz dokonanych, wypróbowanych w praktyce społecznej i dziejowej. „Nie zabijaj!” Ale dlaczego? Bo Kain zabił. Jeśli zabijesz, twoje życie będzie tułaczką Kaina.

Inaczej moralność otwarta. Ta odkrywa nowe wartości, tworzy coś, czego jeszcze nie było, niejedną raz musi zignorować prawa tradycji, bardziej niż rozumem kieruje się intuicją, która widzi to, co wymyka się schematom rozumu. Przyznaje ona prawo każdemu czynowi do tego, by sam uzasadnił siebie własnym blaskiem, bez odwoływania się do racji i zasad zewnętrznych. Stanowi o etosie wielkich przywódców moralnych ludzkości: o etosie Jezusa, św. Franciszka z Asyżu, mistyków. Obydwie moralności wywierają na siebie wpływ: intuicja zmusza rozum do otwarcia się, rozum zmusza intuicję do respektowania utrwalonego ładu społecznego. Zwykłemu śmiertelnikowi są potrzebne obydwie moralności. Idzie jednak o to, by doprowadzić między nimi do mądrej harmonii.

Jeszcze jedno wyrażenie domaga się wprowadzenia w nasze myślenie o ludzkim etosie, wyrażenie: *s p o s ó b b y c i a*. Sam

termin pochodzi od Heideggera i nie widzę powodu, aby nie oddać tutaj sprawiedliwości pomysłowi, który wydaje mi się nadzwyczaj celny. U Heideggera nie ma on wprawdzie ściśle etycznego znaczenia, ale wcale nie jest na takie znaczenie zamknięty. Zauważmy, że etyka zwraca się zazwyczaj do człowieka z jakimś mniej lub bardziej wyraźnym apelem, który ukazuje to, co człowiek powinien zrobić, a czego robić nie powinien. Mówimy popularnie, że etyka chce „rządzić naszymi uczynkami”. Ale powiedzenie takie jest niepełne. Nie znaczy to, że „uczynki” są dla etyki czymś obojętnym, lecz że etyka chce apelować głębiej, do źródeł, z których tryskają nasze uczynki.

Cóż zatem modeluje etyka? Modeluje nasz „sposób bycia”. Sposób bycia to coś więcej niż wewnętrzny akt woli. Więcej niż wyrażony na zewnątrz taki lub inny „uczynek”. Sposób bycia wiąże się ściśle z „postawą” człowieka. Ale nie daje się on zmieniać tak łatwo, jak łatwo daje się zmieniać nasza postawa wobec czegoś.

Są „sposoby bycia”, które pozwalają ludziom na ciągłe zmiany postaw i są sposoby bycia, które na coś podobnego nie pozwalają. Odnosimy wrażenie, jakby sposób bycia był w nas czymś trwałszym niż postawa, czymś bardziej źródłowym, miejscem, gdzie postawy tworzą się i obumierają. Postawy przemijają, ale sposób bycia pozostaje. Pozostaje, a jednak... Właśnie etyka swym idącym w głąb człowieka apelem chce zmieniać ludzkie sposoby bycia. Wzywa ona człowieka, by odkrył, co jest jego etosem, i by to, co odkrył, uczynił własnym sposobem bycia. Odkryć swój etos znaczy w jakiejś mierze przestać powielać stereotypy. A przestać powielać stereotypy znaczy zdobyć się na jakąś twórczość. Chodząc własnymi drogami, człowiek buduje swój etos. Co nie znaczy, że hasłem etosu jest oryginalność. Nie jest nim ani ona, ani jej przeciwieństwo, lecz jest nim dokonywane na własną odpowiedzialność i na miarę własnej wrażliwości odkrywanie „białych plam” nieobecnego dobra i „czarnych plam” obecnego zła oraz zdobywanie się na twórczość, która wypełni niedobrą pustkę. Tak tworzą się nowe reguły. Bywa, że to, co nowe, upodabnia się do tego, co już było. Bywa tak, że jest niepodobne. Ale w praktyce moralności nie o to idzie, by nowość znajdowała potwierdzenie w starym, a starość

przedłużenie w nowym. Człowiek poddany prawom etycznego *praxis* troszczy się przede wszystkim o to, by jego sposób bycia podlegał etosowi dobra konkretnego, gdy rozum, a zwłaszcza prosta, bezpośrednia intuicja powiedzą mu, że tu oto „naleźnego dobra brak”.

Każde dzieło sztuki, czy to obraz, czy utwór muzyczny, czy dzieło poetyckie, czy cokolwiek, jest konkretne i niepowtarzalne, a zarazem nosi w sobie piętno czegoś uniwersalnego, co powoduje, że zaliczamy je do określonej epoki, określonego „kierunku”, „stylu”. Podobnie z czynem etycznym. Także na gruncie etyki możemy mówić o różnych „stylach etycznych”. W ramach etyki chrześcijańskiej znajdujemy „styl franciszkański”, „styl dominikański”, „styl jezuicki”. To jednak w niczym nie zmienia oryginalności i odkrywczosci poszczególnego „czynu”, w którym znalazł swój przejaw etos jednostki. Gest św. Franciszka, który z umiłowania ubóstwa oddaje ojcu swe ubranie, jest niepowtarzalny, a jednak daje świadectwo czemuś, co jest uniwersalne. Podobnie krok o. Kolbe, który zaprowadził go do celi śmierci za towarzysza z obozowego szeregu. Na próżno staralibyśmy się wyprowadzać ich czyny z „zasad ogólnych”. Na próżno staralibyśmy się „uzasadnić” je „racjami rozumu”. Są one wolnym i odsłaniającym świadectwem czemuś, co jest wartością samo dla siebie. Ich etos bije w nas, mimo woli poddajemy się jego przekształcającemu urokowi, podobnie jak poddajemy się urokowi dzieła sztuki, którego konwencji twórczych nie znamy. „Przykłady pociągają” — powiadali starożytni. Urok odkrytego etosu wywołuje w nas odruch, który za R. M. Rilke nazwałbym chętnie „trwożną tęsknotą”. Nie jest to jednak ten rodzaj „trwożnej tęsknoty”, którą u Rilkego anioł w swym półśnie anielskim tęskni za grzechem. Wręcz przeciwnie, jest to tęsknota *t r w o ż n a*, tęsknota za jakimś, nam tylko przeznaczonym, heroizmem. Za heroizmem na miarę naszego świata i naszych miłości i na przekór półsnom naszej ludzkiej kondycji. Czyż podobne doświadczenia nie trafiają się także w sztuce? Czyż jedno arcydzieło nie bywa źródłem natchnienia dla drugiego arcydzieła? Jeżeli rzeczywiście tak jest, w takim razie trzeba, abyśmy do naszych refleksji etycznych włączyli jeszcze jedno, bezlitośnie wygnane z etyki słowo, słowo: *n a t c h n i e n i e*. Ale o nim za chwilę.

Błogosławieństwa ogłoszone przez Chrystusa w Kazaniu na Górze otwierają nową epokę w dziejach ludzkiej wrażliwości moralnej. Nie są one zestawem nakazów i zakazów, jakim był kiedyś dekalog. Są wezwaniem moralności otwartej, które zaprasza człowieka do dokonania zasadniczej zmiany jego sposobu bycia. Jest to wezwanie zadziwiające nie tylko ze względu na swą treść, lecz również ze względu na swą formę. Wezwanie nie mówi, co być powinno, a czego być nie powinno, co trzeba robić, a czego robić nie trzeba, mówi ono o tym, co n a p r a w d ę j e s t. Wezwanie bierze się z odkrycia głębszej, prawdziwszej rzeczywistości, leżącej pod warstwą pozorów, które zdają się jej zaprzeczać. Ona to właśnie jest b ł o g o s ł a w i o n a.

Cóż to za rzeczywistość? Jezus mówi: jest nią człowiek, który osiągnął szczególnie sposób bycia, który jest cichy, cierpiący dla sprawiedliwości, ubogi w duchu, pokój czyniący, czystego serca, miłosierny wobec innych. Odsłaniany przed naszymi oczami sposób bycia jest syntezą pierwiastka pasywnego i aktywnego. Dlatego właśnie jest s p o s o b e m b y c i a. Ale żeby tego rodzaju synteza była możliwa, musiał pojawić się czynnik syntetyzujący. Trzeba, aby była nim jakaś wartość osobista i podstawowa zarazem. Trzeba, aby odbijały się na niej jakieś odblaski heroizmu. Wartości tej bliżej się jednak nie określa. Trzeba, aby to odkrył dla siebie sam człowiek.

Błogosławieństwa nie stanowią zakazów ani nakazów, a jednak odsłaniają jakąś drogę do przebycia. Na jakiej zasadzie dokonuje się owo odsłanianie? Wydaje się, że nie postąpimy niewłaściwie, jeśli właśnie w tym miejscu użyjemy słowa „natchnienie”. Słowo to pochodzi z dziedziny twórczości artystycznej, ale doświadczenie, które wyraża, wiąże się z naszym odniesieniem do każdej wartości, również do dobra etycznego. Natchnienie w dziedzinie artystycznej niesie ze sobą doświadczenie otwarcia się, lub raczej otwierania się, pewnej przestrzeni świata, w którą powinien wkroczyć twórczy czyn artystyczny. Jest ono rzeczywistym, choć niewyczerpującym poznaniem czegoś, czego jeszcze nie ma, co jednak może być. Poznanie pociąga wolę do działania, skupia uczucia wokół jednego punktu, wywołuje napięcie sił twórczych.

To, czego jeszcze nie ma, działa tak, jakby już było. Pod wpływem tego działania to, co jest, zmienia się, jakby było tylko „mniej więcej”. W twórczości artystycznej prawda bytu leży po stronie bytu, którego jeszcze nie ma. Podobnie rzecz ma się w etyce. Ale tutaj tworzywem i twórcą jest sam człowiek. Tworząc dobro obok siebie, człowiek tworzy się sam. Człowiek jakby dzielił się na dwoje: tego, który istnieje pozornie, i tego, który jest naprawdę. Cierpienie nieszczęśliwych jest pozorem bytu. Prawdą bytu jest, że cierpiący są błogosławieni, a nieszczęśliwym udziela się szczęście. Błogosławieństwa odsłaniają nową przestrzeń świata ludzkiego, odsłaniają na sposób natchnienia. Dzięki temu może obudzić się nasze sumienie. I choć nie stanowią żadnych zakazów ani nakazów, są źródłem szczególnego ruchu, który niczym „tchnienie” unosi ducha ludzkiego w stronę zrozumienia tego, co jest naprawdę. Na tej drodze wartość wciela się w byt. Przyjrzyjmy się obecnie bliżej owemu „sposobowi bycia”, którego zarysy stara się oddać osiem błogosławieństw. Przede wszystkim zwróćmy uwagę na niesione przez błogosławieństwa doświadczenie c z a s u.

Błogosławieństwa odsłaniają przed nami naszą terażniejszość i naszą przyszłość. Dziś jesteśmy ubodzy duchem, cisi, łaknący sprawiedliwości, miłosierni, czystego serca, pokój czyniący, a także cierpiący dla sprawiedliwości, głodni, utrapieni — i dziś jesteśmy także błogosławieni w naszych utrapieniach.

Ale oczekuje nas jakieś jutro. Jutro smutni będą pocieszeni, miłosierni dostąpią miłosierdzia, cisi posiadą ziemię... Czas błogosławieństw jest czasem właściwym nadziei. Tak więc i sposób ludzkiego bycia, który błogosławieństwa zamierzają skonstruować, jest sposobem bycia przepojonym nadzieją. Człowiek błogosławieństw to człowiek wezwany do nadziei. Rzeczy przyszłe przewyższą utrapienia rzeczy terażniejszych. Rzeczy terażniejsze mają swój sens w rzeczach przyszłych: są drogą ku rzeczom ostatecznym. Dlatego właśnie ci, którzy na tę drogę wkroczyli, są błogosławieni.

Człowiek błogosławieństw znajduje się w kondycji pielgrzyma. Pielgrzym podąża w stronę jakiejś ojczyzny. Człowiek-pielgrzym znany już był w starożytności greckiej, choćby pod postacią Odysa, który tułał się po świecie, aby odnaleźć swój dom. Ale

w myśli judeo-chrześcijańskiej natrafiamy na zasadniczą różnicę, którą w sposób oczywisty ukazuje postać Abrahama. Odys wracał na miejsca, na których kiedyś już był, Abraham szukał ziemi, na której nigdy nie był. Cała nadzieja Abrahama była oparta na obietnicy. Cała nadzieja Odysa opierała się na wspomnieniu. Etos Abrahama jest inny niż etos Odysa, ale inny też niż etos późniejszego dekalogu. Bo czasem dekalogu jest teraźniejszość, czasem obietnicy jest przyszłość. Etos błogosławieństw nawiązuje bezpośrednio do natchnień etosu Abrahama, pomijając formułowanie nakazów i zakazów, z których przebija jednostronna troska o posłuszeństwo w chwili obecnej, bez głębszego zrozumienia sensu owej chwili. Tego rodzaju troska o chwilę rodzi się z upadków nadziei, jako wynik konieczności podtrzymania integralności narodu w obliczu niepewnego jutra. Gdy nadzieja staje się żywa i mocna, trzeba dopełnić stare prawo etosem Dobrej Nowiny, który nie tylko wierzy w jutro, ale także widzi jutro.

Na przepojonym nadzieją sposobie bycia pielgrzymia odbija swe głębokie piętno jakaś zdecydowana gotowość na heroizm. Kto kroczy naprzód z nadzieją, jest gotowy do pokonywania przeszkód. Błogosławieństwa rysują ogólny obraz takiego gotowego do pokonywania przeszkód heroizmu. Apelują tym samym do tej warstwy duszy ludzkiej, w której człowiek najchętniej chciałby zobaczyć siebie. Jesteśmy tymi, którzy najbardziej chcą widzieć siebie w spełnianych przez siebie aktach heroizmu.

Ale co jest heroizmem naprawdę, a co jest pozorem? Błogosławieństwa szkicują delikatną perspektywę w stronę heroizmu naprawdę. Człowiek głodny sprawiedliwości... Człowiek ubogi... Człowiek cichy... Człowiek miłosierny... Człowiek pokój czyniący... Na drodze naszej nadziei może pojawić się pokusa wyboru innej nadziei niż ta proponowana w błogosławieństwach. Mogą być różne koncepcje nadziei, mniej lub bardziej pełne. Wybór nadziei niepełnej jest upadkiem sposobu bycia człowieka. Heroizmem jest wierność nadziei podstawowej. Heroizmem, bo nie jest to łatwa nadzieja...

Etos błogosławieństw podsuwa nam tutaj szczególne doświadczenie wolności. Oto nadzieja królestwa uwalnia nas od zniewolenia w stosunku do świata. Wolność od tego świata jest otwarciem bram w stronę świata błogosławionych.

Kim jest Ten, kto błogosławi błogosławieństwem? Kim jest Bóg ośmiu błogosławieństw? Nie jest On ustawodawcą, który ustala nakazy i zakazy, a potem karze i nagradza. Ten Bóg nie jest Bogiem ostatecznej sankcji. A jednak wydobywa z człowieka więcej niż wszystkie bóstwa strachu razem wzięte.

Powiedzmy bez długich wprowadzeń: Bóg Błogosławieństw jest Bogiem powierzanej nadziei. Błogosławieństwa są formą obietnicy. Odpowiedzią na obietnicę jest powierzenie nadziei Temu, kto obiecuje. Wiąż powiernictwa nadziei jest czymś bezwzględnie zasadniczym we wszelkiej moralności otwartej i w natchnieniu, które z tej moralności bierze swój początek. To nie jest więc posłuszeństwo. Ale to nie jest także nieposłuszeństwo. To jest coś mocniejszego, coś najbardziej wewnętrznego, co jest życiem naszego życia... Żyjemy z powiernictwa nadziei, jak żyjemy z ziemi i deszczu.

Dopiero poprzez pryzmat powiernictwa możemy zrozumieć, czym jest miłość. Miłość w swej istocie to wzajemne powiernictwo nadziei. Bóg Błogosławieństw jest Bogiem miłości, bo proklamacją błogosławieństw składa swą tajemniczą nadzieję w ręce człowieka. Bóg działa swą powierzoną nadzieją. Człowiek daje Bogu odpowiedź powierzeniem swej nadziei. Aktem tym wchodzi w swój błogosławiony byt. Nie można o nim powiedzieć, że słucha nakazu, ani że nie słucha nakazu. Cóż tedy czyni? Używając słów samego Autora Błogosławieństw, trzeba chyba powiedzieć, ważąc ciężar każdego słowa osobno: **c z c i B o g a w d u c h u i p r a w d z i e.**

28. OBLCZE BOGA: BÓG JEST PRAWDOMÓWNY

Podajemy obecnie wysiłek rozjaśnienia tajemnicy ściśle związanej z pytaniem o sens istnienia — tajemnicy Boga. Idziemy śladami katechizmu. Nie będziemy pytać, czy Bóg jest. Nasze pytanie brzmi inaczej: Kim Bóg jest? Jakie Oblicze ma Bóg? Pytanie o Oblicze Boga jest bardziej podstawowe niż pytanie

o istnienie Boga. Gdyby ktoś nie wiedział, jak wygląda kwiat bzu, nawet gdyby kiedyś spotkał się z tym kwiatem, nie wiedziałby, z czym się spotkał.

Istnieją rozmaite obrazy Boga. Który jest bardziej autentyczny? Niełatwo na to pytanie odpowiedzieć. Mamy jednak drogowskaz. Chrystus powiedział kiedyś: „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Pójdźmy za tym drogowskazem. Spójrzmy najpierw sami na siebie, potem przenieśmy spojrzenie na Chrystusa. Spróbujmy porównać to, co zobaczymy. Na tej podstawie spróbujmy „domyśleć się” Oblicza Boga.

Właśnie taką drogę sugeruje nam katechizm. Gdy katechizm mówi coś o Bogu, posługuje się pojęciami, które w pierwszym rzędzie odnoszą się do człowieka. Znamy je dobrze z obcowania z innymi ludźmi. Pojęcia te stosujemy również do opisu prawdy Chrystusa. Katechizm mówi: Bóg jest prawdomówny. Bóg jest dobry. Bóg jest wszechmocny. Bóg jest Miłością. Bóg jest święty. Aby zrozumieć, kim jest Bóg, trzeba zrozumieć dobroć, moc, miłość, świętość człowieka. Trzeba także dobrze przyjrzeć się Twarzy Chrystusa. Oto nasza droga: od człowieka do Twarzy Chrystusa, od Twarzy Chrystusa do Oblicza Boga.

Na pierwszym miejscu katechizm mówi: B ó g j e s t p r a w d o m ó w n y.

Zastanówmy się chwilę nad sobą i nad innymi, podobnymi do nas ludźmi. Być może ktoś kiedyś postawił nam zarzut: dlaczego jesteś taki dwuznaczny? A może to właśnie my postawiliśmy taki zarzut innym? Mówiliśmy: dlaczego mnie okłamujecie, dlaczego nie jesteście przy mnie sobą? Szliśmy ulicami miasta, a twarze ludzkie wydały się nam maskami ludzi. Słuchaliśmy wypowiedzianych słów, okrągłych i dobrze ułożonych zdań, lecz wydawało się nam, że mówi się je tylko dlatego, aby ukryć myśli. Gesty rąk przestały dla nas znaczyć to, do czego zostały powołane. Otaczający nas świat był jak dekoracja sztuki pisanej przez szalonego. Wszystko nabrało dla nas charakteru złudzenia.

Co począć, aby znów odnaleźć prawdę? Prawdę słów, prawdę najprostszych gestów, prawdę o ludzkiej twarzy człowieka? Dlaczego człowiek — pytaliśmy siebie — musi zawsze bić się z innymi o swoją prawdę? Dlaczego musi ją „wyciskać” z innych?

Problem prawdy to najpoważniejszy problem człowieka. Są tacy, którzy sądzą, że człowiek nigdy prawdy nie odkryje. Są inni, ostrożniejsi, którzy sądzą, że nie odkryje pełnej prawdy o tajemnicy istnienia. Tak czy owak prawda pozostaje problemem. Nawet gdy człowiek odkrywa tę i ową prawdę o świecie czy o innych, to przecież jemu samemu bardzo trudno przychodzi być w prawdzie.

Przenieśmy obecnie nasze spojrzenie na Chrystusa. Stojąc przed Piłatem, który ma wydać wyrok, Chrystus mówi: „Jam się na to narodził i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”. Nie były to słowa wypowiedziane na wiatr. Kosztowały życie. Rozważmy je więc tak, jak na to zasługują.

Dać świadectwo prawdzie, być świadkiem prawdy... Nie chodzi tylko o to, by świadczyć słowem, takim czy owym uczynkiem, idzie o to, by świadczyć sobą. „Jam jest droga, prawda i życie”. Aby tak świadczyć, trzeba być w prawdzie. Między mną a Chrystusem rysuje się jakaś głęboka różnica, wręcz przeciwieństwo. Człowiek z pewnością zna wiele rozmaitych „prawd”, ale jakże mu trudno na co dzień „być w prawdzie”. Nie tylko inni są dla niego źródłem złudzeń, jeszcze bardziej i częściej on sam dla siebie jest źródłem niejednego złudzenia.

W życiu Chrystusa właściwie problem złudzenia nie istniał. „Nie potrzebował, aby Mu mówiono, bo sam wiedział, co jest w człowieku”. Gdy mówił, wszyscy wiedzieli, że mówi, jak nikt dotąd nie mówił. Wiedział zdecydowanie. Wiedział, że „błogosławieni cisi”, „błogosławieni miłosierni”, „błogosławieni pokój czyniący”. Nikt nie potrafił przy Nim skłamać. Była w Nim jakaś jasność, która wydobywała na jaw wszystko, co skryte.

Ewangelista Jan powiedział: Światłość przyszła na świat.

Dokonajmy teraz kroku najważniejszego: porównajmy jedno z drugim. My wciąż wśród ciemności i On niczym wielki prześwit tajemniczego blasku prawdy. Gdy mówi o człowieku, czujemy — choć minęły wieki — że do nas mówi i nas widzi. Wie, co jest we mnie, i nie potrzeba, abyśmy my Mu mówili. Ileż to razy Jego słowo stało się dla nas „słowem życia”! Przypomnijmy sobie... Może to było to słowo: „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie”. Albo to: „Jesteście ważniejsi niż wiele wróbli”. Albo to: „Kto chce zachować siebie, straci siebie”. Z tych słów promie-

niuje ku nam jakaś p r a w d a. Wsłuchując się w nie, ulegamy jej cichemu władaniu.

W ten sposób powoli i pełni ciszy zbliżamy się do zrozumienia tego, że Bóg jest prawdomówny.

Pisał św. Augustyn: *Zrozum więc, jeśli zdołasz, duszo obciążona ciałem poddanym skażeniu, duszo przytłumiona ziemskimi myślami, rozlicznymi i różnymi; zrozum więc — jeśli zdołasz — że Bóg jest Prawdą. Napisano bowiem, że Bóg jest światłością. — Nie tą światłością, jaką widzą oczy, lecz tą, którą dostrzega serce, gdy słyszysz: to jest Prawda. Nie badaj, nie próbuj wiedzieć, co to jest Prawda. Natychmiast bowiem wyjdą na twoje spotkanie, mgły i cienie zmysłowych obrazów oraz chmury majaków wyobraźni i zamącą jasność twojego pierwszego wejrzenia, gdym tobie powiedział: Prawda. Tak, w tym pierwszym wejrzeniu jesteś olśniony jak błyskawicą, kiedy się mówi: Prawda. Trwaj w nim, jeśli możesz... (O Trójcy Świętej, s. 260 n.).*

29. BÓG JEST DOBRY

„Bóg jest dobry” — mówi nasz katechizm. Ale czym jest dobroć? Spójrzmy na dobroć w nas. Przenieśmy następnie spojrzenie na Twarz Chrystusa. „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Spróbujmy na tej podstawie zagłębić się myślą w dobroć Boga.

1. Dobroć człowieka jest zaplątana w rozmaite przeszkody, zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne. Bardziej trudne do pokonania są chyba wewnętrzne. Najpierw dobroć człowieka wymaga siły. Gdy przychodzi zmęczenie, choroba, starość, ludzie stają się często nie do zniesienia — gderliwi, okrutni, źli. Poza tym dobroć wymaga od nas jakiegoś stopnia uwagi. Człowiek często po prostu nie zauważa okazji do dobrego, a gdy coś wreszcie zobaczy, wszystko staje się już spóźnione. Być może człowiek nie jest zły, ale jest ograniczony i zawsze chce mieć rację. Bywa, że dochodząc swych racji, sieje dookoła samo zło. A skutki ograniczenia są często takie same jak skutki złości.

Ale największym spośród wrogów wewnętrznych dobroci człowieka jest lęk. Dobroć bowiem — to siła dziwna: dobroć nie wyczerpuje się w aktach dawania, ale się przez nie umacnia, po-

głębia; czuje, że im więcej daje, tym więcej chciałaby dawać. Natura dobroci przeczy fizycznym prawom przyczynowości. Im więcej wody zaczerpniemy ze studni, tym mniej wody pozostanie w studni. Wciąż musimy uzupełniać to, co zużyliśmy. Z dobrocią jest inaczej. Ona pomnaża się „zużywaniem” siebie.

Lecz wtedy właśnie ogarnia człowieka lęk o siebie. Lęk wzbudza pytanie: „do czego się tym doprowadzisz?” Człowiek zaczyna się niepokoić: „dzisiaj dam jałmużnę, jutro majątek, co mi pozostanie...?” Lęk straszy tym, że pokazuje perspektywę samozagłady. Lęk mówi: „nie możesz być dobry, musisz być zły”.

Poprzez ten lęk daje o sobie znać „złość tego świata”. Złość przenika do zmysłów człowieka i barwi je po swojemu. Wtedy wszystko staje się dla człowieka jedynie pozornie dobre. I człowiek wszystko chciałby „zdemaskować”. Gdy widzi sprawiedliwość bliźniego, myśli: to pozór, naprawdę jest tam tylko dbanie o własny interes. Prawdopodobnie to ukazywanie części, a ukrywanie całości, cierpliwość — to słabość, wierność — to nawyk. Cały świat staje się wtedy dla człowieka „zły”. Nic więc dziwnego, że na takim świecie nikomu „nie chce się dobra”. Człowiek decyduje, by być zły: „złego nikt nie zjada”.

2. Przenieśmy spojrzenie na Twarz Chrystusa. „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Spójrzmy na Jego dobroć. Jakaż formuła najlepiej oddaje jej istotę?

Przede wszystkim Jego dobroć nie zna zmęczenia: był dobry, gdy Go zerwano ze snu podczas burzy i gdy odnalazły Go wygłodniałe tłumy. Był dobry po nocy w Ogrójcu, dobry podczas krzyżowej drogi, dobry na krzyżu. Czy nas to nie zadziwia? Nas, których dobroć wydana została na łup pierwszego lepszego zmęczenia? Dobroć Chrystusa nie zna również roztargnienia, braku uwagi, niepewności. Ona wie, co trzeba dać. Czy także to nas nie zadziwia? Właśnie nas, których dobroć tyle razy dawała nie to, co trzeba; których dobroć jest tak często dobrocią zaślepioną?

Co jeszcze bardziej zdumiewające: ta dobroć nie zna lęku przed samą sobą. Ile razy trzeba przebaczać? Nie siedem, ale siedemdziesiąt siedem! Co trzeba zrobić, jeśli cię uderzą w prawy policzek? Nie bój się nadstawić lewego, naprawdę niczego wtedy nie tracisz. Jest jakaś głęboka logika w czynach Chrystusa: wszystko zaczyna się od cudu przemiany wody w wino, a potem

uczynki rosną, stają się uzdrowieniami, wskrzeszeniami umarłych, odpuszczeniami win, ofiarą krzyżową za świat. Na początku uratowało się ubogą rodzinę przed zawstydzeniem. Na końcu ocaliło się ludzkość przed zgubą.

I w tym wszystkim nie było śladu lęku.

Chrystus nie znał również świata, w którym dobro było jedynie pozorem dobra. Co nie znaczy, by nie spotkał się On z obłudą, podstępem, dwuznacznością, by jej w ostrych słowach nie demaskował. Ale sens demaskowania był szczególny: nie chodziło o to, by pokazać, że zło zwycięża wszystko, ale o to, że dobro nie potrafi z powodu zaślepienia znaleźć właściwego dla siebie ujęcia. Ludzie zabijają, bo „nie wiedzą, co czynią”. Ale wszyscy są „dziećmi Boga”.

3. Porównajmy jedno z drugim. Z jednej strony my, bardziej potrzebujący dobroci drugich niż ofiarujący ją drugim. My zmęczeni, oślepieni, ogarnięci lękiem, otoczeni światem jedynie „pozornego dobra”. Chrystus: dobroć nigdy nie zmęczona, choć człowiek zmęczony, dobroć bez zaślepienia, bez cienia lęku przed sobą, dobroć otoczona światłem „zła pozornego”. Dobroć, która wierzy, że wszyscy inni potrzebują dobroci bardziej niż ona. „Nad sobą płaczcie i nad synami waszymi”... Zarazem dobroć skromna: „Nie nazywaj Mnie dobrym, tylko jeden Bóg jest dobry”. Ale dlaczego? Może dlatego, że mimo wszystko przykrojona do ludzkich wymiarów czasu i przestrzeni i stąd zbyt konkretna, by być uniwersalną. Po prostu ludzka.

Czym w wyniku tego porównania jest dobroć Boga? To wielka tajemnica. Oddajmy ją jednym słowem: jest dobrocią niewyczerpalną. To mądre, logiczne: im więcej dała, tym więcej dać może. Dobroć, dla której nieskończone wydanie siebie jest nieskończonym pomnożeniem siebie. Dobroć dająca życie. Dać życie — znaczy być Ojcem. Więc dobroć Ojca — Rodziciela wszelkiego Życia. Sama pełnia Życia. Bez cienia lęku. Delikatna: „nie złamie trzciny nadłamanej”. Wiedząca, co dać i kiedy. Mądra.

Pisał św. Augustyn: *Bo dobra jest ziemia ze swymi wzniosłymi górami i łagodne zarysy pagórków, i równiny polne, przyjemne i żyzne uprawy; dobry jest dom o harmonijnych proporcjach, obszerny i jasny...; dobre jest serce przyjaciela...; dobry jest człowiek sprawiedliwy...; dobre jest to i dobre jest tamto. Odrzuć*

„to” albo „owo” i zobacz — jeśli możesz — samo dobro. Wtedy zobaczysz Boga, który jest... dobrocią wszelkiego dobra.

30. BÓG JEST WSZECHMOCNY

Tak się jakoś składało w dziejach, że ze wszystkich właściwości Boga ludzkie myślenie o Bogu stawiało wszechmoc na plan pierwszy. Mówiono: Bóg to Ten, który w s z y s t k o może. Człowiek patrząc na siebie i doświadczając na każdym kroku swej słabości, z zazdrością myślał o Bogu: „On może wszystko. Ile bym ja dał, aby móc wszystko!”

Popatrzymy na tę sprawę od nieco innej strony. Niechaj także dziś naszym drogowskazem będą słowa Chrystusa: „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Nie zamykajmy oczu na nasze słabości. Poprzez ich pryzmat przyjrzyjmy się mocy Chrystusa, by w ten sposób otworzyć sobie drogę do zrozumienia wszechmocy Boga.

1. Myśląc o wszechmocy poprzez pryzmat naszych niemocy, wyobrażamy sobie wszechmoc jako siłę, której nie może się oprzeć żadna inna siła. Widzimy wszechmoc jako siłę skierowaną na zewnątrz. Siła ta tworzy z niczego, panuje nad gromami i błyskawicami, pokonuje wrogie armie, w proch zmiata zuchwalców i grzeszników. Chcielibyśmy dysponować taką siłą. Niestety, bardzo nam do tego daleko.

Ale w takim przedstawieniu mocy kryje się wielki błąd. Oprócz siły działającej na zewnątrz doświadczamy także siły działającej do wewnątrz. Dzięki pierwszej — człowiek panuje nad światem otaczającym; dzięki drugiej — panuje nad sobą. Pierwsza siła sprawia, że człowiek bierze w posiadanie świat, druga — że człowiek bierze w posiadanie siebie.

Nie tylko to świadczy o sile człowieka, co człowiek zdołał zrobić. Często dowodzi jego siły to, co był w stanie zrobić, ale czego nie zrobił. Nie ten jest najsilniejszy, kto rzuci w drugiego największym kamieniem, ale ten, kto za kamień odpłaci chlebem.

Ludźmi rządzą dwie siły: jedna jest siłą fizyczną, druga — siłą moralną. Nie zawsze splatają się one w harmonię. Najczęściej są one z sobą skłócone. Tam, gdzie te dwie siły są w stanie sporu, człowiek nie może dojść do zgody z samym sobą.

2. „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Spróbujmy wejrzieć głębiej w tajemnicę mocy Chrystusa, aby poprzez nią przybliżyć nieco tajemnicę mocy Boga.

Co Chrystus mógł? Widzimy, że panował nad tajemnicą wody i wina, nad burzą i pogodą, nad falami jeziora, zdrowiem i chorobą, nad życiem i nad śmiercią. Mógł odpuścić grzechy. Zmartwychwstał. Taką była Jego moc zewnętrzna skierowana na świat, w którym człowiek żyje i któremu ulega.

Ale oprócz tego była w Nim jakaś szczególna moc wewnętrzna, moc niezwykłego panowania nad sobą. Skoro mógł zamienić wodę w wino, mógł także odwrotnie, lecz tego nie uczynił. Skoro mógł uciszyć burzę, mógł ją także obudzić, lecz tego nie uczynił. Skoro mógł przywrócić wzrok, mógł także oślepić tych, którzy pluli Mu w twarz, lecz tego nie zrobił. Mógł odebrać mowę tym, którzy Go niesłusznie oskarżali, skoro głuchoniememu przywrócił mowę. Mógł doprowadzić do śmierci Piłata, Annasza, Kajfasza... I tego też nie zrobił. Cała Jego moc zewnętrzna była poddana jakiejś tajemniczej mocy wewnętrznej. Jeśli był mocny, to raczej mocą wewnętrzną niż zewnętrzną.

O mocy więc Chrystusa wiemy i z tego, czego nie zrobił, choć mógł zrobić. Jego moc zewnętrzna jest w służbie mocy wewnętrznej. Moc fizyczna — w służbie mocy moralnej. Jego śmierć — to akt wszechmocy moralnej. Jego zmartwychwstanie — to akt wszechmocy zewnętrznej pozostającej w pięknej harmonii z mocą wewnętrzną.

Stąd jedność Jego czynu i Jego słowa, stąd prostota każdego gestu, trafność zamierzenia i trafność uczynku. Widzimy: Jego moc nie jest celem dla siebie. Jego moc jest mocą dobroci woli, dobroci, co „nie łamie trzciny nadłamanej”. Wszystko, co w Nim było mocą, było m o c ą d o b r o c i.

3. Porównajmy znowu. Z jednej strony nasze oczarowanie mocą zewnętrzną, nasze dążenie do zapanowania nad światem, nad drugim człowiekiem. A jednocześnie widoczna na każdym kroku, wciąż rosnąca niezdolność do panowania nad sobą. Im bardziej panujemy na zewnątrz, tym bardziej to, co zewnętrzne, panuje nad nami. Niewolnicy samochodów, telewizorów, kariery, kilku uznanych przez opinię słów. I — Chrystus: niezwykła zdolność do poddawania tego, co zewnętrzne, temu, co wewnętrzne. Z jed-

nej strony moc będąca ujściem ambicji, z drugiej — moc, która jest ujściem dobroci woli. Z jednej strony wieczne rozdarcie między siły, które przyszły do naszego wnętrza z zewnątrz, z drugiej — niezwykła prostota nadająca jedność siłom zewnętrznym.

A Bóg? Czym jest wszechmoc Boża?

Przejawia się ona dwojako. Tę moc, która stworzyła świat, można ewentualnie nazwać mocą zewnętrzną. Ale znajdujemy także coś jakby moc wewnętrzną. Wewnętrzna moc Boga to odwieczne zrodzenie Syna i Ducha. Wewnętrzna moc Boga to także zesłanie na świat Syna, aby świat nie zginął, lecz miał życie. Tutaj nie ma już różnicy między mocą zewnętrzną a wewnętrzną.

Ale dla nas, myślących po ludzku, niech ta różnica jeszcze pozostanie. Jeśli powiemy, że pierwsza moc stworzyła świat, to moc druga coś na tym świecie ocaliła. Co ocaliła? Ocaliła człowieka, ocaliła tę resztkę dobrej woli ludzkiej, która pali się nawet w złym czynie. Patrząc naszymi oczami łatwiej jest stworzyć niż ocalić. Bóg jest zatem wszechmocny, bo nie tylko potrafi wszystko stworzyć, ale przede wszystkim potrafi ocalić.

Patrząc po ludzku podzieliliśmy moc Boga na zewnętrzną i wewnętrzną. Myśląc o Bogu, trzeba wznieść się ponad to, co skończone, ludzkie. W gruncie rzeczy obydwie moce są jednym: absolutną mocą dobroci, która stwarzając ocala i ocalając stwarza. Jak jeden jest Bóg, tak jedna jest Jego dobroć i jedna też Jego moc.

31. BÓG JEST MIŁOŚCIĄ

„Bóg jest miłością”. Katechizm powtarza tutaj dosłownie to, co powiedział umiłowany uczeń Chrystusa — św. Jan. Przypomnijmy jeszcze raz słowa: „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Miłość Chrystusa jest odblaskiem miłości Boga, który sam jest Miłością. A czym jest nasza miłość? Trzeba nam zrozumieć naszą miłość, aby poprzez nią osiągnąć zrozumienie miłości Chrystusa.

1. Czy my wiemy, czym jest nasza miłość? Jest tyle odmian miłości! Miłość dziewczyny i chłopca, miłość męża i żony, miłość dzieci oraz rodziców, miłość macierzyńska, miłość ojcowska, miłość Ojczyzny. Na każdym z wymienionych miejsc kwitnie mi-

łość. Widocznie jednak nigdzie nie kwitnie w pełni, skoro musi kwitnąć na różnych miejscach. Miłość jest szczególnym związkiem osoby z osobą. Miłość pragnie, aby być z umiłowanym zawsze i wszędzie. Niestety, miłość człowieka do człowieka jest przywiązana do okoliczności. Może żyć jedynie w konkretnym czasie i na konkretnym miejscu. Stąd zawsze musi jej towarzyszyć jakaś tęsknota.

Chyba nie potrafimy powiedzieć, czym jest miłość. Przeżywamy miłość, każdy na swój sposób, ale nie wiemy, czym ona jest. Czy kiedykolwiek poznamy jej prawdziwą naturę? A może wcale nie potrzebujemy tego wiedzieć? Tylu spraw doświadczamy i przeżywamy, jesteśmy kierowani przez wiele doznań i uczuć, o których nie wiemy, czym naprawdę są ani skąd się biorą, więc może i z miłością rzecz ma się podobnie? Ale powiedziano: „Bóg jest Miłością”. Musimy jednak zrozumieć co nieco z miłości, by przybliżyć sobie zrozumienie Boga.

Jedno jest w nas pewne: miłość prawdziwa jest stale przedmiotem naszej nadziei. Człowiek bardziej ma nadzieję, że jutro pokocha naprawdę, niż pewnością, że naprawdę i doskonale kocha dziś. I właśnie ta nadzieja na prawdziwą miłość jest jego miłością. Miłość mieszka w nadziei, jak cel dążenia mieszka w dążeniu. W tym kryje się tragedia człowieka i jego aktualnej miłości. Ona nigdy nie może osiągnąć swej własnej prawdy. Nawet gdy w ofierze życia umiera za umiłowanego, to samą swą śmiercią powiększa swoją i jego tragedię, bo chcąc pozostać, odchodzi za bramę śmierci.

Miłości ludzkiej grożą różne niebezpieczeństwa ze strony samej miłości. Grozi jej zaślepienie sobą. Miłość ludzka często do tego stopnia kocha samą siebie, że zapomina o drugim człowieku. Wtedy nie służy ona człowiekowi, lecz domaga się, by drugi człowiek jej służył. Zamiast przynosić drugiemu spokój i szczęście, przynosi niepokój, zazdrość, ból.

Miłość ludzka daje człowiekowi smak szczęścia, smak, który jest raczej jego przedsmakiem. Szczęście ludzkiej miłości jest kruche, niepewne, zbudowane na niepewnej wolności drugiego. Pomimo to jest ono czymś tak przemożnym, że człowiek wciąż czuje w sobie ciężenie ku niemu. Ciążymy ku szczęściu jak ptaki ku gniazdom. Ale nasze gniazda zawieszane są na gałęziach po-

śród burz i deszczów. Ludzie na ogół nie bywają szczęśliwi. A gdy bywają, to często nie wiedzą o tym. Dopiero gdy gniazdo się rozpadnie, mówią: „W t e d y byliśmy tacy szczęśliwi”.

2. Spójrzmy na postać Chrystusa. Dotykamy obecnie jednej z największych Jego tajemnic.

Z pewnością Chrystusowi znane były wszystkie przeciwieństwa, w jakie miłość wtrąca człowieka. I to, że pozostając w świątyni „w sprawach Ojca”, miłość budzi bolesny niepokój rodziców. I to, że uzdrawiając dziesięciu trędowatych, nie uzdrowiła dziesięciu tysięcy innych. I to, że prawda niesiona przez ludzkie słowo, mogąca przynieść pociechę ludziom, nie sięga dalej niż ludzki głos. Miłość ludzka jest poddana ograniczeniom czasu i przestrzeni; chciałaby być zawsze i wszędzie, a może być jedynie tu i teraz. Miłość Chrystusa do ludzi była miłością ludzką, konkretną, konkretnie skierowaną.

A jednak między naszą miłością a Jego miłością rysuje się jakaś głęboka różnica: „Najpierw ta: Jego miłość wcale nie była dla Niego przedmiotem nadziei, lecz była w Nim faktem. Było raczej odwrotnie: cała Jego nadzieja płynęła z Jego najgłębszej miłości. Zbawiał ludzi, bo ich umiłował, ożywiał w nich nadzieję według tego, jak ich ukochał. Dlatego nie była to miłość ślepa. Kierując nadzieją, zawsze wiedziała, co trzeba dać, a czego odmówić. Widziała wszystko — i przeznaczenie wróbla, i przeznaczenie Piotra. Nasza miłość otwiera się według nadziei, jaką w sobie żywimy. Jego miłość otwierała nadzieję na miarę samej siebie.

I druga różnica niezmiernie ważna: Jego miłość była dla Niego Jego aktualnym szczęściem; On nie potrzebował dążyć do szczęścia. On je miał w sobie. Chrystus nie był nigdy człowiekiem nieszczęśliwym, ani przez ból, ani przez niedobrą miłość. Cierpiał wiele, lecz żadne cierpienie nie czyniło Go nieszczęśliwym, „źle uszczęśliwionym”. Nie był ptakiem tęskniącym do gniazda. On wciąż był w gnieździe. „Ja i Ojciec jedno jesteśmy”. Nikt nie czuł się tak pewny na świecie jak On. A przecież nikogo innego tak na świecie nie skrzywdzono jak Jego.

3. Spróbujmy pokusić się o zestawienie. My: miłość — wieczny przedmiot nadziei, więc i nasza miłość to naprawdę dopiero nadzieja na prawdziwą miłość. Nasze gniazdo — wciąż gdzieś przed

nami i nad nami, a w nas jeno bolesne ku niemu ciążenie i niepokój, że ono jest tak zupełnie, tak do końca — kruche.

Chrystus: miłość — odwieczne źródło nadziei, którą żył i którą przyniósł człowiekowi, a zwłaszcza tej nadziei, że człowiek pokocha Tego, który go pierwszy pokochał. Inny jest też wymiar naszego szczęścia i Jego szczęścia: my wiecznie „źle uszczęśliwieni”, choć otoczeni wygodami, przyjemnościami; On — naprawdę zawsze w sobie szczęśliwy chociaż krzyżowany.

Z tego podobieństwa i z tego przeciwieństwa ma w nas wyraść zrozumienie miłości Boga. Ma wyrastać... To znaczy, że ono ma wciąż dojrzewać na miarę zrozumienia siebie i Chrystusa.

Cóż możemy w wyniku tego narastającego zrozumienia powiedzieć o Miłości Boga już dziś?

Powiedzmy tyle: Jak w Chrystusie z miłości wypływała jego nadzieja, tak w Bogu wszystko wypływa z Miłości. Miłość przejawia się blaskami prawdomówności, darami dobroci, wszechmocą, która stwarza i ocala. Znamiennym jej rysem jest to, iż zawsze miłuje pierwsza. Ona pierwsza udziela prawdy, pierwsza udziela dobra, pierwszą udziela ocalenia, pierwsza stwarza w człowieku jego serce. Miłość Boga nie jest przejawem wdzięczności wobec człowieka za jego miłość. Jest bowiem pod każdym względem pierwsza.

Ale to nie wszystko. Bóg jest Miłością — to znaczy, że Bóg jest tym gniazdem człowieka, w którym czeka na niego oswojone szczęście. Szczęście oswojone to szczęście, które nie ucieka. Jest wieczne.

Właściwie wszystkie problemy człowieka sprowadzają się do tego, że człowiek nie jest szczęśliwy. Człowiek szczęśliwy zda się nie mieć problemów. W tym sensie ich nie ma, że żaden problem nie jest dla niego tragiczny, rozpaczliwy. Człowiek szczęśliwy potrafi stawić czoła największym przeciwieństwom. Zdobywa się na męstwo, heroizm, nawet na śmierć. Prawdziwe szczęście jest Boską Siłą działającą w człowieku. Takie szczęście nie usypia. Przeciwnie, budzi czujność.

Bóg jest Miłością — to znaczy jest Tym, kto takie szczęście daje człowiekowi. Stąd słynne zdanie św. Augustyna: *Dla siebie nas, Boże, stworzyłeś i niespokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie.*

Słowo „świętość” stało się słowem niezrozumiałym. Nie wiemy, jaką treść podstawić pod to słowo. Jakich ludzi? A jeśli Boga — to co to znaczy?

1. Aby zrozumieć, czym jest świętość, spróbujemy rozważyć pojęcie pokrewne, pojęcie „nietykalności”. Święte jest to, co „nietykalne”. Ale czy to słowo może odnosić się do Boga? Przecież Bóg jest duchem, więc i tak jest „nietykalny”.

„Nietykalność” może być rozumiana rozmaicie, można mówić o nietykalności fizycznej i moralnej. Myśli człowieka, jego uczucia, zamiary są fizycznie nietykalne, niezależnie od tego, czy są dobre, czy złe. Nikt nie może „dotknąć” palcem cudzej myśli, cudzego zamiaru. Mimo to jednak można je dotknąć „moralnie”. Gdy ktoś potępia nasze dobre zamysły, czujemy się „głęboko dotknięci”. Pytamy: „Jak mógł?” Na dnie tego protestu kryje się nasze doświadczenie świętości: pragniemy, aby to, czym jesteśmy i co ukochaliśmy, było niemożliwe do moralnego znieważenia. Aby nas nie zniszczyło żadne szyderstwo, żaden cynizm. Chcemy być święci, to znaczy: przekonywająco dobrzy.

Zarazem jednak mamy skłonność do poddawania innych „próbie szyderstwa”. Burzymy miejsca święte i szyderczo mówimy: „nie uderzył we mnie żaden piorun”. W okrutny sposób „demaskujemy” próby uczciwości u innych. Pastwimy się nad drugim człowiekiem, aż wszyscy będą wiedzieć, że jego cnota jest pozorna. Jakby w nas jakiś zły duch zamieszkał.

Mamy jakieś niejasne porachunki z problemem naszej osobistej świętości. Czasami opędzamy się od niej jak od roju pszczoł. Ale to najlepszy znak, że coś nas ku niej pociągnęło, coś zawołało, coś zaprosiło.

Prawdziwa tragedia rodzi się wtedy, gdy wtrącony w swą ciemność człowiek stara się „demaskować” nie tylko drugiego człowieka za jego „pozorną świętość”, ale nawet samego Boga. Jego zaciśnięta pięść usiłuje grozić niebu. A wielkie milczenie nieba jedynie wzmagą jego złość.

2. Bóg jest święty. „Kto widzi Mnie, widzi Ojca”. Twarz Chrystusa to odbicie Oblicza Boga.

Także Chrystus był poddawany okrutnej próbie szyderstwa. Mówiono, że przestaje z celnikami i grzesznikami. Śmiano się, gdy powiedział, że „nie umarła dziewczynka, ale śpi”. Szydzono, gdy obiecał dać swe ciało na pokarm, a krew na napój. Szydzono wtedy, gdy Go biczowano, prowadzono na śmierć, nawet wtedy, gdy zawisł na krzyżu. Szydzili ci, którzy nie wiedzieli, co czynią. Ale Sprawca wszelakiego szyderstwa, ten, który zawsze wie, co robi — zły duch — nie szydził. Powiedział: „Wiem, kim jesteś, Święty Boże”. Święty — więc Nietykalny.

Z wolna jednak szyderstwa ludzi milkły. Jeszcze ktoś obok krzyża, jeszcze nieznany łotr na krzyżu. Ale drugi łotr już przywołuje pierwszego do porządku. Odsłoniła się Twarz Ukrzyżowanego. Oto takie jest Niebo!

I odtąd ile razy jakaś ręka będzie się podnosić z ziemi do góry, by grozić Niebu, tyle razy będzie musiała opaść z powrotem, gdy bliżej przyjrzy się, jak wygląda Niebo. Bóg jest Nietykalny, nietykalnością konającego na krzyżu Syna. Jest Święty. Nietykalność moralna Boga ucieleśniła się konkretnie w Twarzy Chrystusa.

3. „Kto Mnie widzi, widzi Ojca”. Gdzieś z samego wnętrza naszych rozrachunków ze świętością wyrasta początek naszego zrozumienia świętości Chrystusa.

Człowiek to trzcina myśląca. Lecz w tej myślącej trzcinie jest coś nietykalnego. Z tego nikomu nie wolno szydzić. Czym to „coś” się przejawia? Przejawy mogą być rozmaite. Może to będzie jakieś wspomnienie, jakaś cześć dla matki, dla ojca. Może jakaś inna miłość, może jakaś ofiara, jakieś pragnienie, jakaś tęsknota. Różne bywają przejawy. Ale one właśnie są pierwszymi przejawami naszej świętości, czyli naszej moralnej nietykalności. Im więcej jest w nas spraw i rzeczy poza granicą możliwego szyderstwa, tym bliżej jesteśmy świętości i Boga.

To, co w nas jest zazwyczaj jedynie początkiem, w Chrystusie jest całością. Chrystusa nie ima się żadne szyderstwo. Dowiódł tego los Szawła, który szydził, dowodzi też historia.

W taki właśnie, zrozumiały dla nas sposób, Święty jest Bóg. Święte są Jego słowa, bo są słowami prawdy. Święta jest Jego dobroć, bo jest niewyczerpalna. Święta jest Jego wszechmoc, bo

jest niekończącym się ocaleniem dobroci ludzkiej i pozaludzkiej. Święta jest Jego miłość, bo ona jest Jego imieniem.

Także w człowieku święta może być jego wola, jego słowo, jego dobroć, jego miłość, jeśli będzie podobna do woli Boga, do słowa Boga, do Jego dobroci, miłości. Ale aby to wszystko mogło się stać w człowieku święte, człowiek musi odziać się w szatę uwielbienia dla Bożej Świętości. Uwielbić Boga — to zobaczyć Boga i Jego świętość. Uwielbienie — to ważna sprawa w człowieku i dla człowieka.

Uwielbieniem świętości Boga nie tylko oddajemy cześć Bogu, ale również chronimy w sobie odbicie Jego świętości, tak trudne do ochrony w świecie naszej codzienności.

Ks. Henryk Łuczak
DORASTANIE DO MIŁOŚCI *

* Fragmenty książki pod tym samym tytułem, Wydawnictwo Sołezjańskie, Łódź 1983

33. RELIGIJNY WYMIAR PŁCI

W naszym czasie zauważamy „inwazję” literatury na tematy seksualne. Ukazują się różnego rodzaju publikacje naukowe, czasopisma, artykuły. „Naukowe” potraktowanie problemów seksualnych stara się pozbawić płciowość ludzką tajemnicy. Niektórzy próbują wmówić nam, że to wszystko jest ludzkie, naturalne i całkowicie wytłumaczalne na płaszczyźnie biologiczno-psychologicznej. Płciowość staje się rzeczywistością ludzką, która nie podlega żadnym przykazaniom Bożym i każdy może realizować ją według własnej woli.

Wiele przyczyn złożyło się na to, że za naszych dni dokonuje się sekularyzacja seksu, która pozbawia płciowość ludzką wymiaru religijnego. Fakt ten, który znajduje się u podstaw wzrastającej erotyzacji współczesnych społeczeństw, prowokuje istotne pytanie: sekularyzacja seksu jest postępem czy też regresją w rozwoju ludzkości?

Musimy skończyć z zasadami abstrakcyjności. Uważam, że każdy z nas ma prawo postępować zgodnie z własnym sumieniem. Osobiście nie widzę nic złego w tym, że utrzymuje się kontakty seksualne przed zawarciem małżeństwa. To jest także swoistego rodzaju prawda o życiu i jeżeli ktoś uważa, że powinien ją poznać — ma do tego pełne prawo. Każdy z nas decyduje sam o sobie.

Iwona, l. 19

Wydaje mi się, że w tych wypadkach decyduje przede wszystkim motyw działania. Każde działanie powinno być prawdziwe i szczerze. Odnosi się to także do działania seksualnego. Nie rozumiem ludzi, którzy podejmują współżycie seksualne w celu doświadczenia przyjemności czy też „rozerwania” się. Akt seksual-

ny usprawiedliwia wyłącznie miłość. Nie istnieje jednak żadna reguła ogólna, dlatego też każdy człowiek musi znaleźć swoje własne rozwiązanie. W jednakowym stopniu dotyczy to chłopców i dziewcząt.

Grzegorz, l. 21

Spotkałem wielu chłopców, którzy nie wierzą w prawdziwą miłość, odnoszą się wulgarnie do dziewcząt i myślą jedynie o wyżyciu się seksualnym. Jeżeli nie przyjąłem ich stylu życia, to dlatego, że moi rodzice na co dzień wykazują mi, że prawdziwa miłość jest możliwa w naszej rzeczywistości. Wzajemne odnoszenie się moich rodziców do siebie broni mnie przed cynizmem, zniechęceniem i alienacją. Zobowiązuje mnie bardzo świadectwo ich życia...

Andrzej, l. 22

Człowiek, jako byt niepełny, z natury nastawiony jest na innych. Dialogiczny wymiar osoby ludzkiej realizuje się w kontaktach ze światem materialnym, ze społecznością, z „ty” ludzkim i z Bogiem. Płeć jest także pewnego rodzaju ograniczeniem. Z tego względu posiada podwójny wymiar: niedostatek i chęć oddania się. W tym sensie zmusza ona człowieka do wyjścia z siebie i nawiązania dialogu z innymi, a przez to samo otwiera nas na „ty”.

Trzeba podkreślić, że w historii praktyki seksualne przyjmowały niekiedy charakter religijny i religijność wyrażała się w postaci praktyk seksualnych. Wystarczy wspomnieć o celibacie mnichów buddyjskich w Indiach, boginiach — dziewicach w starożytnych kulturach, kapłankach uprawiających „świętą” prostytutkę. Asceza seksualna uważana była za środek, który umożliwia wejście w kontakt z bóstwem. Nie ulega wątpliwości, że człowiek zawsze dostrzegał związek, jaki istnieje między religijnością i płciowością.

Należy zauważyć, że płciowość jest „zdolnością — tendencją — potrzebą” ludzkiego „ja”, które pragnie wejść w intymny kontakt z „ty” poprzez dar złożony z samego siebie i przyjęcie daru „innego”. Wymiana wartości między „ja” i „ty” przyczynia się

do dojrzałości duchowej, powoduje powstanie wspólnoty miłości, umożliwia realizację „ja” w „ty”.

Religijność jest także „zdolnością — tendencją — potrzebą” ludzkiego „ja”, które pragnie nawiązać intymny kontakt z „Ty” transcendentnym, nieskończonym i wiecznym poprzez dar złożony z siebie. Religijność i płciowość mają jeden wspólny rys: dobrowolne złożenie daru z siebie samego. Nic też dziwnego, że w języku mistyków chrześcijańskich znajduje się wiele wyrażen zapożyczonych z języka małżonków. W Starym Testamencie miłość małżeńska była zawsze znakiem, symbolem, wyrazem Miłości, którą Bóg żywił ku Ludowi Wybranemu. W Nowym Testamencie Chrystus uznał miłość małżeńską za coś tak świętego, że stała się ona symbolem Miłości, jaką Chrystus ukochał swój Kościół. Małżeństwo zostało podniesione do godności Sakramentu.

Faktem jest, że przez długie wieki pisarze chrześcijańscy odnosili się z rezerwą do sfery seksualnej w człowieku. Niektórzy uważali, że współżycie seksualne jest samo w sobie złe i usprawiedliwia je tylko prokreacja. Akty małżeńskie były wprawdzie godziwe, lecz „doskonałość” chrześcijańska wymagała, aby ograniczać je do minimum. Nie jest to jednak autentyczna myśl biblijna, lecz wpływ filozofii pogańskiej. W szczególniejszy sposób zaciążył na mentalności pierwszych chrześcijan dualizm platoński, który przeciwstawił w człowieku „ciało” „duchowi”, przy czym „ciało” uważane było za „więzienie duszy”, „nieprzyjaciela człowieka” i „siedlisko wszelkiego zła”. Należy także zaznaczyć, że w tamtych czasach koncepcja płci opierała się na twierdzeniach pseudonaukowych, które były własnością epoki. Z powodu braku koncepcji personalistycznej nie dostrzegano zasadniczej różnicy między płciowością człowieka i instynktem seksualnym u zwierząt. W tej sytuacji całą moralność seksualną oparto na realizacji głównego celu biologicznego, jakim jest prokreacja.

Personalizm współczesny odkrył nowy wymiar w płciowości ludzkiej, która nie może być ograniczona do prokreacji, ponieważ głównym celem człowieka nie jest rozmnażanie się, ale nawiązanie osobistego kontaktu z Bogiem przez miłość. Akt seksualny, który jest środkiem komunikacji między „ja” i „ty”, także nie jest celem sam w sobie, lecz musi być podporządkowany temu doświadczeniu, które zdobywa się w kontakcie religijnym.

Fenomen płciowości interpretuje się na płaszczyźnie teologicznej w oparciu o trzy decydujące zdarzenia, jakie miały miejsce w historii: stworzenie, upadek i Odkupienie. Oczywiście, że uwzględniamy chrześcijańską koncepcję człowieka.

Stworzenie: zróżnicowanie płciowe osób ludzkich jest dziełem Bożym. Mężczyzna i kobieta mają się wzajemnie uzupełniać. Płeć jest wspaniałym darem Bożym, a nie sposobem ukarania człowieka. Bóg nie tworzy rzeczy złych. Człowiek powinien przyjąć dar i rozwinąć te możliwości, które są w nim zawarte. Odrzucenie płci jest rebelią wobec Boga.

Upadek: płeć sama w sobie nie jest naznaczona grzechem. Niemniej grzech pierworodny zakłócił porządek w tej dziedzinie. W wyniku grzechu pierworodnego właściwe ustosunkowanie się wobec siebie dwu osób płci przeciwnej jest rzeczą trudną. Grzech zamknął człowieka we własnym egoizmie, który jest największym wrogiem miłości. Powtórne otwarcie człowieka na miłość jest zawsze dziełem Łaski.

Odkupienie: Chrystus dokonał pojednania Boga miłosierdzia z grzeszną ludzkością. Każde odrodzenie w Chrystusie ma decydujące znaczenie dla każdego człowieka. Fakt ten ma swój wpływ na wzajemne ustosunkowanie się wobec siebie osób płci przeciwnej. Chrystus, który przez Sakrament Małżeństwa uświęcił dialog między mężczyzną i kobietą wyrażony w języku ciał, wskazał nowy sposób życia własną płciowością: dziewictwo. W sensie chrześcijańskim dziewictwo jest wyborem ze względu na Królestwo Boże.

Płciowość otwiera wzajemnie na siebie „ja” i „ty”. To wzajemne otwarcie się daje początek wspólnotie miłości, które wyraża się w „my”. Dialog małżeński stanowi jedną z najlepszych możliwości, gdzie człowiek realizuje swoje głębokie pragnienie jedności i wspólnoty. Przejście od „ja” i „ty” do „my” stanowi nowy etap na drodze wiodącej do zjednoczenia z Bogiem. Bóg jest Miłością i każda miłość z Boga jest. Miłość małżeńska jest odbiciem tej Miłości, którą w Tajemnicy Trójcy Św. darzą się trzy Osoby Boskie. Każde otwarcie się na „ty” ludzkie w miłości jest zarazem otwarciem się na „Ty” Boskie. Poza Bogiem nie ma miłości.

Należy podkreślić, że płciowość w pojęciu chrześcijańskim jest

nie tylko rzeczywistością ludzką, lecz także zobowiązaniem moralnym. Naznaczenie płcią jest zarazem otwarciem człowieka na „ty” ludzkie i na Boga. Akty seksualne, które są wyrazem całkowitego oddania się, są zarazem symbolem tej rzeczywistości, jakiej doświadczamy w dialogu religijnym z „Ty” boskim.

Znaczenie płci jest mocno związane z godnością człowieka. Musi być ona rozpatrywana w odniesieniu do całego człowieka, należy wziąć pod uwagę jego uwarunkowania metafizyczne oraz obowiązki w stosunku do samego siebie, do społeczeństwa i do Boga. Nie można zapomnieć o tym, że płciowość jest nosicielką wartości osobowych, społecznych i transcendentnych. Konkretna osoba ludzka musi powiedzieć „tak” własnej płci. Akceptacja własnej płci nie może opierać się na bojaźni czy też naturalizmie, który pragnie wyeliminować tajemnicę.

Trzeba przyznać, że samorealizacja osoby ludzkiej wymaga, aby człowiek zaakceptował własną płciowość, docenił wartości seksualne i podporządkował je wartościom wyższego rzędu. Moralność chrześcijańska, która liczy się przede wszystkim z Bogiem, nie sprzeciwia się naturze człowieka, lecz w pełni jej odpowiada, ponieważ odkrywa w ludzkiej płciowości porządek naturalny i nadnaturalny. Nie można opierać ludzkiej moralności jedynie na tym, co jest naturalne, ponieważ celem człowieka jest ustawiczne przewyżnianie natury. Akceptacja fenomenu ludzkiej płciowości musi opierać się na:

— realizmie: płciowość jest rzeczywistością ludzką. Mężczyzna i kobieta posiadają specyficzne właściwości seksualne, które odpowiadają sobie wzajemnie, a to otwiera możliwość wzajemnego uzupełnienia się na płaszczyźnie cielesnej, psychicznej i duchowej;

— podejściu naukowym: ludzka realizacja płciowości podporządkowana jest na płaszczyźnie biologicznej określonym prawom, które należy uwzględniać w swoim działaniu. W miarę postępu naukowego prawa te są coraz głębiej rozumiane i wyjaśniane;

— poszanowaniu tajemnicy: mężczyzna i kobieta posiadają tę samą naturę ludzką, ponieważ obydwoje zostali stworzeni na „obraz i podobieństwo Boże”. Naznaczenie płcią umożliwia im bliską współpracę z Bogiem w dziele przekazywania życia. Zróż-

nicowanie seksualne wymaga, aby każda płeć rozwijała swoje specyficzne właściwości i wartości:

— otwarciu się na transcendencję: człowiek nie powinien zamykać się w sobie, lecz powinien nawiązać kontakt osobowy z „ty” w miłości. Miłość i płciowość w swej najgłębszej istocie są pochodzenia boskiego i przez to otwierają nas na tajemnicę Boga. Odrzucenie religijnego wymiaru płci oznacza zniszczenie jej integralnego znaczenia. Wartość seksu musi być podporządkowana wartości osoby. Wyrazem tego jest między innymi dziewictwo, celibat i sublimacja popędu seksualnego.

34. WSPÓLNOTA MIŁOŚCI

W naszym czasie instytucje wszelkiego rodzaju przeżywają głęboki kryzys. Człowiek współczesny stawia przede wszystkim na „ustawiczny dynamizm twórczy”, niezależność od innych, prawo do ciągłych wyborów. Nic też dziwego, że kryzys ten dotyczy także instytucji małżeństwa, w której zawiera się zobowiązanie wobec drugiej osoby na całe życie.

Niektórzy pseudo-prorocy twierdzą, że małżeństwo w dotychczasowej formie jest wynikiem doświadczeń przeszłości i należy je całkowicie zmodyfikować na miarę potrzeb współczesności. Celowi temu miałyby służyć wolne związki, małżeństwa na „próbę”, wolna miłość. Czy do tego ogranicza się małżeństwo?

Uważam, że małżeństwo musi opierać się na wzajemnym zrozumieniu, zaufaniu i zdolności do poświęcenia się na rzecz drugiego. Jeżeli mężczyzna poślubia kobietę ze względu na jej ciało, nigdy nie znajdzie pełnego zadowolenia w małżeństwie, każdy z nas potrzebuje przede wszystkim „duszy” kobiety.

Marek, l. 23

Mój mąż traktuje mnie jako „rzecz”, która nie ma dla niego specjalnej wartości. Nie okazuje mi nigdy żadnego uczucia, nie darzy miłością, nie zwierza się. Mam dopiero 28 lat, ale przesta-

łam się dla niego liczyć jako kobieta. To jest główny powód, że od pewnego czasu zdradzam go: jest remis.

Maria, l. 28

Podziwiam tych ludzi. Nie mogę zrozumieć, że 20 lat po ślubie tak się kochają, jak gdyby dopiero wczoraj się spotkali. Czas nie zabił tej miłości, lecz coraz bardziej ją rozwija. Wspaniale uzupełniają się na wszystkich płaszczyznach życia. W czym tkwi sekret ich miłości?

Sebastian, l. 20

Związek małżeński nie powstał przypadkowo w rozwoju historycznym ludzkości ani nie jest wynikiem ewolucji nieświadomych sił natury. Małżeństwo jest rzeczywistością, która dotyka samych korzeni ludzkiej egzystencji. W nim mężczyzna i kobieta spotykają się w miłości, nawiązują dialog i realizują samych siebie. Dialog małżeński stanowi jedyną w swoim rodzaju możliwość, gdzie człowiek może zrealizować swoje głębokie pragnienie jedności i wspólnoty: „ja” i „ty” przeradza się w „my”.

Trwały związek między mężczyzną i kobietą, który w najszerszym tego słowa znaczeniu możemy nazwać małżeństwem, spotyka się we wszystkich epokach historycznych i we wszystkich kulturach. Trudno suponować, że człowiek skierowany jest do małżeństwa przez naturę, aby zaspokoić swój instynkt seksualny. Cel ten można osiągnąć na drodze pozamałżeńskiej. Trzeba jednak przyznać, że w przeszłości podkreślano, iż zrodzenie i wychowanie potomstwa uzasadnia sens małżeństwa. Życie osobiste małżonków schodziło na dalszy plan.

Małżeństwo jest wspólnotą osobową, która opiera się na miłości i na zdolności do bezinteresownego poświęcenia się. W nim mąż i żona mogą w pełni zrealizować się jako mężczyzna i kobieta. W tym kontekście należy zaznaczyć, że nie jest to „zwykły” fakt społeczny, ale istotny dialog między osobami, spotkanie w miłości, komunikacja między „ja” i „ty”, która zostaje nawiązana w kontekście całego życia. Małżeństwo jest punktem dojścia w rozwoju osobowym i zarazem punktem wyjścia w kierun-

ku stworzenia intymnej wspólnoty, która wyraża się w „my” w stosunku do dziecka. Miłość małżeńska jest zobowiązaniem na rzecz drugiego, wzajemnym oddaniem się na wszystkich płaszczyznach życia, integracją w najgłębszym ludzkim „ja”. Małżeństwo samo z siebie nie rodzi miłości, lecz miłość doprowadza do małżeństwa i ona jest jego fundamentem. Nic też dziwnego, że związek duchowy między dwiema osobami, który opiera się na miłości bezinteresownej, całkowitej i definitywnej — musi być związkiem trwałym.

Małżeństwo, które jest wspólnotą miłości, umożliwia mężczyźnie i kobiecie całkowite dopełnienie się na wszystkich poziomach: cielesnym, uczuciowym i osobowym. Eros (zafascynowanie ciałem i pożądanie seksualne) przeradza się w filię (docenienie wartości osobowych), a to wszystko podporządkowane jest agape, w której zawiera się odpowiedź człowieka na miłosne wezwanie Boga: „my” idziemy razem na spotkanie z Boskim „Ty”.

W małżeństwie mężczyzna i kobieta podejmują współzycie seksualne, które umożliwia im dopełnienie się na płaszczyźnie cielesnej. Akt seksualny jest wyrazem przewyciężenia izolacji fizycznej. Pragnienie zespolenia płciowego, które determinowane jest przynależnością do określonej płci, należy oceniać pozytywnie, jako że jest to specyficzna forma komunikowania sobie wzajemnie najintymniejszych uczuć. W akcie seksualnym dochodzi do kontaktu maksimum z osobą płci przeciwnej.

Człowiek nie jest czystym duchem i dlatego działalność duchowa musi uzewnętrznić się na poziomie cielesnym poprzez znak, gest, uśmiech, spojrzenie. Akt seksualny uzewnętrznia wewnętrzną jedność duchową. Nic też dziwnego, że różne formy miłości wyrażają się poprzez określone gesty fizyczne. W cudownym świecie ludzkim na swój sposób wyraża się miłość bliźniego, miłość macierzyńska i miłość oblubieńca. Akt seksualny jest specyficzną formą, w której wyraża się miłość małżeńska. Nie ma tu żadnego porównania z działaniem seksualnym zwierząt.

Małżeństwo umożliwia mężczyźnie i kobiecie dopełnienie się na płaszczyźnie uczuciowej. Z natury każdy człowiek nastawiony jest na osobę płci przeciwnej. Wzajemne ciążenie obu płci ku sobie zdeterminowane jest faktem, że przynależność do określonej płci jest także pewnego rodzaju ograniczeniem, niepełnością, brakiem.

Niezrealizowanie możliwości, którą stanowi osoba płci przeciwnej, stwarza w człowieku wewnętrzne napięcie. Należy zaznaczyć, że człowiek zwraca się do człowieka płci odmiennej, a nie tylko reaguje na „odmienną płć”. Jeżeli człowiek zwraca się jedynie do właściwości seksualnych, które posiada osoba płci odmiennej, to wówczas mamy do czynienia ze zboczeniem, z brakiem dojrzałości osobowej czy też erotyzmem. Wyrazem tego jest między innymi strip-tease, gdzie kobieta zostaje zepchnięta do roli „przedmiotu”, którego zadaniem jest prowokacja męskich namiętności. W tym wypadku liczy się jedynie ciało, przede wszystkim jego określone części.

Mężczyzna pragnie poznać do głębi „duszę kobiecą”, jej wewnętrzny świat, jej odczucia, pragnienia i tęsknoty. Na co dzień potrzebuje jej czułości, delikatnego słowa, przyjaznego spojrzenia. Ku niej kierują się jego uczucia, sentymeny i pragnienia. Kobieta jest „innym” światem, który mężczyzna pragnie poznać, swojego rodzaju tajemnicą, którą można kontemplować, nadzieją, którą można zrealizować. Kontakt uczuciowy jest w jednakowym stopniu potrzebny mężczyźnie i kobiecie, ponieważ „męskość” i „kobiecość” to dwa różne sposoby realizacji ludzkiej egzystencji.

Zwróć uwagę na fakt, że małżeństwo nie jest jedynie związkiem uczuciowym, który daje prawo do współżycia seksualnego, lecz przede wszystkim jest związkiem duchowym dwóch osób. Związek ten opiera się na całkowitym zatraceniu „ja” w „ty”.

Kontakt między „ja” i „ty” zostaje nawiązany na płaszczyźnie osobowej. Człowiek nie może zostać zepchnięty do roli użytecznego przedmiotu, ale może dobrowolnie poświęcić się dla drugich. To samooddanie się zależy od woli ludzkiej. Miłość jest zawsze aktem woli ludzkiej. Rodzi się w momencie zetknięcia z dobrem. W miłości ma miejsce oczarowanie człowieczeństwem partnera, jego wewnętrzną tajemnicą, niepowtarzalnością osobową. Miłość małżeńska jest wyborem „ty” jedyne, niepowtarzalnego, niezastąpionego. W miłości małżeńskiej akceptuje się człowieka takiego, jaki jest wraz z całym bogactwem wewnętrznym, możliwościami i wartościami. Miłość małżeńska nie ogranicza się do oczarowania ciałem płci odmiennej. W małżeństwie „ja” i „ty” otwierają wzajemnie przed sobą swoje wewnętrzne tajemnice aż do ostatnich granic możliwości.

Nawiązanie kontaktu między „ja” i „ty” na płaszczyźnie osobowej doprowadza do wspólnoty miłości, która wyraża się w „my”. Miłość ta daje całkowitą satysfakcję osobie ludzkiej, intymne zrozumienie drugiego i wyzwala z poczucia izolacji. W niej człowiek może zrealizować samego siebie. Co więcej: miłość jest swoistego rodzaju symbiozą, która zwiększa możliwości osób kochających się.

Powszechnie uważa się, że miłość to problem — nastu lat: intensywne uczucia, gorące pocałunki, pieszczoty. Ale to nieprawda, że najpiękniejszą miłość przeżywa się w młodości. Miłość jest zasadniczą potrzebą tkwiącą w ludzkiej naturze i dlatego potrzeba ta musi być zaspokajana przez całe życie. Należy jednak zaznaczyć, że jest ona zarazem procesem dynamicznym i — jeżeli nie będzie wzrastać — ulegnie regresji.

Młodość jest okresem, w którym rozpoczyna się przeżywanie miłości, ale jest to punkt wyjścia, a nie punkt dójścia. Jest to okres narodzin miłości. Kiedy między młodymi narodzi się miłość, z miejsca staje się najważniejszą sprawą w życiu. Niemniej jest to zafascynowanie raczej samym uczuciem, a nie drugim człowiekiem. Z psychologii wiesz, że im uczucie prymitywniejsze, tym jest intensywniejsze i tym bardziej krótkotrwałe, natomiast im uczucie wyższe miejsce zajmuje w hierarchii uczuć, tym jest spokojniejsze w przeżywaniu, głębsze i trwalsze. Całkiem słusznie mówi się, że zakochani widzą wszystko przez różowe okulary. W pierwszym okresie miłości ma miejsce zafałszowanie obrazu człowieka, którego obdarzyło się uczuciem: nie kocha się konkretnego człowieka, lecz własne wyobrażenie o nim.

Nie można przez całe życie pozostać na tym etapie w miłości, tak jak nie można przez całe życie być dzieckiem. Miłość musi się rozwijać, doskonalić i dojrzewać, ponieważ w przeciwnym wypadku zostanie zniszczona przez czas. Zrozumieć człowieka można tylko wówczas, kiedy zaakceptuje się go takim, jakim jest ze wszystkimi plusami i minusami. W dojrzałej miłości nie myśli się o tym, czy jestem kochany, ale czy kocham dostatecznie, czy nie sprawiam zawodu, czy drugi człowiek może na mnie liczyć. Niechęć do przekroczenia tego progu dojrzałej miłości, kiedy potem jest tak zwyczajnie, nie ma wzruszeń, fascynacji, gorących słów i pocałunków, świadczy o niedorozwoju osobowym. Nie moż-

na przez całe życie tylko brać, lecz trzeba dać coś z siebie innym. Idea doskonalenia się w miłości i poprzez miłość nie jest romantycznym postulatem, lecz naturalnym procesem.

Sztuka kochania wymaga przede wszystkim treści, którą możemy znaleźć tylko w sobie. Do szczęścia, jakiego dostarcza prawdziwa miłość, nie pasuje żaden klucz i nie tworzy go żadna technika. Osoba ludzka jest możliwością, która nieustannie się realizuje. Małżeństwo, które jest wspólnotą miłości, przyczynia się do dojrzałości duchowej współmałżonków, umożliwia im realizację samych siebie i daje szansę na dopełnienie się na wszystkich poziomach życia.

35. „DWOJE W JEDNYM CIELE”

Współczesne społeczeństwa przechodzą ogromne przeobrażenia na różnych płaszczyznach życia. W niektórych wypadkach przybierają one pewną formę kontestacji. Człowiek współczesny kontestuje w słowach i w praktyce przeciw moralności tradycyjnej, odrzuca niektóre zasady etyczne i występuje zdecydowanie przeciwko limitom seksualnym, które nakłada moralność chrześcijańska.

W cywilizacji zaspokojonych potrzeb materialnych wartość seksu ulega dewaluacji. Coraz powszechniej eksploatuje się ludzkie namiętności, czego wyrazem jest reklama, moda, film. Zjednoczenie cielesne mężczyzny i kobiety straciło swoje zasadnicze znaczenie. Akt seksualny stał się źródłem przyjemności, a nie wyrazem zjednoczenia duchowego. Mentalność konsumpcyjna, która utożsamia szczęście z zaspokojeniem elementarnych potrzeb w człowieku, nie liczy się z transcendentną godnością osoby ludzkiej.

Przez 5 lat byliśmy narzeczonymi, ponieważ rodzice nie chcieli zgodzić się na nasze małżeństwo. Przełamaliśmy wszystkie przeszkody w imię miłości, która nas łączyła. Od początku jesteśmy uważani za „wzorowe” małżeństwo. Nie mamy wprawdzie dzieci, ale kocham swoją żonę do szaleństwa i nie zostawiłbym jej za

żadne skarby świata. Wyznawałem jej tę miłość przy różnych okazjach.

W ostatnim czasie zauważyłem, że żona nie godzi się na współżycie seksualne. Zapytałem, czy mnie nadal kocha. Odpowiedziała: nie. Nigdy nie czułam do ciebie takiego uczucia, jakiego doświadczają zakochani. Wyszłam za mąż, ponieważ byłeś człowiekiem szlachetnym. Nie opuszczę cię nigdy, ale to jest tylko konsekwencja mego wyboru.

Zawalił się cały mój świat...

Aktor, l. 36

Mam 35 lat. Po kilkunastu latach życia małżeńskiego, które było normalnym życiem zwykłych ludzi, znalazłam się w dziwnej sytuacji: wzmagają się moje zapotrzebowanie na kontakty seksualne, a mąż natomiast twierdzi, że jego „czas minął już bezpowrotnie”. Ma dopiero 42 lata. Czy w tym okresie życia kończy się już miłość, której wyrazem jest współżycie małżeńskie?

Krystyna, l. 35

Nigdy nie odczuwałam potrzeb seksualnych. Doszłam do małżeństwa jako dziewica i zawsze godziłam się na współżycie tylko dlatego, że mąż tego żądał. Uważam, że Bóg powinien dać nam bardziej „duchowy” sposób, który umożliwiałby nam stanie się matką.

Teresa, l. 43

Człowiek chce kochać i być kochanym. Miłość oznacza przezwyciężenie izolacji, otwarcie się na innych, zrealizowanie samego siebie w „ty”. Ludzka egzystencja opiera się na relacjach z innymi, wśród których szczególnie miejsce zajmuje intymny kontakt z osobą płci odmiennej. Zamknięcie się w sobie oznacza przegraną. Miłość między mężczyzną i kobietą sprowadza się do: rozumieć i być rozumianym, szanować i być szanowanym, poznać i być poznanym, dać i otrzymać.

W dialogu miłości między mężczyzną i kobietą akt seksualny zajmuje szczególne miejsce: jest znakiem całkowitego oddania się. Każdy akt seksualny nie tylko wyraża miłość, lecz także pogłębia

jedność, która jest owocem wolnego wyboru dwóch osób ludzkich. Etyka katolicka wyraźnie zaznacza, że kontakt seksualny jest stosunkiem ciała i duszy w obecności Boga, ponieważ człowiek jest jednością cielesno-duchową. Z moralnego punktu widzenia nie ma „neutralnych”, „okazyjnych” czy „obojętnych” aktów seksualnych. „Odkryć własną nagość” to znaczy zrozumieć i podjąć wezwanie osoby, którą się kocha, darzy zaufaniem i w pełni akceptuje. Akt seksualny nie jest wspólną przyjemnością, za którą powinno się „wspólnie” płacić, lecz wyrazem własnej osobowości, znakiem najintymniejszego związku, jaki ma miejsce między dwiema osobami ludzkimi, kontaktem maksimum z drugim człowiekiem.

W akcie seksualnym dwie ludzkie osoby powierzają sobie wzajemnie tajemnicę własnej cielesności, która jest wezwaniem do wyjścia z siebie celem poświęcenia się dla drugiego człowieka. Pismo św. używa wyrazu „poznanie” na określenie kontaktu seksualnego. W słowie tym zawarta jest zasadnicza prawda, że w kontakcie seksualnym dwie osoby ludzkie „poznają”, czym jest dla nich miłość, co znaczą wzajemnie dla siebie oraz doświadczają „nowej” wiedzy. Doświadczenie seksualne jest jednym z najbardziej fascynujących przeżyć ludzkich w ogóle i dlatego wywiera ogromny wpływ na rozwój osobowy konkretnego człowieka, rzutuje na jego mentalność, działanie i postawę wobec świata. Akt seksualny jest pewnego rodzaju „liturgią”, gdzie celebruje się wspólnie tajemnicę.

Człowiek z natury jest bytem otwartym. Nawiązanie osobowego kontaktu z „ty” jest wyrazem dojrzałości osobowej. Każda relacja międzyludzka musi opierać się na dojrzałości osób. W przeciwnym razie nie ma mowy o wierności, zobowiązaniu się wobec innych, przyjaźni. Każdy kontakt między mężczyzną i kobietą nosi na sobie zabarwienie własnej płci. Atrakcyjność seksualna, która na płaszczyźnie biologicznej zasadniczo nie zależy od woli ludzkiej i prowokuje pożądanie seksualne, może stać się wezwaniem ludzkim, o ile osiągnie „wyższy” poziom w człowieku i zostanie podporządkowana wartości osoby. Człowiek, jako istota rozumna i wolna, może podporządkować swoje instynkty własnej woli. Ze względu na duchową naturę człowieka instynkt seksualny zyskuje nowy wymiar i zostaje podporządkowany miłości.

Wrażliwość na osobę płci odmiernej pojawia się dopiero na określonym etapie życia. Z chwilą kiedy po raz pierwszy chłopiec dostrzega wdzięk dziewczyny spotkanej przypadkowo na plaży, rozpoczyna się dla niego podróż w kierunku pełnej radości kochania. W tym momencie otwiera się przed nim nowa rzeczywistość: możliwość nawiązania kontaktu intymnego z osobą płci odmiernej.

W małżeństwie akt seksualny staje się środkiem komunikacji między mężczyzną i kobietą, wyrazem duchowej wspólnoty, kontaktem maksimum z drugim człowiekiem. Należy jednak zauważyć, że miłość nie jest wynikiem kontaktu seksualnego, lecz kontakt seksualny jest wynikiem miłości. Z tego też względu muszą być zachowane warunki, aby miłość mogła być wyrażona w „języku ciał”. Nie każde zbliżenie cielesne jest wyrazem miłości. Aby akt seksualny zachował swoje pełne znaczenie, musi być przede wszystkim aktem ludzkim, to znaczy niezależnym od impulsu biologicznego.

W akcie seksualnym musi mieć miejsce wzajemne oddanie się i wzajemne przyjęcie, a nie egoistyczne posiadanie. Małżonkowie wyrażają tym „gestem” pragnienie jedności, wzajemnego zaufania i wspólnego życia. Z tego też powodu akt seksualny musi być poprzedzony wzięciem na siebie odpowiedzialności za drugiego człowieka, ponieważ prawdziwa miłość nie krzywdzi, nie szuka swego, nie okrada z wartości. W przeciwnym wypadku będzie to zawsze skrzywdzenie człowieka, przede wszystkim kobiety, która płaci o wiele drożej za biologiczną strukturę własnej płci.

Akt seksualny jest zawsze związkiem między dwiema osobami, stosunkiem najbardziej intymnym, a zarazem najbardziej niebezpiecznym, jeżeli zabraknie poszanowania ludzkiej godności między partnerami, wzajemnej akceptacji i odpowiedzialności. Zauważyłeś zapewne, że na odcinku życia seksualnego można wyrzucić drugiemu człowiekowi krzywdę nie do naprawienia. Autentyczne spotkanie miłosne między mężczyzną i kobietą pociąga za sobą:

- wzajemność: na miłość odpowiada się miłością;
- intymność: osobę ukochaną dopuszcza się do najgłębszych warstw swego jestestwa, gdzie się „wszystko” daje nie żądając niczego w zamian;

— całkowite oddanie się: „ja” musi całkowicie zatracić się w „ty”, aby mogła powstać jedność wyższego rzędu wyrażająca się w „my”;

— wyłączność: nie ma miejsca na osobiste „rezerwacje”.

Zwróć uwagę na fakt, że historia pary ludzkiej jest jedyna, osobowa i niepowtarzalna. Z tego względu należy osiąść sztukę miłości, a nie technikę. Miłość z natury swej skierowana jest w kierunku Absolutu. Akt seksualny, który jest wyrazem wzajemnego oddania się, powinien być momentem uprzywilejowanym w małżeństwie, radością przeżywaną we dwoje, świętem. W tym kontekście liczy się „jakość”, a nie „ilość”. Zbliżenie cielesne mężczyzny i kobiety nie może stać się swoistego rodzaju „rozrywką”, „sportem” czy też ucieczką przed własną pustką wewnętrzną.

Płciowość nie jest dana człowiekowi jako „źródło” przyjemności, ale jako możliwość całkowitego oddania się drugiej osobie. Akt seksualny, który jest wzajemnym „wyznaniem” sobie miłości między mężczyzną i kobietą, nie może być sprowadzony do zaspokojenia instynktownych potrzeb w człowieku, ale musi stać się wzajemnym darem, który uszczęśliwia osobę ukochaną, wyrazem miłości altruistycznej, w której poszukuje się dobra drugiego człowieka, znakiem jedności małżeńskiej.

Należy zaznaczyć, że „miłość wcielona”, która wyraża się w akcie seksualnym, musi być poprzedzona nawiązaniem osobowego kontaktu między „ja” i „ty” na płaszczyźnie duchowej, gdzie człowiek oddaje się drugiej osobie bez żadnych warunków „wstępnych”. Zjednoczenie duchowe musi w każdym wypadku „wyprzedzać” zjednoczenie cielesne, ponieważ w przeciwnym razie akt seksualny pozbawiony jest znamienia ludzkiej duchowości, nie uszczęśliwia partnerów i nie wyraża miłości. Nic też dziwnego, że współżycie seksualne, które jest wyrazem totalnej miłości między mężczyzną i kobietą może mieć miejsce jedynie w małżeństwie. Dwie osoby ludzkie, które za pośrednictwem ciała objawiły sobie wzajemnie najgłębszą tajemnicę, nie mogą się już rozjeść, ponieważ tajemnica ta staje się wspólnym sekretem „ja” i „ty”. Pismo święte określa tę rzeczywistość jednoznacznie: dwoje w jednym ciele.

I jeszcze jeden moment: aby umieć kochać w ciele i poprzez ciało, należy najpierw przewyciężyć je, całkowicie opanować

i podporządkować woli, która odgrywa zasadniczą rolę w realizacji określonych wartości. Należy przede wszystkim zachować wolność wobec bodźców zewnętrznych i wewnętrznych impulsów instynktownych, które nie zawsze zależą od ludzkiej woli. W małżeństwie pożądanie zmysłowe musi być także podporządkowane miłości.

Zwróć uwagę na fakt, że etyka katolicka nie przekreśla wartości zjednoczenia cielesnego między mężczyzną i kobietą, zaznacza tylko, że musi być ono podporządkowane miłości, której istotę stanowi całkowite oddanie się dla ukochanej osoby. Co więcej: współzycie seksualne, które pogłębia jedność dwóch osób ludzkich, staje się pewnego rodzaju koniecznością w małżeństwie, ponieważ człowiek jest istotą cielesno-duchową i miłość ludzka wyraża się także poprzez ciało. Niebezpieczeństwo naszego czasu polega na tym, że kwestionuje się nierozzerwalność małżeństwa, przekreśla się w praktyce transcendentną wartość osoby ludzkiej i widzi się w seksie przede wszystkim źródło przyjemności. Trudno powiedzieć, że współczesna erotyzacja społeczeństwa przyczynia się do pogłębiania miłości między mężczyzną i kobietą, która to miłość z natury swej jest „mocniejsza niż śmierć i sięgająca poza grób”. Problem polega na tym, że do takiej miłości dorasta się powoli. A jeżeli ktoś przez całe życie chce pozostać dzieckiem?

36. CEL MAŁŻEŃSTWA

W ostatnim czasie model małżeństwa i rodziny chrześcijańskiej ulega głębokim przeobrażeniom. Fakt ten determinowany jest przez czynniki społeczne, ekonomiczne i kulturowe. Dawny model rodziny patriarchalnej nie odpowiada współczesnej rzeczywistości.

Nie bez wpływu jest także fakt, że kobieta współczesna „walczyła” właściwe sobie miejsce w życiu politycznym, społecznym i zawodowym. Zdobyła wszystkie prawa osoby ludzkiej, stała się równa mężczyźnie w godności osobistej, domaga się poszanowania własnej wolności.

W przeszłości małżeństwo było zawierane na bazie konwencji społecznych. Miłość, jakkolwiek mówiono o niej, zajmowała dal-

sze miejsce. Uważano po prostu, że przyjdzie z czasem. Małżeństwu postawiono zasadnicze zadanie: zrodzenie i wychowanie potomstwa. Leżało to w interesie społeczeństwa, jako że liczne rodziny były przyczyną rozwoju ekonomicznego.

Uważam, że sens życia małżeńskiemu nadają jedynie dzieci. Reszta się nie liczy. Mój mąż nigdy nie okazuje mi czułości. Gdyby nie dzieci, nie wytrzymałabym z nim.

Matka, l. 32

Małżeństwo jest bardzo ważnym aktem w życiu i dlatego trzeba najpierw zastanowić się, dlaczego podejmuje się tę decyzję.

Myślę poważnie o małżeństwie i przygotowuję się do niego, chociaż nie mam jeszcze narzeczonej. Zawrę związek małżeński w przyszłości dlatego, aby nie cofać się przed odpowiedzialnością, którą niesie ze sobą małżeństwo, aby doświadczyć miłości, która trwa przez całe życie, aby mieć dzieci, które mogłyby się cieszyć pięknem tego świata.

Jarek, l. 24

Mam jedno dziecko. Zawdzięcza ono życie wyłącznie mężowi, ponieważ chciałam przerwać ciążę. Byłam młoda i chciałam cieszyć się wolnością, a mąż pragnął w ten sposób złączyć mnie z domem i z sobą. Inne się nie narodziły. Nie dlatego, że nie lubię dzieci, ale po prostu nie interesują mnie one.

Zuzanna, l. 36

Człowiek coraz lepiej rozumie własną godność, własną misję i współpracę z Bogiem, który stworzył go na własne wyobrażenie. Natura, której celem jest realizacja woli Stwórcy potrzebuje człowieka, aby mogła objawić bogactwo swoich możliwości. Człowiek, który także został stworzony przez Boga, zrozumiał w ostatnich czasach, że jego zadaniem jest wyjście z „płaszczyzny” natury i realizacja samego siebie w wolności, w miłości i w prawdzie.

Uważa się, że odkrycie miłości jako podstawy małżeństwa jest największą rewolucją naszego czasu. Przez długie wieki widziano

rodzinę jako instytucję w służbie społeczeństwu. Zrodzenie i wychowanie potomstwa stało się głównym celem małżonków. Ważność kontraktu małżeńskiego zależała od zdolności fizycznej do zrodzenia potomstwa oraz od wolnego konsensu. Wierność była koniecznym warunkiem do stworzenia rodziny. Kościół błogosła-
wił ten kontrakt, nawet jeżeli „małżonkowie” mieli po kilka lat. Ważność kontraktu zależała od dobrowolnego „tak” i dopełniała małżeństwa, co miało miejsce z chwilą podjęcia współżycia seksualnego.

Człowiek współczesny dostrzega w małżeństwie przede wszystkim wspólnotę miłości, która umożliwia mężczyźnie i kobiecie realizację samych siebie. Małżeństwo, które opiera się na otwarciu „ja” wobec „ty”, stało się miejscem uprzywilejowanym, gdzie mężczyzna i kobieta rozpoznają się jako osoby, nawiązują dialog w miłości i dopełniają się w kontekście całego życia. W tej sytuacji wybór partnera nie zależy od czynników socjalnych i uwarunkowań ekonomicznych, ile raczej od dojrzałości osobowej człowieka, który ma stać się drugim „ja”. Stałość małżeństwa opiera się na wolnym dialogu między mężczyzną i kobietą.

W tym kontekście pogłębiło się zrozumienie miłości, jako najcenniejszej wartości w życiu. Dawniej uważano, że podstawową wartość stanowi istnienie, dzisiaj natomiast twierdzi się, iż życie bez miłości nie ma sensu. Małżeństwo, jako wspólnota osobowa oparta na miłości, jest celem samo w sobie. W tej perspektywie potomstwo nie uzasadnia sensu małżeństwa ani nie jest głównym celem. Nie znaczy to, że prokreacja schodzi na dalszy plan w małżeństwie, ale miłość musi „wyprzedzać” zrodzenie potomstwa. I tu rodzi się problem odpowiedzialnego rodzicielstwa. W każdym wypadku dziecko musi być owocem wzajemnej miłości małżonków.

Człowiek posiada nie tylko określone potrzeby, ale także pragnienia, tęsknoty i marzenia. Miłość małżeńska, która nie zna limitów i uwarunkowań, jest źródłem życia i odwagi, niezastąpionym darem, który nieustannie zadziwia człowieka, wartością, która nadaje kolor życiu. Małżeństwo, które opiera się na całkowitym i bezwarunkowym oddaniu się drugiej osobie, nie może zostać sprowadzone do „dobra” konsumpcyjnego.

Należy podkreślić z naciskiem, że celem małżeństwa jest mi-

łość, której istotę stanowi zdolność do całkowitego oddania się drugiej osobie. Oddanie to dokonuje się na trzech poziomach: fizycznym, psychicznym i duchowym. Między mężczyzną i kobietą powstaje jedyna w swoim rodzaju jedność, którą Pismo św. określa: dwoje w jednym ciele. Wyrazem tego zjednoczenia jest dziecko. W nim „ja” i „ty” tworzą jedność fizyczną, która „ucieleśnia” ich miłość. Jest to jak najbardziej zgodne z cielesno-duchową naturą człowieka.

Miłość małżeńska z natury swej jest służbą wobec życia. Realizacja tego zadania wymaga poczucia odpowiedzialności za innych, dojrzałości osobowej i zdolności do bezinteresownych poświęceń na rzecz drugiego. Należy zaznaczyć, że małżonkowie nie tworzą nowego życia, ale jedynie je przekazują i dlatego muszą liczyć się z Wolą Bożą i zasadami moralnymi. Powiedzmy sobie szczerze: człowiek, jako istota rozumna i wolna, „skazany” jest na moralność i odrzucając ją — występuje przeciwko sobie.

Każda autentyczna miłość małżeńska znajduje swoje „ucieleśnienie” w dziecku, w którym „ja” i „ty” będą zjednoczeni na zawsze. Ono jest owocem miłości, która łączy mężczyznę i kobietę, wyrazem intymnej wspólnoty, znakiem duchowego związku. W nim zostaje „unieśmiertelnione” to, co wyraża się w „my”: bezgraniczna miłość, całkowite oddanie się i zachwyty człowieczeństwem ukochanej osoby. Dziecko ma pokazać światu, jaka miłość łączy jego rodziców. Nic też dziwnego, że celem małżeństwa jest wzajemna miłość między mężczyzną i kobietą, która to miłość „ucieleśnia” się w dziecku. Zrodzenie i wychowanie potomstwa należy do istoty misji, którą Bóg zlecił małżonkom.

Należy zauważyć, że „ojcostwo” i „macierzyństwo” umożliwia mężczyźnie i kobiecie uczestnictwo w tajemnicy Boga, który jest Stwórcą i Panem wszelkiego życia na ziemi. Małżonkowie są w stanie dokonać największego dzieła na płaszczyźnie natury, jakim jest powołanie do istnienia nowej osoby ludzkiej. Człowiek jest najpiękniejszym zamierzeniem Bożym: myśli, chce i kocha. Danie życia dziecku jest także tworzeniem historii, kształtowaniem przyszłości i oddziaływaniem na rzeczywistość. Oznacza to także czynne włączenie się w zbawienie, które Chrystus realizuje nieustannie na ziemi: dziecko staje się członkiem Mistycznego Ciała Chrystusa.

W tym kontekście należy podkreślić ogromną odpowiedzialność, która spoczywa na małżonkach. Działanie seksualne, które umożliwia mężczyźnie i kobiecie współpracę z Bogiem w dziele przekazywania życia, nie może być zdaniem się na ślepe siły natury. Każdy akt seksualny musi być aktem świadomym, wolnym i w pełni odpowiedzialnym. Dziecko, zanim zostanie poczęte w ciele, powinno być „poczęte” w umyśle, woli i sercu; znaczy to, że dziecko musi być chciane, pożądane i kochane.

Małżonkowie, którzy z „góry” zakładają, że nie będą mieli dzieci — nie dorastają do realizacji autentycznej miłości. Miłość jest otwarciem się na innych, zdolnością do bezinteresownych poświęceń, oddaniem się do ostatecznych granic na rzecz drugiego człowieka. Dziecko jest właśnie owocem takiej miłości. Nic też dziwnego, że miłość matki do dziecka uważana jest za największy stopień miłości w ogóle. „Asekuracja” przed dzieckiem jest dowodem, że człowiek nie potrafi wyjść z zaczarowanego świata własnych spraw, aby zachwycić się innymi, aby bezgranicznie poświęcić się dla innych, aby otworzyć się na innych. Należy zaznaczyć, że jest to także odrzucenie misji społecznej i religijnej, ponieważ miłość małżeńska ma wymiar społeczny: z natury swej nastawiona jest na prokreację.

Miłość małżeńska, która „ucieleśnia” się w dziecku, jest zobowiązaniem się wobec innych na całe życie, zobowiązaniem wobec współmałżonka, wobec potomstwa, wobec społeczeństwa i wobec Boga. Miłość ta wymaga dojrzałości osobowej, poczucia wewnętrznej odpowiedzialności i poszanowania ludzkiej godności partnera. Powiedzmy sobie szczerze: małżeństwo nie uszczęśliwia „automatycznie” partnerów tylko dlatego, że jest związkiem dwóch osób, ale jest zadaniem do realizacji, które podejmują się we dwoje. Nie wszyscy dorastają wewnętrznie do realizacji tego zadania.

Zobowiązanie małżeńskie wymaga:

— ustawicznego poświęcania się: współmałżonek jest pierwszym towarzyszem w drodze ku wieczności; należy przewyciężyć egoizm indywidualny, aby pomóc mu w rozwoju duchowym ukierunkowanym na Boga; poświęcenie dla „ty” powinno przejawiać się na wszystkich odcinkach życia;

— wzajemnej miłości: małżonkowie powinni tworzyć jedność

w myślach, pragnieniach i dążeniach; jedność ta powinna pogłębiać się z czasem; miłość to nie tylko „ja”, ale przede wszystkim „ty”; zawiera się w tym akceptacja drugiego człowieka takim, jakim jest, zdolność do wybaczenia i pragnienie, aby stać się godnym miłości partnera;

— odpowiedzialnego rodzicielstwa: nie wystarczy dać życie dziecku, ale należy przede wszystkim je wychować, umożliwić mu dorastanie do pełni człowieczeństwa, zabezpieczyć odpowiednie warunki życia; współżycie seksualne musi być działaniem w pełni odpowiedzialnym;

— otwarcia się na innych: małżeństwo nie może ograniczać się do egoizmu praktykowanego we dwoje; miłość małżeńska musi być otwarta na każdą istotę ludzką, która może być powołana do istnienia; otwarcie się na innych wymaga także, aby zainteresować się tymi, którzy żyją obok nas na arenie czasu i znajdują się w potrzebie;

— wzajemnego oddania się na płaszczyźnie cielesnej: akt seksualny, który jest specyficznym sposobem wyrażania się miłości małżeńskiej, powinien być wzajemnym darem, a nie poszukiwaniem osobistej przyjemności, nieliczeniem się z partnerem, w tym wypadku wyraża jedynie egoizm współmałżonka.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że do małżeństwa należy odpowiednio się przygotować. Przygotowanie do małżeństwa oznacza kształtowanie charakteru, ćwiczenie się w bezinteresownym poświęceniu dla innych i zdolność oddania się dla wyższych idei. Cel małżeństwa jest zawsze ten sam: wzajemna miłość małżonków, która „ucieleśnia” się w dziecku. Odrzucenie dziecka jest zamknięciem się we własnym egoizmie.

37. „MY” WOBEC „TY”

W cywilizacji zaspokojonych potrzeb materialnych, gdzie bardziej liczą się rzeczy niż konkretny człowiek, rodzina przeżywa ogromny kryzys. Wzrasta liczba wolnych związków, legalizuje się rozwody, rodzice nie sprawdzają się jako wychowawcy. Kobieta, która zdobyła niezależność pod względem ekonomicznym, nie bar-

dzo czuje się w roli „kapłanki ogniska domowego” i woli pracować zawodowo.

Należy zauważyć, że ujemny wpływ na życie rodzinne wywiera desakralizacja związku małżeńskiego, zaprogramowana antykoncepcja i erotyzacja społeczeństwa. Zmniejsza się także autorytet władzy rodzicielskiej. Niezależność staje się zasadniczym pragnieniem poszczególnych członków rodziny. Dlaczego członkowie tej samej rodziny mają sobie coraz mniej do powiedzenia?

Uważa się powszechnie, że życie jest wspaniałym darem, który otrzymujemy od Boga za pośrednictwem rodziców. Rzeczywistość codzienna wykazuje jednak, że nie wszyscy dar ten chcą zaakceptować.

Jesteśmy młodym małżeństwem. Nie mamy jednak odwagi dać życia dziecku. W przyszłości mogłoby zadać nam pytanie: dlaczego powołaliście mnie do istnienia? Bądźmy szczerzy: wielu daje życie dzieciom tylko dlatego, żeby mieć „zabezpieczoną” starość. Czy to nie jest egoizm?

Ewa, l. 28

W dziewiętnastym roku życia straciłam męża w wypadku przy pracy. Rodzice pomagali mi materialnie, ale wstydzili się zarazem, że ich córka jest wdową. Musiałam „ukrywać” przed innymi swój stan.

Po pewnym czasie poznałam bardzo szlachetnego chłopca, który zaproponował mi małżeństwo. Zdecydowanie sprzeciwili się temu moi i jego rodzice. Powód wiadomy: wdowieństwo.

Dziś jesteśmy już dwa lata po ślubie, mamy cudowne dziecko, kochamy się bardzo, ale nie utrzymujemy żadnych stosunków z naszymi rodzicami. Oni nie życzą sobie tego. Jest mi bardzo przykro z tego powodu. Dlaczego nie chcą cieszyć się naszym szczęściem?

Beata, l. 24

Jestem niezmiernie wdzięczny za to Bogu, że mam wspaniałych rodziców: głęboko religijni, szanują się wzajemnie i w nas widzą sens własnego życia. Oni są moimi największymi przyjaciółmi i mam do nich całkowite zaufanie. Nawet w momentach,

kiedy inni mnie zawodzą — nie załamuję się, ponieważ mogę zawsze liczyć na nich. W przyszłości w taki sam sposób będę postępował wobec swoich dzieci.

Grzegorz, l. 21

Nikt z nas nie jest samotną wyspą. Człowiek istnieje w świecie za pośrednictwem innych ludzi i nigdy nie jest od nich całkowicie odizolowany. Fakt ten zmusza do zajęcia jakiejś postawy wobec innych osób. Mogę istnieć o tyle, o ile nawiązuję kontakt z innymi i wchodzę z nimi w określone relacje. W oparciu o te relacje formułuje się ludzka rzeczywistość i różnego rodzaju wspólnoty osobowe.

Konieczność wejścia w kontakt z innymi zdeterminowana jest przez fakt, iż człowiek posiada naturę rozumną, której wyrazem jest myśl i miłość. Miłość ma miejsce jedynie wówczas, kiedy istnieje ktoś, kogo można pokochać, komu można się całkowicie oddać, kim można się zachwycać. Człowiek potrzebuje innych ludzi, aby mógł im objawić swoją wewnętrzną tajemnicę, aby mógł się podzielić z nimi swoimi przeżyciami, aby zrealizować samego siebie. Między różnymi wspólnotami ludzkimi istnieje jedna wspólnota konieczna, gdzie człowiek rodzi się, wychowuje i wchodzi w pełne posiadanie rozumu — rodzina. Ona jest podstawową komórką społeczną i „szkołą bogatszego człowieczeństwa”. Od momentu przyjścia na świat dziecko związane jest nierozzerwalnymi więzami z matką i ojcem.

Rodzina jest wspólnotą osobową, gdzie wszyscy członkowie złączeni są ze sobą przez miłość, co umożliwia im dojrzewanie do pełni człowieczeństwa. U podstaw tej wspólnoty znajduje się trwały związek mężczyzny i kobiety, którzy wspólnie podjęli służbę wobec życia. Misja społeczna, która wyraża się w możliwości przekazywania życia nowym pokoleniom, należy do istoty miłości małżeńskiej. Rodzina opiera się na trzech faktach:

— dobrowolnego wyboru partnera: nikogo nie można zmuszać do zawarcia małżeństwa;

— trwałego związku: w imię miłości, która łączy „ja” i „ty”, nie można odrzucać partnera, ponieważ osoba ludzka nie jest środkiem do celu;

— daniu życia dziecku: „ja” i „ty” stajemy się „my” w stosunku do dziecka, które powołaliśmy do istnienia.

Faktem jest, że w przeszłości widziano w rodzinie przede wszystkim wspólnotę gospodarczą, gdzie każdy posiadał określone prawa, obowiązki i zajmował pewną pozycję wobec innych. Nic też dziwnego, że w dawnym porządku rzeczy miłość schodziła na dalszy plan, nie liczone się ze skłonnościami uczuciowymi, a decydującą rolę odgrywały czynniki społeczne, polityczne czy ekonomiczne. W tej sytuacji nie zawsze dochodziło w małżeństwie do stworzenia wspólnoty osobowej opartej na miłości. Niekiedy był to „czysty” interes ekonomiczny. W niektórych wypadkach realizowano potrzeby uczuciowe poza ramami „oficjalnego” małżeństwa.

W ostatnim czasie zmieniła się struktura rodziny. W nowoczesnym społeczeństwie rodzina nie spełnia już roli wspólnoty gospodarczej, od której zależne było ekonomiczne życie jednostki. Kobieta w każdej chwili może uniezależnić się ekonomicznie od męża, rodzice nie są zdani na własne dzieci w okresie starości, dzieci z kolei bardzo szybko opuszczają zacisze rodzinne. W tej sytuacji w każdej rodzinie musi być zrealizowana wspólnota osobowa, która łączy rodziców z sobą i z dziećmi, którym dali życie.

Nowoczesne społeczeństwo coraz bardziej nabiera charakteru pluralistycznego, gdzie stosuje się różne systemy wartościowania moralnego. Nie znaczy to, że prawda się zmienia i należy usprawiedliwić realizm etyczny. Istnieją pewne normy moralne, które nie zależą od ludzkiej akceptacji. W każdej ocenie moralnej należy wziąć pod uwagę dwa elementy: normę moralną, która proponuje pewną wartość i konkretnego człowieka, który chce tę wartość zrealizować. Człowiek tworzący wspólnotę osobową nosi na sobie zamię własnej płci. Nic też dziwnego, że zasady etyczne, które odnoszą się do ludzkiej realizacji płciowej, muszą być wyprowadzone z funkcji właściwych osobie, a nie z działalności gospodarczych. Ma to istotne znaczenie dla katolickiej etyki małżeńskiej i rodzinnej.

Człowiek wezwany jest do realizacji samego siebie w prawdzie, wolności i miłości. Każda wspólnota osobowa musi liczyć się z tym podstawowym powołaniem człowieka. Pierwszymi osobami,

których spotykamy na drodze swojego życia, są nasi rodzice. Oni biorą odpowiedzialność na siebie za te lata, kiedy dziecko jest słabe, nieporadne i bezbronne. Odpowiedzialność ta w jednakowym stopniu dotyczy matki i ojca.

Dziecko może właściwie się rozwijać jedynie w klimacie miłości. Należy zwrócić uwagę na podstawowy fakt, że dziecko jest owocem miłości małżeńskiej. Z chwilą kiedy rodzice dają życie dziecku, miłość ich nie jest „przywilejem”, lecz istotnym obowiązkiem. Dziecko potrzebuje miłości rodziców nie tylko w stosunku do siebie, lecz także między nimi. Małżonkowie nie mają prawa nie kochać się, ale mają obowiązek kochać się coraz bardziej ze względu na dziecko. Miłość ta potrzebna jest dziecku, aby mogło ono dorastać do pełni człowieczeństwa. Na podstawie badań naukowych stwierdzono, że zdecydowana większość tzw. „trudnej młodzieży”, która nie potrafi przystosować się do norm życia społecznego, pochodzi właśnie z rodzin zdemoralizowanych i rozbitych.

Miłość małżeńska, która „ucieleśnia” się w dziecku, z natury swej nastawiona jest na prokreację. Z chwilą kiedy dziecko przychodzi na świat, powstaje nowa wspólnota osobowa, wspólnota rodzinna: „ja” i „ty” stajemy się „my” w stosunku do dziecka. Dziecko nadaje sens wspólnocie rodzinnej, pogłębia miłość między małżonkami i nakłada na nich nowe zobowiązania. Powołanie małżeńskie nie ogranicza się do zrodzenia potomstwa. Nie wystarczy dać życie dziecku, ale należy je wychować. Wychowanie to miłość między małżonkami, harmonia, wspólnota życia, zabezpieczenie odpowiednich warunków materialnych. Trzeba pamiętać o tym, że decydujące znaczenie dla wychowania dziecka ma atmosfera, jaka panuje w rodzinie: rodzice wychowują nie przez to, co mówią, ale przez to, jak żyją.

W normalnym porządku rzeczy miłość między kobietą i mężczyzną „wyprzedza” zrodzenie dziecka. Nikt z nas nie może mieć pretensji do rodziców za to, że powołali nas do życia. Miłość, która ich łączyła, jest wystarczającą i ostateczną racją naszego istnienia. Rodzice jako osoby ludzkie mieli pełne prawo do takiej miłości.

Rodzina jest szkołą bogatszego człowieczeństwa. W niej docho-

z wolności, doświadczamy bezinteresownej miłości. Nikt nie jest w stanie zastąpić rodziców w procesie wychowania dziecka. Nie znaczy to jednak, że dziecko tylko „bierze” nie dając nic w zamian. We wspólnocie rodzinnej tak rodzice są potrzebni dziecku, jak i dziecko rodzicom.

Miłość ma miejsce wówczas, kiedy istnieje ktoś, kogo można pokochać. Miłość między mężczyzną i kobietą rodzi się w momencie zachwytu partnera, w chwili oczarowania jego wewnętrzną tajemnicą, niepowtarzalnością, człowieczeństwem. Niemniej osoba istnieje niezależnie od mojej woli, istnienie jej zależy od kogoś innego, a moje szczęście polega na tym, że ją spotkałem. Spotkanie znajduje się u podstaw miłości małżeńskiej.

Miłość małżeńska z natury swej nastawiona jest na dziecko, które łączy „ja” i „ty” w „my”. Dziecko przyczynia się do dojrzewania w miłości, pogłębia jedność, daje możliwość poświęcenia się. Miłość dojrzała nie może nie oddać się dla drugiego. W tym sensie dziecko potrzebne jest małżonkom. Ale swego dziecka nie można spotkać „przypadkowo” wśród innych istot ludzkich, tak jak się spotyka męża czy żonę. Trzeba je sobie „stworzyć”. I dlatego miłość małżeńska nastawiona jest na twórczość, na zrodzenie potomstwa, na przekazywanie życia. Małżonkowie, aby mogli doświadczyć radości macierzyństwa i ojcostwa, aby mogli stworzyć jedność, która wyraża się w „my”, aby mogli razem kogoś pokochać — muszą najpierw „stworzyć” sobie przedmiot swej miłości: powołują do życia dziecko. W tym wyraża się dojrzała miłość: potrzebuję cię, ponieważ cię kocham. Nic też dziwnego, że dziecko potrzebne jest rodzicom, aby mogli zrealizować samych siebie w miłości.

Wspólnota rodzinna, pomimo zmienionych warunków społeczno-polityczno-ekonomicznych, stanowi nadal podstawową komórkę społeczną. W nowoczesnym społeczeństwie ma do spełnienia istotną rolę: zrodzenie i wychowanie potomstwa. Wychowanie dzieci nie może ograniczać się jedynie do zabezpieczenia materialnego. Rodzice ponoszą główną odpowiedzialność za rozwój intelektualny, moralny i duchowy swoich dzieci.

W naszym czasie miłość staje się przede wszystkim sprawą uczuć i kontaktów seksualnych. Nic też dziwnego, że stanęliśmy wobec niezrozumiałego paradoksu: z jednej strony człowiek tęskni za prawdziwą miłością, z drugiej natomiast boi się zobowiązać na całe życie w imię miłości. W tej sytuacji małżeństwo, które z natury swej jest związkiem międzyosobowym i nierozzerwalnym, przeżywa kryzys.

Chrystus pragnąc, aby małżonkowie realizowali miłość „mocniejszą niż śmierć i sięgającą poza grób”, podniósł małżeństwo do godności sakramentu. W realizacji tego celu wspiera ich swoją Łaską, aby okazali się silniejsi niż „warunki czasu i życia”.

Wtedy przystąpili do Niego faryzeusze, chcąc Go wystawić na próbę, i zadali Mu pytanie: „Czy wolno oddalić swoją żonę z jakiegokolwiek powodu?” On odpowiedział: „Czy nie czytaliście, że Stwórca od początku stworzył ich jako mężczyznę i kobietę? I rzekł: Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela.”

Mt. 19, 3-6

Nie różnimy się od naszych rówieśników. Jesteśmy także wrażliwi na fizyczny aspekt miłości. Kosztowało nas to wiele, ale wierzyliśmy sobie wzajemnie i ufaliśmy Bogu. Dziś jesteśmy bardzo szczęśliwi dlatego, że kiedyś uwierzyliśmy w prawdziwą miłość i realizujemy ją przy pomocy Bożej. W najbliższym czasie zawrzemy sakrament małżeństwa...

Ryszard, l. 24

Bądźcie sobie wzajemnie poddani w bojaźni Chrystusowej. Żony niechaj będą poddane swym mężom jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak i Chrystus — Głową Kościoła: On, Zbawca Ciała. Lecz jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak i żony mężom — we wszystkim. Mężowie miłujcie swe żony, bo i Chrystus umiłował Kościół i wydał za niego samego siebie, aby go uświęcić, oczyściwszy obmyciem wodą, któremu towarzyszy słowo, aby

osobiście stawiać przed sobą Kościół jako chwalebny, nie mający skazy czy zmarszczki, czy czegoś podobnego, lecz aby był święty i nieskalany. Mężowie powinni miłować swoje żony, tak jak własne ciało. Kto miłuje swoją żonę, siebie samego miłuje. Przecież nikt nie odnosi się z nienawiścią do własnego ciała, lecz każdy je żywi i pielęgnuje, jak i Chrystus — Kościół, bo jesteśmy członkami Jego Ciała. Dlatego opuści człowiek ojca i matkę, a połączy się z żoną swoją, i będą dwoje jednym ciałem. Tajemnica to wielka, a ja mówię: w odniesieniu do Chrystusa i do Kościoła.

Ef. 5, 21-32

Małżeństwo, jako trwały związek mężczyzny z kobietą, istnieje od momentu stworzenia człowieka. Zdeterminowane jest ono naturą ludzką. Biblia podkreśla, że jedynie kobieta, która jest „kością z kości mężczyzny i ciałem z jego ciała” stanowi odpowiednią towarzyszkę życia dla mężczyzny. Ci dwoje są sobie równi we wszystkim. Istotne jest to, że mogą „wymienić słowo”, to znaczy, że mogą nawiązać kontakt na płaszczyźnie osobowej, mogą objawić sobie wzajemnie swoją wewnętrzną tajemnicę, mogą wspólnie podjąć określone zadania. Małżeństwo, zgodnie z wolą Stwórcy, ma być wyrazem wewnętrznej jedności serc. Jedność ta opiera się na miłości, której istotę stanowi oddanie się drugiej osobie.

Grzech pierworodny zakłócił pierwotny porządek stworzenia, zerwał więzy przyjaźni między człowiekiem i Bogiem, podważył pierwotne znaczenie małżeństwa. Mężczyzna zaczął traktować kobietę jako „rzecz”, prywatną własność, przedmiot dostarczający przyjemności. Człowiek, który stracił wrażliwość na osobistą godność kobiety, zaakceptował poligamię. Mężczyzna sam sobie przyznał prawo do posiadania żony, kochanki i nałożnicy.

Chrystus przywrócił małżeństwu integralność i godność, którą straciło w wyniku grzechu. Co więcej: podniósł je do godności sakramentu. Od tej chwili miłość małżeńska wkracza w tajemnicę Łaski i zostaje przez to ocalona. W momencie zawarcia sakramentu małżeństwa staje między mężczyzną i kobietą Chrystus, który umacnia ich miłość. Małżonkowie zostają zjednoczeni w Bogu. Małżeństwo chrześcijan zyskuje nowy wymiar. Nie jest to jedynie związek cielesny, uczuciowy i osobowy, lecz przede wszystkim

związek sakramentalny. Fakt ten określa chrześcijańską etykę małżeńską i rodzinną.

W naturalnym porządku rzeczy mężczyzna i kobieta wezwani są do wzajemnego uzupełnienia się na płaszczyźnie cielesnej, uczuciowej i osobowej: „ja” realizuje się w „ty”. Niemniej powołanie człowieka nie ogranicza się do płaszczyzny naturalnej. Każdy z nas wezwany jest do osobistego spotkania z Bogiem przez Łaskę. Mężczyzna i kobieta, którzy jako chrześcijanie wszczępieni są w Chrystusa, muszą uwzględnić religijny wymiar życia i muszą liczyć się z wolą Chrystusa. Sakrament Małżeństwa ma sens jedynie dla tych ludzi, którzy wierzą w Chrystusa, pragną zjednoczyć się z Nim przez Łaskę i tęsknią za zbawieniem. Istotę tego sakramentu można zrozumieć jedynie w świetle Objawienia i na płaszczyźnie wiary.

W Piśmie św. zbawienie dokonane przez Chrystusa porównane jest do zaślubin. Chrystus, stając się człowiekiem, „poślubia” ludzkość, to znaczy łączy ją nierozzerwalnie ze sobą, a tym samym zbawia. Ci wszyscy, zjednoczeni z Chrystusem przez wiarę i miłość, stanowią Jego Mistyczne Ciało, czyli Kościół, za który Chrystus oddał swoje życie na Kalwarii. Miłość Chrystusa do Kościoła jest bezgraniczna, całkowita i potwierdzona ofiarą złożoną ze swego życia. Małżeństwo chrześcijan jest znakiem, symbolem, wyrazem tej miłości, którą Chrystus okazuje swemu Kościołowi.

Małżeństwo jest sakramentalnym znakiem tej miłości, która łączy Chrystusa z Kościołem. Znak sakramentalny nie tylko coś oznacza, ale sprawia to, co oznacza. Sakrament małżeństwa nie tylko oznacza jedność, jaka istnieje między Chrystusem i Kościołem, ale powoduje tę jedność: sakramentalny związek między mężczyzną i kobietą jest nierozzerwalny. Gdyby mąż mógł opuścić żonę, wówczas małżeństwo chrześcijan byłoby fałszywym znakiem, podważałoby fakty, byłoby kłamstwem, ponieważ Chrystus nigdy nie opuszcza swego Kościoła.

Paweł Apostoł nazywa małżeństwo „wielkim sakramentem” ze względu na odniesienie do Chrystusa i Kościoła. Związek sakramentalny, który łączy mężczyznę i kobietę, musi „odzwierciedlać” tę rzeczywistość, jaka istnieje między Chrystusem i Jego Mistycznym Ciałem. Chrystus poślubia Kościół, ponieważ Go ko-

cha, oddaje Mu swoje Ciało, zostaje złączony z Nim na zawsze. Kościół odpowiada na miłość Chrystusa miłością, wiernością i oddaniem. Miłość, która łączy Chrystusa z Kościołem, jest „płodna”: z niej rodzą się nowe dzieci dla nieba.

Z mistyki tej św. Paweł wyprowadza praktyczne zastosowanie do małżeństwa. Mąż powinien kochać swoją żonę, powinien oddać się jej całkowicie, powinien pozostać przy niej na zawsze. Żona powinna w ten sam sposób postępować wobec męża: powinna być wierna, wytrwała i całkowicie oddana. Wzajemne oddanie się dotyczy także własnego ciała. Ma to miejsce we współżyciu małżeńskim. Miłość małżeńska z natury swej jest płodna: daje życie dziecku.

Sakrament małżeństwa, który symbolizuje „zaślubiny” Chrystusa z Kościołem, odznacza się dwiema cechami: jednością i nierozzerwalnością. Wynika to z istoty samego sakramentu, z godności osoby ludzkiej i z pojęcia miłości:

— jedność: sakrament łączy jednego mężczyznę z jedną kobietą na całe życie; na gruncie moralności chrześcijańskiej nie ma miejsca na przygodne romanse, flirty i „trójkąty” małżeńskie; jeden mąż i jedna żona — oboje wierni sobie być muszą na dobre i na złe; wierność ta dotyczy umysłu, serca i ciała; zdrada małżeńska jest jednym z największych grzechów przeciw miłości;

— nierozzerwalność: związek sakramentalny, który powstaje w momencie ślubowania sobie wzajemnie miłości w imię Chrystusa, kończy się ze śmiercią jednego ze współmałżonków; oznacza to, że w Kościele katolickim nie ma rozwodów.

Miłość, którą ślubują sobie wzajemnie mężczyzna i kobieta, musi być prawdziwą miłością, to znaczy musi wyrażać się pragnieniem uszczęśliwienia drugiej osoby. Nie ma sakramentu wyrachowania małżeńskiego, zabezpieczenia bytu materialnego czy też zyskowego kontraktu. Chrystus, udzielając swojej Łaski, wymaga zarazem osobistego zaangażowania, wykorzystania do maksimum możliwości naturalnych oraz poczucia odpowiedzialności za drugiego człowieka. Na tym dopiero może budować Łaska. Nic też dziwnego, że ludzie niedojrzali pod względem duchowym, zamknięci w skorupie własnego egoizmu i niezdolni do wyjścia naprzeciw innym, nie są w stanie wypełnić zobowiązań, jakie nakłada na nich sakrament miłości małżeńskiej.

Postęp nauk, rozwój kultury technicznej, przemiany cywilizacyjne oraz przemiany społeczno-ustrojowe doprowadziły nie tylko do zmian strukturalnych w rodzinie, w jej rolach i funkcjach, ale wywierają też wpływ na światopogląd rodziny. Rodzina jako struktura otwarta i poddana procesom kulturyzacji poprzez środki masowego przekazu, jak i na skutek kształcenia dzieci w instytucjach publicznych nie może nie odczuwać silnych wpływów laicyzujących, które utrudniają jej realizację funkcji religijnej. Temu procesowi laicyzacji i ateizacji rodziny zdecydowanie przeciwstawia się Kościół, ponieważ rodzina, na mocy szczególnej łaski sakramentu małżeństwa, ma istotną rolę do spełnienia w dziele zbawienia dokonany przez Chrystusa. Nic też dziwnego, że Drugi Sobór Watykański, nawiązując do pierwotnej tradycji chrześcijańskiej, nazywa rodzinę „Kościółem domowym”.

Rodzina, która jest podstawową komórką społeczeństwa i domowym sanktuarium Kościoła, wypełnia swoje posłannictwo otrzymane od Boga wówczas, kiedy jej członkowie wzajemnie świadczą sobie miłość, kiedy włącza się w kult liturgiczny i kiedy świadczą czynne miłosierdzie służąc wszystkim braciom znajdującym się w potrzebie. Ona stanowi właściwe środowisko dla wychowania społecznego i dojrzewania religijnego. Rodzice są pierwszymi katechetami swoich dzieci.

Do zasadniczych zadań rodziny chrześcijańskiej należy również zadanie kościelne: jest ona powołana do budowania Królestwa Bożego w dziejach, poprzez udział w życiu i posłannictwie Kościoła.

Jan Paweł II

Do dziś porusza mnie wspomnienie postawy mojego ojca. Zmęczony pracą na roli albo przy transporcie drzewa, klękał po kolacji na podłodze, opierał łokcie na siedzeniu krzesła i ukrywał twarz w dłoniach. Nie spoglądał na nas, nie podnosił głowy, nie pokaszliwał, nigdy nie okazywał zniecierpliwienia. A ja myślałem sobie: jaki Bóg musi być wielki, jeśli mój ojciec przed nim klęka,

ale i bardzo bliski ludziom, skoro mój ojciec rozmawia z Nim w zwykłym, roboczym ubraniu.

o. A. Duval, piosenkarz

Zdecydowałam się na małżeństwo. Jestem przekonana, że z moim narzeczonym będę mogła zrealizować w życiu chrześcijański model małżeństwa, a to jest dla mnie sprawa najważniejsza.

Regina, l. 23

Związek małżeński mężczyzny i kobiety będący z natury instytucją nie tylko społeczną, ale i religijną, nabrał nowego znaczenia w chrześcijaństwie. Chrystus, „Syn Boży narodzony z Niewiasty”, uświęcił swoim życiem ludzką rodzinę, przywrócił małżeństwu pierwotną godność przyćmioną przez grzech człowieka i położył nowy fundament pod wspólnotę dwojga ludzi podnosząc ich miłość do godności sakramentu. W ten sposób naturalny związek mężczyzny i kobiety stał się jednym z siedmiu znaków specjalnej Łaski Zbawiciela, wysłużonej przez Jego śmierć na Krzyżu.

Małżonkowie chrześcijańscy „nabyci Krwią Chrystusa” nie należą już do siebie samych. Z chwilą Chrztu św. ich ciała stały się „przybytkiem Ducha Świętego”, który w nich mieszka. W Sakramencie Małżeństwa otrzymali od Chrystusa tylko im właściwe powołanie, które w Jego imieniu mają sprawować na ziemi. Istotą tego powołania stanowi zrodzenie i wychowanie po chrześcijańsku potomstwa. Przez tę posługę wychowawczą sprawowaną w duchu ewangelicznym przyczyniają się do rozbudowy Mistycznego Ciała Chrystusa, jakim jest Kościół. Kościół rozrasta się nie tylko dzięki duchowej posłudze kapłanów, ale również dzięki wychowawczej posłudze małżonków chrześcijańskich, którzy wydają na świat potomstwo i wychowują je na chwałę Bożą. Małżonkowie kochając się w Duchu Chrystusa i dając początek nowemu życiu uświęcają się wzajemnie i chwałą Boga w swoim ciele. Małżonkowie chrześcijańscy realizując doskonałą wspólnotę miłości i wzajemnego oddania się, stają na usługach Chrystusa i Kościo-

ła, by w ten sposób przysparzać Bogu nowych czcicieli, a Kościołowi członków.

Drugi Sobór Watykański w szczególny sposób podkreśla prawdę, że Kościół urzeczywistnia się przez wspólnotę rodzinną, która zostaje nazwana „szkołą bogatszego człowieczeństwa”. Rodzina, podobnie jak Kościół powszechny, jest wspólnotą sakramentalną i duchową. Wspólnota sakramentalna rodzi się z sakramentów chrztu i małżeństwa. Każdy sakrament zobowiązuje do podjęcia określonej misji czy posłannictwa. Sakrament Małżeństwa wymaga od małżonków pielęgnowania i świadomego rozwijania obojecznej miłości po to, by ta miłość stawała się coraz bardziej czytelnym znakiem miłości, jaka łączy Chrystusa z Kościołem.

Rodzina chrześcijańska, opierając się na sakramentalnym związku małżeńskim, otrzymuje od Chrystusa specjalny mandat apostolski. Szczególne posłannictwo, jakie Chrystus zaleca rodzinom chrześcijańskim, ma służyć wznoszeniu Królestwa Bożego w dziejach. Z tego powodu nazywa się ją „Kościółem domowym”. Zasadnicze znamię „Kościół domowego” stanowi wspólnota. Początkowo jest to wspólnota dwojga, to jest małżonków. Później wraz z przyjściem na świat dziecka dojrzuje do wspólnoty kilka osób zgromadzonych i żyjących w imię Chrystusa. Wspólnota ta, w której wszyscy członkowie pomagają sobie wzajemnie w osiągnięciu zbawienia, ukazana jest przez ostatni Sobór jako wspólnota zbawcza.

Rodzina, będąca Kościołem domowym, w sobie właściwy sposób uczestniczy w funkcji profetycznej, kapłańskiej i królewskiej Ludu Bożego. W niektórych wypadkach jest to rola nie do zastąpienia.

a. Udział w funkcji profetycznej. Uczestnicząc w życiu i posłannictwie Kościoła, który słucha nabożnie Słowa Bożego i głosi je z pełną ufnością, rodzina chrześcijańska wypełnia swoje zadanie prorockie przyjmując i głosząc Słowo Boże: w ten sposób staje się z każdym dniem bardziej wspólnotą wierzącą i ewangelizującą.

Na rodzicach ciąży obowiązek przekazania swoim dzieciom nauki chrześcijańskiej i wychowania ich w duchu Ewangelii Jezusa Chrystusa. Oni, przy pomocy słowa i przykładu, mają być dla swoich dzieci pierwszymi zwiastunami wiary i miłości. Katecheza

domowa wcale nie musi kopiować katechezy parafialnej. Podstawowym jej czynnikiem jest atmosferą szczerości i zaufania oraz świadectwo wiary dawane każdego dnia. Rodzice wychowują nie tylko przez to, co mówią, ale przede wszystkim przez to, jak postępują w codziennym życiu z wiary. Katecheza domowa rozumiana jako żywy i codzienny przekaz wiary ma nie tylko przybliżyć prawdę Ewangelii, wskazać na jej wartości życiowe, ale także wprowadzić we wspólnotowe życie Kościoła, zachęcić do osobistej przyjaźni z Chrystusem, wyrobić poczucie Bożej obecności w świecie i w życiu ludzkim. Przekaz wiary w domu rodzinnym powinien być oparty o świadectwo życia i wspólną modlitwę Kościoła domowego. Tym właśnie powinien się różnić od nauczania szkolnego.

Rodzina chrześcijańska, uczestnicząc w ewangelicznej posłudze Kościoła, ma świadczyć o prawdzie ewangelicznej wobec innych rodzin oraz wobec otoczenia, w którym żyje. Istotą apostołskiego posłannictwa rodziny stanowi przekazywanie wiary oraz uświęcenie i przemiana współczesnego społeczeństwa wedle zamysłu Bożego. Szczególną troską należy otoczyć ubogich, chorych, starszych, upośledzonych, sieroty, wdowy, opuszczonych małżonków, matki niezamężne oraz te, które w trudnych sytuacjach doświadczają pokusy usunięcia owocu ich łona.

b. *Udział w funkcji kapłańskiej.* Rodzina uczestniczy w funkcji kapłańskiej Kościoła przez wspólną modlitwę, uczestnictwo w liturgii i życie sakramentalne. W ten sposób realizuje ona kult, jaki Lud Nowego Przymierza składa Bogu za pośrednictwem Chrystusa w Duchu świętym.

Kościół domowy, podobnie jak Kościół powszechny, powinien gromadzić się wokół Ewangelii, w której zawarte są słowa Chrystusa. W niej znajdujemy wskazania, co mamy czynić, żeby się Bogu podobać. Słowa Chrystusa są światłem na drodze naszego życia, dzięki któremu lepiej rozumiemy własną egzystencję, samych siebie i innych ludzi. Stanowią również podstawę refleksji modlitewnej. Modlitwa biblijna, tak mało praktykowana w codziennym życiu, pozwala nam bliżej poznać osobę Jezusa, uwrażliwia nas na obecność i działanie Jego słów oraz broni nas przed rutyną w kontaktach z Bogiem.

W życiu Kościoła domowego istotną rolę spełnia świadomy i po-

głębiiony udział w Eucharystii. Udział ten powinien stać się uprzywilejowanym momentem w życiu rodziny chrześcijańskiej. Eucharystia wzywa wiernych, by uczyli się składać siebie samych w ofierze Bogu i braciom, wzmacnia duchowo poszczególnych chrześcijan oraz wprowadza w monotonną codzienność ducha Bożego, przez co pogłębia więź duchową łączącą wszystkich członków rodziny.

c. *Udział w funkcji królewskiej.* Kościół domowy ma obowiązek wpływać na kształtowanie swego środowiska w duchu Ewangelii Jezusa Chrystusa. Rodzina, jako najmniejsza wspólnota nowego Ludu Bożego, jest zakorzeniona w świecie i na co dzień uczestniczy w jego życiu. Z tego faktu płynie oryginalne i właściwe jej posłannictwo. Ma ona się przyczyniać do rozszerzenia w świecie Królestwa Bożego, które jest Królestwem prawdy i życia, świętości i łaski, sprawiedliwości, pokoju i miłości.

Rodzina nie może pozostać zamknięta w sobie, troszcząc się jedynie o dobro poszczególnych swoich członków, lecz musi być uwrażliwiona na potrzeby swego środowiska. Kościół domowy, działając na rzecz dobra w świecie, wychodzi poza granice własnego podwórka i pragnie przybliżyć dzisiejszy świat do Królestwa Bożego. Troska o dobro, sprawiedliwość społeczną, pokój między narodami, solidarność, a więc o te wartości, których brak dotkliwie odczuwają współcześni ludzie, jest uczestnictwem w realizacji misji pełnionej przez Kościół wobec świata. W ten sposób poszczególni członkowie rodziny uczą się współżycia w społeczeństwie, uwrażliwiają się na potrzeby innych ludzi i sprawdzają swoją aktywność apostołską.

Przyznaję Ci rację, że model miłości małżeńskiej ukazany w znaku Chrystus-Kościół, urzeka swoją wzniosłością, ale praktykowanie go w życiu codziennym nie jest łatwe. Realizacja tego modelu wymaga dojrzałości psychicznej, osobowej i religijnej. Małżonkowie, aby mogli dojrzeć duchowo do realizacji tego modelu, muszą nauczyć się zapominać o sobie i dostrzegać potrzeby innych ludzi. Niemniej w tym trudnym zmaganiu się z samym sobą, Chrystus udziela im swojej szczególnej Łaski w Sakramencie Małżeństwa. Im miłość małżeńska jest bardziej dojrzała, tym obfitsze są owoce łaski sakramentalnej.

Kobieta współczesna zdobywa powoli świadomość samej siebie, przewycięża przesady wieków, które wyznaczyły jej drugorzędne miejsce w społeczeństwie, walczy o to, aby szanowano jej godność osoby ludzkiej na równi z mężczyzną. Kościół docenia i popiera te wysiłki mające umożliwić kobiecie współczesnej awans społeczny. Jest to jak najbardziej zgodne z duchem Ewangelii.

Faktem jest, że w przeszłości mężczyźni zbyt często rościli sobie prawo do określania warunków, które kobieta była zmuszona zaakceptować w realizacji samej siebie. Zazwyczaj musiała służyć swemu silniejszemu towarzyszowi i realizowała swoje człowieczeństwo w cieniu właściciela, męża czy syna.

Współczesne ruchy feministyczne, które pragną za wszelką cenę zrównać kobietę z mężczyzną, popełniają niekiedy zasadnicze błędy. Nie można zaakceptować modelu kobiety, która ignoruje wymogi własnej płci, czyni ze swojego ciała „wartość” rynkową i mówi „nie” macierzyństwu. Należy zauważyć, że fotomodelki, które dla wielu stały się symbolem kobiecości, nie mają nawet własnych imion. Uważa się powszechnie, że zanik szacunku dla kobiet jest plamą współczesnej cywilizacji. Kobieta, która sprzeniewierza się własnej kobiecości, traci wewnętrzne bogactwo i w rezultacie staje się niewolnicą mężczyzny.

Od samego początku wiedziałam, że nie ma żadnej nadziei. Nie poddawałam się jednak rozpacz. Przez trzy lata opiekowałam się osobiście dzieckiem i rozumialiśmy się bez słów. Nie zwracałam uwagi na nieprzespane noce, nie czułam zmęczenia, nie broniłam się przed poświęceniem. Pragnęłam tylko jednego: aby moje dziecko chociaż jedyny raz powiedziało do mnie „mama”. Niestety. Bóg zabrał mój najdroższy skarb, a ja pozostałam sama ze swoją boleścią...

Zuzanna, l. 29

Kilka dni temu wyszłam z kliniki, gdzie „przegrałam” po raz trzeci walkę o dziecko. Lekarze nie byli w stanie utrzymać mojej ciąży. Mam wprawdzie jedno dziecko, ładne, zdrowe i inteligent-

ne, ale nie jest ono szczęśliwe. Codziennie modli się o to, aby „przybyła” siostrzyczka. Już trzy razy obiecywałam mu, że będzie miał siostrzyczkę. Niestety, w pewnych sytuacjach człowiek jest bezsilny...

Matka, l. 27

Mam nadzieję, że ksiądz mnie zrozumie. Nie przyjąłam propozycji rektora, który chciał wysłać mnie na medycynę tylko dlatego, iż wydaje mi się, że jako pielęgniarka będę miała więcej możliwości do bezpośrednich kontaktów z małymi dziećmi, którym całkowicie chcę się oddać. To jest moje powołanie życiowe. Mam już załatwione miejsce w jednym ze szpitali na oddziale dziecięcym...

Urszula, l. 21

Historia nie bardzo była łaskawa i sprawiedliwa dla kobiety. Zasadniczo do najnowszych czasów negowano prawo kobiety do całkowitej afirmacji własnego człowieczeństwa. Niekiedy była ona ofiarą przesądów religijnych i społecznych. Filozofia, polityka, tradycja i obyczaje zgadzały się w tym, że rola kobiety ogranicza się do prokreacji i „zaćisza” domowego. W środowisku tym kobieta nie mogła okazywać swego „prawdziwego” oblicza i nie była w stanie wykorzystać swoich możliwości.

W starożytności niewolnica i kobieta wolna na równi uważane były za przedmiot. I chociaż za czasów Sumerów (III tysiąclecie przed Chrystusem) kobiety cieszyły się jeszcze względną swobodą, to jednak pierwsze kodeksy prawne, jakie do nas dotarły, wskazują na systematyczne ograniczenia i pogarszanie się doli kobiety. Kodeks Hammurabiego sprowadza kobietę do rzędu niewolnic. Żona stanowiła własność męża do tego stopnia, że nie tylko mógł ją okaleczyć lub zabić, ale w razie trudności finansowych wypożyczyć, zastawić lub sprzedać, z dziećmi lub bez.

Kobiety starożytne, jeśli życie ich upływało w małżeństwie lub niewolnictwie, praktycznie nie miały żadnych praw. Przedstawiały wartość ze względu na swą młodość, urodę czy macierzyństwo oraz jako siła robocza; ceniono również ich uzdolnienia artystyczne. Wszystkie praktyki, które mogły spowodować bezpłodność,

były surowo karane. Przerwanie ciąży uważano za niesłychaną zbrodnię; kobiety, które się tego dopuściły, wbijano na pal, odmawiając im pogrzebu. Pewien wyjątek stanowiły kapłanki i hierodule, oddające się sakralnej prostytucji. Cieszyły się one swobodą i szeregiem cennych przywilejów prawnych. Gdy się zestawi los zwykłej zony i matki z rolą kapłanek i hierodul, nietrudno zrozumieć, dlaczego kobiety garnęły się do tego kultu, który nie tylko dawał im pozycję w społeczeństwie i zapewniał emancypację spod srogiej kurateli męża, ale również gwarantował im ochronę prawną.

W Izraelu największym tytułem do chwały kobiety było macierzyństwo, które zapewniało jej miłość męża, szacunek społeczności i szczęśliwą starość. Liczne potomstwo, a zwłaszcza synowie stanowili główny cel małżeństwa; natomiast największym nieszczęściem kobiety była bezdzietność. Uważano ją za karę Bożą, ściągająca hańbę i mogła być przyczyną utraty miłości mężowskiej.

W starożytności zasadniczo nie doceniano intelektu i ducha kobiecego, nie zwracano uwagi na jej możliwości kulturotwórcze, nie liczone się z jej godnością osobistą. Ceniono ją bardziej za wartości estetyczne niż moralne, wyznaczano jej rolę strażniczki życia domowego i wykorzystywano jej możliwości prokreacyjne.

Zasadniczym błędem przeszłości było to, że nie rozpoznano w kobiecie osoby ludzkiej, która ma prawo do realizacji samej siebie w wolności, w miłości i w prawdzie. Kobiecie należy się szacunek nie z tego względu, że jest matką, żoną czy siostrą, ale dlatego, że jest osobą ludzką, że jest powołana do osobistego spotkania z Bogiem w miłości, że została obdarzona wyjątkową godnością przez Stwórcę. Osoba ludzka nie może być wykorzystywana do żadnych celów. Ze względu na godność osoby ludzkiej kobieta sama o sobie decyduje, ma prawo do dokonywania wyborów we własnym imieniu i może całkowicie oddać się realizacji określonych ideałów. Kobieta, tak samo jak i mężczyzna, jest bytem kulturotwórczym, posiada duszę nieśmiertelną i zdolna jest do miłości. Oznacza to, że posiada tę samą naturę ludzką, to samo powołanie i to samo przeznaczenie ziemskie oraz wieczne. Historia musi być tworzona przez całą ludzkość i kobiety mają w niej swoją rolę do spełnienia.

Należy zauważyć, że mężczyzna i kobieta posiadają te same prawa osoby ludzkiej, ale inne wymagania biologiczne i psychiczne. Równość nie znaczy identyczność. Kobieta z natury swej powołana jest do macierzyństwa i tylko w nim osiąga pełnię swej osobowości. Macierzyństwo jest ostatnim etapem w społecznym dojrzewaniu kobiety, jako że dopiero stając się matką przekracza ona ostatni krąg wtajemniczeń swojej płci i uzyskuje pełnię kobiecości. W normalnych warunkach, każdy kolejny poród ugruntowuje kobiecość nie tylko fizyczną i hormonalną, ale również psychiczną.

Kobieta, która z racji swego przeznaczenia i wewnętrznego ukształtowania ciała nastawiona jest na macierzyństwo, charakteryzuje się dwiema zdolnościami: przyjęcie nowego życia i całkowite oddanie się drugiemu. Znajduje to swój wyraz w dziewictwie i macierzyństwie, które są dwoma zasadniczymi stanami w jej życiu: za wartość macierzyństwa płaci wartością dziewictwa. Dziewictwo i macierzyństwo stanowi „fundament” natury kobiecej i determinuje jej postępowanie. W tym kontekście należy zaznaczyć, że „kobiecość” nie jest żadną słabością, lecz możliwością pomnożenia duchowego dorobku ludzkości, wspaniałym darem Bożym, nadzieją, oczekiwaniem i tęsknotą.

Macierzyńska jest cała cielesno-duchowa natura kobiety. Nie tylko jej ciało, ale i dusza w sposób o wiele bogatszy przystosowana jest do pielęgnowania duchowego życia człowieka. Kobieta pragnie dawać życie i chce się nim opiekować. Ma subtelne wyczuwanie cudzych potrzeb, łatwiej wczuwa się w sytuacje innych i bardziej wrażliwa jest na ludzką nędzę. Jej radość i smutek pochodzi od innych. Z tego też względu kobiety samotne, z konieczności czy wyboru, podejmują przede wszystkim te zajęcia, gdzie mogą poświęcić się całkowicie człowiekowi, który potrzebuje pomocy. Każde działanie kobiety nosi na sobie znamię intymnego zaangażowania się. Należy zaznaczyć, że kobieta z natury swej bardziej nastawiona jest na macierzyństwo niż mężczyzna na ojcostwo. W tym zawiera się jej specyficzna misja społeczna, którą powinna spełniać zgodnie z własnym powołaniem. Macierzyństwo jest także wyrazem głębokiego zaufania, jakie Bóg okazuje kobiecie.

Faktem jest, że u kobiety dominuje popęd macierzyński. Ma-

cierzyństwo, jako wartość typowo kobieca, nie może ograniczać się do zrodzenia dziecka i troski o zabezpieczenie jego potrzeb. Kobieta staje się pełnym człowiekiem poprzez zaangażowanie się we własny rozwój wewnętrzny, a nie przez biologiczny fakt zrodzenia potomstwa. W niektórych wypadkach dziewczica jest bardziej macierzyńska niż kobieta, która zrodziła wiele dzieci. Właściwe ustosunkowanie się wobec dziecka zależy przede wszystkim od bogactwa życia wewnętrznego.

Trudno nie zauważyć, że autentyczna kobiecość wyraża się w macierzyństwie. Niemniej macierzyństwo nie może być sprowadzone jedynie do faktu biologicznego, jakim jest zrodzenie dziecka, karmienie go własną piersią i troska o zabezpieczenie jego potrzeb. Macierzyństwo jest pewną postawą wobec życia, otwarciem się na potrzeby innych, zdolnością do bezinteresownych poświęceń na rzecz innych. W tym sensie mówi się o macierzyńskim „duchu” kobiety.

Kobieta, jako istota rozumna i wolna, sama o sobie decyduje i nigdy nie może być niczyją poddaną. Na płaszczyźnie osobowej macierzyństwo musi być wybrane, to znaczy że musi być świadomą, wolną i w pełni odpowiedzialną odpowiedzią na wezwanie samej natury. Tu nie chodzi o fakt macierzyństwa, które w niektórych wypadkach zaskakuje kobietę, ale o akt macierzyństwa, który jest wynikiem osobistego wyboru.

Człowiek jest osobą, to znaczy, że posiada rozum, wolną wolę i z tego tytułu przysługują mu pewne niezwykłe prawa osoby ludzkiej. Akt osobowy jest aktem ofiarowania się i oddania w formie określonej przez czynniki organiczne. Największym aktem osoby ludzkiej jest danie życia innej osobie. Osoba nastawiona jest na tworzenie: istnieję i kocham, dlatego jesteś ty. Kobieta jako osoba ludzka ma prawo żyć według ducha macierzyńskiego, który opiera się na autentycznej kobiecości i który jest wyrazem autonomicznych wyborów. Macierzyństwo w każdym wypadku musi być otwarte na osobisty wybór kobiety.

Instynkt macierzyński, który posiada każda kobieta, ogranicza się do pragnienia posiadania własnego dziecka. Macierzyństwo według ducha sprowadza się do obrony innych, do troski o innych, a także do rezygnacji z posiadania własnych dzieci, aby lepiej poświęcić się innym. Macierzyństwo instynktowne wynika

z praw biologicznych i z nimi jest związane, macierzyństwo według ducha jest aktem wyboru. Liczne kobiety postępują w zgodzie z macierzyństwem instynktownym, ale niewiele jest w stanie oddać się według macierzyństwa duchowego.

W Kościele katolickim cześć dla kobiety osiąga swój punkt szczytowy w kulcie Najświętszej Maryi Panny, która jest kobietą tej ziemi, a zarazem Matką Słowa Wcielonego. Ostatnie słowa Chrystusa wypowiedziane na krzyżu ukazują w Maryi Matkę, co w perspektywie całego Starego Testamentu jest najwyższym wyrazem szacunku, uznania i miłości, jaki można złożyć kobiecie.

41. REGULACJA POCZĘĆ

Szybki przyrost naturalny postawił przed ludzkością nowe problemy, które w pewnych rejonach świata stały się szczególnie palące. Niektórzy uważają, że największe zagrożenie dla pokoju światowego i dla utrzymania przyzwoitej stopy życiowej stanowi energia płciowa, a nie energia atomowa. Stąd też coraz więcej mówi się na temat refleksyjnej kontroli płciowości ludzkiej.

Ja, decydując się na drugie dziecko, uznałem dalszą pracę żony za niemożliwą, widząc, jakie trudności mieli znajomi z jednym dzieckiem. To spowodowało, że mój dochód miesięczny wynosi 600 zł na osobę, a analogicznie u kolegi 1600 zł na osobę.

Nauczyciel, l. 29

Dyskusja o właściwej liczbie dzieci w rodzinie zatacza coraz szersze kręgi i nabiera rumieńców. Zaciętrzewieni zwolennicy płodzenia bez miary odsądzają od czci i honoru tych, którzy poprzestają na jednym dziecku. Mam jedno dziecko. Drugie dziecko — to całkowita rezygnacja jednego z rodziców ze wszelkich ambicji zawodowych. Nie widzę też powodu, bym dlatego, że mnie moralnie szantażują, miał — godząc się na powiększenie rodziny — świadomie obniżać standard życiowy.

Dziennikarz, l. 32

Waszym obowiązkiem jest sprawić, by chleb był wystarczająco obfity na stole ludzkości, a nie zmniejszać liczbę biesiadników życia.

Paweł VI w ONZ

Z ukazaniem się książki Tomasza Malthusa o populacji w roku 1798, pojawiła się po raz pierwszy idea refleksyjnej płodności ludzkiej. Malthus wyszedł ze stwierdzenia, że ludność wzrasta na świecie w postępie geometrycznym, natomiast produkcja środków utrzymania w postępie arytmetycznym. Ponieważ ludzie ze swej natury podlegają pewnego rodzaju szaleństwu seksualnemu, dlatego — zdaniem Malthusa — jeżeli nie pohamują swego rozrodu, środki utrzymania nie wystarczą i widmo głodu jest nieuniknione. Sam Malthus doradzał całkowitą powściągliwość seksualną, ale jego zwolennicy, neomalthuzjanie, poszli znacznie dalej propagując wszelkie sposoby umniejszające naturalny przyrost.

II Sobór Watykański określił stosunek Kościoła wobec problemów populacyjnych. Kościół z zasady nie sprzeciwia się regulacji poczęć, żąda jedynie, aby wszystkie problemy biologiczne, ekonomiczne i polityczne uwzględniały aspekt moralny sprawy. Tam, gdzie istnieją prawdziwe i poważne powody, małżonkowie mają moralne prawo ograniczać liczbę dzieci, byleby sam sposób regulacji poczęć nie kolidował z prawem naturalnym. Kościół nie aprobuje żywiołowej, niczym nie ograniczonej rozrodczości nie liczącej się z realnymi szansami wychowania, ale również nie aprobuje ograniczenia liczby potomstwa, jeżeli ograniczenie to jest wynikiem egoizmu i wygodnictwa rodziców.

Konstytucja soborowa *Gaudium et spes* głosi, że dzieci są najcenniejszym darem małżeństwa; są darem, który małżeństwo otrzymuje, i są darem, który daje z siebie; są czynnikiem obdarowującej miłości, która sprawia, że małżeństwo się rozwija. Nic też dziwnego, że mówiąc o problemach populacyjnych, Kościół odwołuje się do odpowiedzialnego rodzicielstwa, które oznacza, że „małżonkowie w pełni uznają swoje obowiązki wobec Boga, wobec samych siebie, rodziny i społeczeństwa, przy zachowaniu słusznej hierarchii wartości”.

W każdym konkretnym wypadku ilość dzieci zależy od osobistej decyzji rodziców podjętej w poczuciu odpowiedzialności wobec Boga. Decyzja ta zależy od postawy moralnej małżonków, a więc hierarchii wartości przyjętej w życiu oraz dynamizmu duchowego. Człowiek, który się duchowo rozwija, w którym rośnie i dojrzewa zdolność kochania, nie może nie rodzić w szerokim tego słowa znaczeniu. Miłość jest bowiem zawsze wychyleniem się ku innemu. Największą zaś wartością jest sam człowiek. Inaczej będzie wyglądać postawa wobec rodzenia dzieci, jeśli zajęcie się nimi z góry traktuje się jako trud i udrękę, a inaczej, jeśli zajęcie się dziećmi dostarcza dużo radości i stanowi pasję. Niemniej małżonkowie muszą zawsze pamiętać o tym, że przekazywanie życia stanowi zadanie zlecone im przez Boga i za realizację tego zadania ponoszą odpowiedzialność przed Bogiem, przed dziećmi już urodzonymi i przed społecznością, do której należą.

Niepokojącym zjawiskiem jest zanikanie wielodzietności we współczesnej rodzinie. Dawniej większa liczba dzieci była powodem dumy rodziców, podnosiła pozycję społeczną rodziny, dzisiaj natomiast większa liczba dzieci przeżywana jest jako zagrożenie. Wraz ze wzrostem postawy konsumpcyjnej utrwała się w społeczeństwie pogląd, że dziecko jest ogromnym obciążeniem. Powstaje opinia społeczna nieprzychylna rodzinom wielodzietnym. Wydaje się, że właśnie te trzy racje: ekonomiczna, wzrost postawy konsumpcyjnej i nacisk opinii publicznej, tłumaczą w dużym stopniu gwałtowny spadek dzietności we współczesnych rodzinach.

Utrwalenie się modelu rodziny z jednym dzieckiem jest zjawiskiem niekorzystnym z punktu widzenia dobra ogólnonarodowego i dobra samych dzieci. Gdy w społeczeństwie większość rodzin posiada jedno dziecko, pojawiają się dość szybko ujemne zjawiska natury ekonomicznej, społecznej i psychologicznej. Tego rodzaju społeczeństwo powoli starzeje się i wymiera.

Każdy naród dba o pewien wzrost swego ludnościowego stanu posiadania. Wtedy bowiem tzw. „piramida wieku ludności” posiada właściwy kształt. Chodzi bowiem o to, że przy właściwej, zdrowej i normalnej sytuacji ludnościowej liczebność każdego nowego pokolenia powinna być o pewien odsetek większa aniżeli liczebność pokolenia poprzedniego. Optymistyczna wizja społeczeństwa

czeństwa wiąże się z rozszerzoną reprodukcją ludności. Reprodukcję taką może zapewnić społeczeństwu średnia liczba trojga dzieci w rodzinie. Model ten zakłada także istnienie rodziny z czworgiem, pięciorgiem dzieci. Liczniejsze rodziny wyrównują niedobór demograficzny spowodowany przez pary bezdzietne i rodziny z jednym dzieckiem.

W interesie społecznym władze publiczne w granicach swych kompetencji mogą interweniować w sprawach populacyjnych, udzielając obywatelom odpowiednich pouczeń i podejmując stosowne decyzje. Niemniej każda tego rodzaju interwencja musi uwzględniać nakazy prawa moralnego i szanować w całej pełni uprawnioną wolność małżonków. Skoro bowiem niezaprzeczalne prawo do małżeństwa i do prokreacji zostanie odjęte, nie ma już mowy o poszanowaniu godności ludzkiej.

Jedynactwo jest również zjawiskiem niepożądanym ze względu na dobro i szczęście dziecka. Mówi się o jedynakach, że są aspołeczni, mniej przystosowani do życia w szerszym świecie. Empiryczne badania psychologiczne potwierdzają opinię, że jedynacy w porównaniu z dziećmi z rodzin wielodzietnych odznaczają się bardzo często mniej korzystnym układem cech osobowości. Duży procent jedynaków posiada cechy dzieci trudnych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zanik wielodzietności we współczesnych rodzinach jest wyrazem zubożonego pojmowania rodzicielstwa. Zubożenie to nie tylko spowodowane jest sytuacją historyczno-społeczno-ekonomiczną, ale również przyczynami tkwiącymi w samym człowieku, które z kolei są wyrazem niedorozwoju osobowego. Na te przyczyny również należy zwrócić uwagę.

1. Swoista struktura instynktu zachowania gatunku. Instynkt człowieka składa się z trzech podstawowych elementów: a) ciążenie płci ku sobie, b) pragnienie zespolenia płciowego, c) instynkt rodzicielski. Doprowadzenie do integracji tych trzech elementów jest zadaniem wymagającym wielkiego wysiłku. Szczególnie w młodości potrzeby doznań erotycznych są bardziej odczuwalne, podczas gdy potrzeba posiadania dziecka schodzi na dalszy plan.

2. Specyfika ludzkiego dojrzewania popędowego. W rozwoju człowieka najpierw pojawiają się potrzeby erotyczne, potem prag-

nienie dziecka. W pewnych warunkach pragnienie to nie pojawia się wcale. Ma to miejsce wówczas, kiedy życie seksualne zostało rozpoczęte w fazie niedojrzałej i w tej fazie zostało utrwalone. Towarzyszył mu lęk przed dzieckiem. Dlatego też jest bardzo niebezpiecznie podejmować życie seksualne przed pragnieniem macierzyństwa i ojcostwa.

3. Przyspieszenie rozwoju biologicznego. Wielu przeżywa miłość wraz z jej seksualnym wyrazem przed uzyskaniem dojrzałości. Niedojrzała miłość od początku jest zagrożona w swoim trwaniu. Postawa człowieka niedojrzałego, to postawa biorcy. Nic też dziwnego, że zajmując taką postawę w życiu trudno tęsknić za dzieckiem, które wymaga wielu poświęceń.

Nieprawdą jest, że Kościół z zasady sprzeciwia się regulacji poczęć, natomiast prawdą jest, że potępia sztuczną kontrolę urodzin. A więc: przerywanie ciąży, środki antykoncepcyjne, stosunki przerywane, trwała lub czasowa sterylizacja, pigułki wstrzymujące owulację u kobiety są niezgodne z moralnością katolicką, jako że naruszają prawo natury. Na gruncie moralności katolickiej dopuszczalne jest stosowanie naturalnych metod regulacji poczęć: kalendarzykowej, objawowej i termicznej, ponieważ metody te opierają się na prawie natury. Stosując naturalne metody regulacji poczęć człowiek tylko poznaje prawa działania swego organizmu i tym prawom się podporządkowuje, podczas gdy stosowanie metod sztucznej regulacji urodzin zakłóca działanie zdrowego organizmu. Aby móc kierować płodnością w sposób etyczny, trzeba zdobyć wiedzę o działaniu swego organizmu oraz nauczyć się opanowywania popędu seksualnego.

Kościół, formułując chrześcijańskie zasady regulacji poczęć, opiera się na twierdzeniu, że małżonkowie z racji przekazywania życia ludzkiego nazwani są „współpracownikami Boga”. Człowiek, jeżeli chce być człowiekiem, musi działać zgodnie z prawami ludzkiej natury, a jeżeli uznaje się za człowieka religijnego, musi uznać w praktyce swoją zależność od Stwórcy.

Jednym z charakterystycznych fenomenów naszego czasu jest wzrost kontaktów przedmażeńskich, które w wielu środowiskach uważa się za rzecz „normalną”. Młodzież współczesna nie widzi motywów, które uzasadniałyby sens czystości przedślubnej. Upowszechnia się przekonanie, że przed zawarciem małżeństwa należy poznać się na wszystkich płaszczyznach życia. I tu stajemy wobec zasadniczego pytania: wstrzemięźliwość czy wolność w kontaktach przedślubnych?

Kościół stawia zasadę, że tylko małżeństwo daje prawo do współżycia seksualnego. Na gruncie moralności katolickiej uważa się, że dziewictwo jest najcenniejszym darem, jaki mogą wzajemnie złożyć sobie po ślubie mężczyzna i kobieta. Całkowicie akceptuję tę opinię. Nie rozumiem tylko, dlaczego dar ten miałby ulec dewaluacji, jeżeli złożony jest przed ślubem?

Andrzej, l. 22

Wiedziałam, że nie jest chłopcem dla mnie, ponieważ w jego życiu było już wiele dziewcząt i od wszystkich żądał tego samego. Mimo to chodziłam z nim na spacer, do kina, na spotkania z przyjaciółmi. Któregoś dnia powiedziałam mu prawdę w oczy: podobasz mi się, ale nie mam zaufania do ciebie. Swoje dziewictwo postanowiłam oddać jedynie temu mężczyźnie, który mnie poślubi.

Kilka dni po tej rozmowie wyznał mi swoją miłość. Powiedział, że jest zdecydowany czekać do ślubu. Czy mogę mu zaufać?

Agnieszka, l. 21

Znamy się od dłuższego czasu. Postanowiliśmy zachować całkowicie wstrzemięźliwość przedmażeńską. Szanuję mego chłopca za to, że nigdy nie zażądał ode mnie „dowodu” miłości.

W ostatnim czasie wszystko uległo gwałtownej zmianie. Powiedział mi, że myślimy o małżeństwie i dlatego musimy się poznać całkowicie....

Odrzuciłam propozycję. Uważam po prostu, że wybór, którego świadomie dokonałam, nadal mnie obowiązuje. Jest mi jednak niezmiernie przykro, że w pewnym momencie sami sobie stwarzamy trudności, których nie jesteśmy w stanie przezwyciężyć. Dlaczego to wszystko? Dlaczego jesteśmy tak „małymi” ludźmi? Dlaczego nie jesteśmy w stanie zrealizować określonych wartości? Zawsze byłam pewna, że właśnie my...

Iwona, l. 24

Należy zaznaczyć, że istnieje zasadnicza różnica między współzyciem przedmażeńskim w najszerszym tego słowa znaczeniu, a współzyciem przedślubnym. W pierwszym wypadku chodzi o jakikolwiek kontakt seksualny przed zawarciem małżeństwa, który nie pociąga za sobą żadnych zobowiązań odnośnie wspólnego życia, w drugim natomiast wypadku mężczyzna i kobieta mają w perspektywie małżeństwo, które pociąga za sobą wszystkie konsekwencje religijne i społeczne. Małżeństwo jest zasadniczo aktem prawnym, który zobowiązuje mężczyznę i kobietę do wspólnego życia, nakłada na nich pewne obowiązki i daje określone prawa. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że u podstaw każdego małżeństwa powinna znajdować się miłość, której istotę stanowi pragnienie uszczęśliwienia drugiego człowieka.

Trudno nie zauważyć, że celem przedmażeńskich kontaktów seksualnych w najszerszym tego słowa znaczeniu jest zawsze poszukiwanie przyjemności seksualnej. Trudno mówić o miłości, jeżeli zmienia się partnerów jak rękawiczki, jeżeli nie chce się zaciągać zobowiązań wobec innych, jeżeli człowieka traktuje się jako „rzecz”, która dostarcza przyjemności. W tym kontekście akt seksualny jest wyrazem własnego egoizmu, dowodem niedojrzałości osobowej, brakiem wrażliwości na transcendentną godność człowieka. Nic też dziwnego, że ocena moralna seksualnych kontaktów przedmażeńskich jest zdecydowanie negatywna. W rzeczywistości ludzkiej seks musi być podporządkowany miłości, która łączy mężczyznę i kobietę na płaszczyźnie duchowej.

Człowiek, jako istota wolna i odpowiedzialna za swoje działanie powinien świadomie realizować możliwości seksualne, które determinowane są przynależnością do określonej płci. Akt sek-

sualny ma być wyrazem głębokiej jedności między mężczyzną i kobietą, znakiem intymnego kontaktu, „ucieleśnieniem” miłości, która pragnie wyrazić się w „języku ciała”. Z tego też względu decyzja o podjęciu współżycia seksualnego wymaga dojrzałej motywacji oraz spełnienia szeregu podstawowych warunków. Należy liczyć się z dojrzałością fizyczną, psychiczną i osobową. Wszyscy są zgodni w tym, że z chwilą zawarcia małżeństwa dwie osoby ludzkie udzielają sobie wzajemnie prawa do własnego ciała.

Akt seksualny ma być wyrazem miłości, znakiem jedności i intymną komunikacją między „ja” i „ty”. Miłość wymaga zobowiązania się na rzecz drugiego, poczucia odpowiedzialności za partnera, zdolności do całkowitego oddania się na wszystkich płaszczyznach życia. Nie ma pełnej wspólnoty międzyosobowej bez stabilności związku. Ponadto autentyczna miłość mężczyzny i kobiety z natury swej otwarta jest na dziecko, które ucieleśnia ich miłość na zawsze. Trudno mówić o jedności przed zawarciem małżeństwa. Nic też dziwnego, że przed zawarciem związku małżeńskiego akt seksualny traci swoje istotne znaczenie: nie jest wyrazem głębokiej wspólnoty międzyosobowej. Jedynie małżeństwo, które jest zobowiązaniem się na rzecz ukochanej osoby, nadaje właściwe znaczenie kontaktom seksualnym.

Każdy akt seksualny może być wykorzystany „za” lub „przeciw” człowiekowi. Zależy to przede wszystkim od intencji konkretnej osoby ludzkiej, motywów działania, wewnętrznej dojrzałości. Na płaszczyźnie biologicznej trudno uzasadnić, że jedynie małżeństwo daje prawo do współżycia seksualnego. Należy jednak pamiętać o tym, że człowiek nie może być sprowadzony bez reszty do kategorii biologicznych. Godność osoby ludzkiej domaga się, aby każdy akt seksualny był wyrazem autentycznej miłości między mężczyzną i kobietą, znakiem głębokiej jedności i komunikacją najintymniejszych uczuć między „ja” i „ty”.

Akt seksualny, który w ludzkiej rzeczywistości ma być wyrazem głębokiego zjednoczenia duchowego między mężczyzną i kobietą, traci swój personalistyczny charakter, jeżeli współżycie seksualne podejmuje się poza małżeństwem. Jedynie małżeństwo, które jest wspólnotą osobową opartą na miłości, daje mężczyźnie i kobiecie prawo do współżycia seksualnego. Należy jednak zaznaczyć, że w Kościele katolickim małżeństwo zostało podniesio-

ne do godności sakramentu. Oznacza to, że chrześcijanie mogą podjąć współżycie seksualne dopiero po zawarciu sakramentalnego związku małżeńskiego. Etyka katolicka negatywnie ocenia przedślubne kontakty seksualne.

Prawdą jest, że zasada ta ma znaczenie jedynie dla tych, którzy pragną podporządkować wartość seksu prawdziwej miłości i starają się żyć według ducha Ewangelii. Płciowość jest wezwaniem do spotkania. Mężczyzna znajduje dopełnienie w kobiecie i odwrotnie: kobieta w mężczyźnie. Zasadnicze spotkanie między „ja” i „ty” dokonuje się na płaszczyźnie duchowej w miłości, czego wyrazem jest akt seksualny. Miłość musi wyprzedzać współżycie seksualne. Chrześcijanie uważają, że miłość między mężczyzną i kobietą powinna być ślubowana sobie wzajemnie w obliczu Chrystusa, z którym jesteśmy w szczególniejszy sposób związani poprzez Sakrament Chrztu św. Nic też dziwnego, że decydującym argumentem za czystością przedślubną jest uczciwość chrześcijańska, pragnienie dopełnienia miary człowieczeństwa na wzór Chrystusa, zdecydowana wola realizacji miłości „mocniejszej niż śmierć i sięgającej poza grób”.

Przyznasz mi zapewne rację, iż wzajemne ślubowanie sobie miłości w obliczu Boga jest sprawdzeniem jej autentyczności. Zostaliśmy stworzeni z miłości i do miłości. Miłość jest nie tylko największą wartością w życiu ludzkim, ale także najcenniejszym darem Bożym. Nie bylibyśmy zdolni do miłości, gdybyśmy wcześniej nie zostali ukochani przez Boga. Narzeczeństwo jest okresem próby. W okresie tym następuje powolne otwarcie się „ja” na „ty”, rozpoczyna się proces dojrzewania w miłości, kładzie się fundament pod przyszłą wspólnotę. Miłość to nie tylko branie od innych, ale przede wszystkim zdolność poświęcenia się dla innych, rezygnacja z własnych potrzeb, danie coś z siebie. W tym kontekście każde powstrzymanie się od aktu seksualnego w okresie narzeczeństwa jest właśnie „dowodem miłości”, sprawdzianem siły duchowej, znakiem dojrzałości wewnętrznej.

Mężczyzna i kobieta, zanim podejmą współżycie seksualne, pragną wyznać sobie wzajemnie miłość w obliczu Boga. Wstrzeźliwość przedślubna ma być dowodem, że dorośli do realizacji autentycznej miłości, że sprawdzili się w okresie próby, że godni są zaufania. Oznacza to także, że kształcą swoją miłość na wzór

miłości, jaką Chrystus ukochał Kościół. Naprzeciw tym zamiarom i pragnieniom wychodzi Chrystus ze swoją Łaską, która umacnia słabe siły człowieka. Miłość ta, stanowiąca podstawę Sakramentu Małżeństwa, daje prawo do współżycia seksualnego.

Jeszcze jeden moment: człowiek z natury swej wezwany jest do otwarcia się na innych w miłości. Miłość jest wezwaniem, na które trzeba odpowiedzieć. Płciowość ma także wymiar społeczny: bezinteresowna służba wobec życia. Istnienie rodzaju ludzkiego uzależnione jest od współpracy człowieka z Bogiem w dziele przekazywania życia. Naznaczenie płcią stawia przed człowiekiem pewne określone zadania do realizacji, określoną misję do spełnienia, zobowiązanie do zaangażowania się. Zawarcie Sakramentu Małżeństwa jest odpowiedzią na wezwanie Boże, podjęciem misji, zobowiązaniem się na rzecz rodzaju ludzkiego. W tym kontekście płciowość ludzka osiąga swoje właściwe znaczenie: otwiera człowieka na „ty”, na społeczeństwo i na Boga.

Zwróć uwagę na fakt, że zasada wstrzemięźliwości przedślubnej wyprowadzona jest z chrześcijańskiego pojęcia miłości. Zastosowanie jej w życiu wymaga od konkretnego człowieka dojrzałości duchowej, poczucia odpowiedzialności za innych i poszanowania ludzkiego dostojeństwa partnera. Problem wstrzemięźliwości przedmałżeńskiej to nie problem ograniczeń i zakazów, lecz problem dojrzewania do miłości, która jest silniejsza niż śmierć i sięga poza grób.

Zasadniczym rysem miłości mężczyzny i kobiety w pojęciu chrześcijańskim jest odniesienie jej do Chrystusa. Chrześcijanin na mocy Sakramentu Chrztu św. wezwany jest do świętości, do życia w przyjaźni z Bogiem, do zbawienia. Małżeństwo, które jest wspólnotą duchową opartą na miłości, umożliwia człowiekowi nie tylko realizację samego siebie w „ty”, ale zobowiązuje mężczyznę i kobietę do wzajemnego pomagania sobie w dopełnianiu miary człowieczeństwa na wzór Chrystusa. W małżeństwie „ja” i „ty” wspólnie odpowiadają na wezwanie Boże. Człowiek, jako że jest „duchem wcielonym” wyraża swoją wewnętrzną tajemnicę poprzez ciało, które umożliwia nam realizację świętości. Możemy istnieć jedynie w ciele i poprzez ciało. Autentyczna miłość między mężczyzną i kobietą wymaga, aby wzajemnie szanowali swoje ciało, które jest „świątynią Ducha Św.”.

Człowiek musi zrealizować samego siebie w wolności, w miłości i w prawdzie. Przed każdym z nas stoi otworem wiele możliwości. Chrześcijanie rozwiązują tajemnicę człowieka w tajemnicy Boga. W tej perspektywie nasze życie zyskuje nowy wymiar: możliwość zjednoczenia z Bogiem przez miłość. Zbawienie jest zawsze dziełem Łaski, która nie niweczy natury, lecz na niej buduje. Każdy akt seksualny między mężczyzną i kobietą, który „ucieleśnia” miłość, musi być aktem w pełni odpowiedzialnym, ludzkim i uwzględniającym transcendentną godność osoby ludzkiej.

63. DZIEWICTWO

W ostatnich czasach konsekwentnie pomniejsza się wartość dziewictwa, które uważa się za wyraz „staroświecki”. Coraz częściej młodzi chłopcy i dziewczęta wstydzą przyznać się do tego, że nie posiadają jeszcze żadnych doświadczeń erotycznych. Młodzież, która na siłę chce być „nowoczesna”, podejmuje współzycie seksualne bez znajomości elementarnych praw, które rządzą psychiką człowieka: byle jak, byle z kim, byle już. Nie ulega wątpliwości, że taki styl myślenia zatrzymuje konkretnego człowieka w jego rozwoju osobowym.

Mam 18 lat. Wiem, że dziewczęta w moim wieku posiadają już doświadczenia seksualne. Kiedy rozmawiałam na ten temat z moimi koleżankami, czułam się zawsze „pomniejszona”. To było głównym powodem, że któregoś wieczoru zaproponowałam memu chłopcu, aby... Odpowiedział mi: jestem gotów. Pamiętaj jednak, że to nie jest pewne, czy na zawsze pozostaniemy razem? A jeżeli drugi chłopiec zażąda od ciebie dziewictwa? Co mu powiesz?

Iwona, l. 18

W środowisku, gdzie się wychowałam, uważano mężczyznę za osobę uprzywilejowaną w porównaniu z kobietą. Od najmłodszych lat „wmawiano” mi, że mężczyzna jest silny, wolny, może

robić to, co chce. Powinien także „poznać” wiele kobiet przed ślubem, aby ukształtował swój charakter, wyrobić sobie właściwe pojęcie o żonie, przygotować się do życia. Nie zmienia to w niczym faktu, że od kandydatki na żonę wymaga dziewictwa, które staje się dla niego sprawą honoru.

Nie przypuszczałam nigdy, że stanę wobec takiego problemu w życiu. A jednak... Zakochał się we mnie chłopiec, który ma bujną przeszłość poza sobą. Uwielbia mnie wprost, ale ja nie jestem w stanie odpowiedzieć mu tym samym. On jest mężczyzną uprzywilejowanym w moim życiu, oddaję mu „wszystko” w imię miłości, ja natomiast jestem dla niego „którąś” z kolei... Być może mam stare poglądy na te sprawy, ale postawiłam zasadę: dziewictwo za dziewictwo. Czy za dużo wymagam od życia?

Katarzyna, l. 21

Studiuję psychologię. W pełni akceptuję chrześcijańskie zasady moralne. Od najwcześniejszych lat uczono mnie w rodzinnym szacunku wobec dziewcząt. Najprawdopodobniej ta formacja moralna decyduje o tym, że ile razy przekonuję się, iż moja „dama” serca straciła już dziewictwo, natychmiast pozostawiam ją własnemu przeznaczeniu. Niekiedy wiele mnie to kosztuje. Dlaczego niektórzy chłopcy wyrządzają krzywdę nie do naprawienia?

Krzysztof, l. 23

Zazwyczaj problem dziewictwa sprowadza się do cechy anatomiczno-fizjologicznej. Jest to jednak wielkie nieporozumienie. Dziewictwo, jako wielka próba wartości człowieka, posiada wymiar moralny. Oznacza ona pewną postawę wobec sfery seksualnej w człowieku. Postawa ta wyraża pragnienie oddania się ukochanej osobie w ramach życia małżeńskiego. W imię wielkiej miłości człowiek nie chce „rozmieniać” się na drobne. Oczywiście, że w jednakowym stopniu dotyczy to tak mężczyzn, jak i kobiet.

W poszczególnych kulturach dziewictwo było różnie traktowane. W tradycyjnych patriarchalnych formacjach stanowiło ono niezbędny warunek do zawarcia małżeństwa, natomiast w kulturach afrykańskich uważane było za coś, co przeszkadza.

Faktem jest, że postawa wobec dziewictwa zależy od obyczaj-

jowości erotycznej i typu danej kultury, ale trudno nie zauważyć, że ma ono również głębokie powiązanie z osobowością i może wyrażać różne postawy wobec własnego „ja”. Można zatem wyszczególnić różne typy dziewictwa:

1. dziewictwo narcystyczne, które wyraża poczucie wyższości własnej płci i wysokiej samooceny własnej. Wobec innych, którzy prowadzą życie seksualne, odczuwa się pogardę i lekceważenie;

2. dziewictwo jako kompleks, kiedy swoją wartość widzi się poprzez doświadczenia życia seksualnego;

3. dziewictwo jako forma podbijania swej wartości, kiedy prowadząc życie erotyczne zachowuje się „dziewictwo” z wyrachowania dla przyszłego małżonka, gdyby przywiązywał wagę do tego faktu;

4. dziewictwo jako efekt lęku, kiedy człowiek z różnych powodów obawia się podjęcia życia seksualnego;

5. dziewictwo widziane jako wartość, dobro, dar dla ukochanej osoby.

Na płaszczyźnie fizjologicznej dziewictwo oznacza integralność cielesną, która zasadniczo kończy się z chwilą podjęcia współżycia seksualnego. Trzeba jednak zaznaczyć, że pierwszy kontakt seksualny pozostawia niezatarty „śląd” na ciele kobiety, natomiast mężczyzna nie podlega tego rodzaju uwarunkowaniom. Znaczy to, że na płaszczyźnie fizjologicznej kobieta nie może „ukryć” swojej przeszłości przed mężczyzną, gdyż w każdym wypadku zostanie „rozpoznana”, mężczyzna natomiast nie może być „sprawdzony” przez kobietę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kobiety znajdują się w „trudniejszej” sytuacji, o czym powinni zawsze pamiętać panowie. Fizjologiczne uwarunkowanie kobiety wymaga wzmożonego poczucia odpowiedzialności ze strony mężczyzny.

Trzeba przyznać, że w przeszłości zasadniczo podkreślano wymiar fizjologiczny w dziewictwie, które stało się przede wszystkim problemem kobiety. Utożsamienie dziewictwa z nienaruszalnością cielesną leży u podstaw wielu mitów na ten temat, „pobożnych” zabobonów i przesądów. Prymitywne potraktowanie problemu dziewictwa działa zawsze na korzyść mężczyzny. Powiedzmy sobie szczerze: wśród mężczyzn, którzy wymagają dzie-

wictwa od kandydatki na żonę, niewielu jest takich, którzy są w stanie „odpłacić” tym samym. Trudno mówić w takich wypadkach o zwykłej ludzkiej uczciwości, ponieważ dziewictwo nie jest wyłącznie problemem kobiety.

Ze względu na cielesno-duchową naturę człowieka, o wiele ważniejszy jest wymiar psychiczny i moralny w dziewictwie. W tym aspekcie dziewictwo oznacza pewną niezależność wobec potrzeb seksualnych, zdolność podporządkowania sobie instynktu i zajęcia właściwego dystansu wobec własnego ciała. Człowiek, który świadomie kontroluje swoje życie popędowe, wolny jest od wszystkich urazów, jakie przynosi ze sobą przedwczesne, niedojrzałe i prymitywne życie seksualne.

Przyznasz mi zapewne rację, że dziewictwo jest sposobem wyrażania się osoby ludzkiej. Nie ogranicza się ono wyłącznie do nienaruszalności cielesnej. Wszystkie trzy wymiary: fizjologiczny, psychologiczny i moralny muszą wzajemnie się uzupełniać. Należy jednak zwrócić uwagę na fakt, że decydujące znaczenie ma wymiar moralny. Na płaszczyźnie biologicznej nie można mówić o cnocie czy też grzechu. Problemy moralne znajdują swoje rozwiązanie jedynie na płaszczyźnie duchowej. Trudno uważać dziewczynę za dziewicę, jeżeli pozwala sobie na „wszystko”, ale jest na tyle „przezorna”, że zabezpiecza się przed naruszeniem integralności cielesnej. Z drugiej strony trudno pomniejszać wartość dziewczyny, która traci integralność cielesną w wyniku gwałtu, niezawinionych urazów fizycznych czy też koniecznych zabiegów chirurgicznych. Dziewictwo, które nie wyraża pragnienia wyłącznego oddania się dla wybranej osoby i nie jest wyrazem ludzkiej godności — nie przedstawia żadnej wartości i nic nie znaczy. Dlatego nie dziw się, że wartość dziewictwa potrafią docenić jedynie te osoby, które szanują samych siebie i są w stanie zachwycić się drugim człowiekiem.

W kontakcie międzyosobowym, gdzie „ja” i „ty” spotykają się w miłości, dziewictwo jest wyrazem wyłącznego oddania się. Miłość, która łączy mężczyznę i kobietę wymaga, aby wzajemne oddanie się było totalne, wyłączne i jedyne w swoim rodzaju: z „ciałem” i „duszą”. Dziewictwo jest wyrazem całkowitego daru, jaki składa się ukochanej osobie z samego siebie. Nienaruszalność cielesna jest dowodem, wyrazem i znakiem, że tylko „ty” możesz

wejść do najgłębszych tajników mego jestestwa, że tylko „ty” zostaniesz obdarzony przeze mnie miłością, że tylko „ty” możesz mnie uzupełnić.

Zauważ, że dziewictwo ma jedynie wówczas sens, kiedy służy miłości, kiedy wyraża pragnienie oddania się ukochanej osobie w ramach związku małżeńskiego, kiedy akceptowane jest jako wartość, która umożliwia realizację samego siebie. Ze względu na godność osoby ludzkiej dziewictwo staje się autentyczną wartością, znakiem wewnętrznej dojrzałości, darem, który składają sobie wzajemnie mężczyzna i kobieta w imię autentycznej miłości. W kontaktach międzyosobowych, gdzie „ja” i „ty” spotykają się w najgłębszej intymności, nie można oddzielać „ciała” od „duży”. W tym sensie dziewictwo pozostanie na zawsze moralną próbą człowieka, wyrazem panowania „ducha” nad „ciałem”, sposobem wyrażania się konkretnej osoby ludzkiej.

Dziewictwo, które jest wyrazem wyłącznego oddania się dla ukochanej osoby, stało się specyficznym „znakiem” w spotkaniu człowieka z Bogiem. Znak ten wyraża nowy sposób życia w miłości od chwili, kiedy Chrystus zrealizował miłość w wymiarze dziewiczym. W sensie religijnym dziewictwo staje się wartością wówczas, kiedy człowiek wybiera je jako styl życia ze względu na Chrystusa. Religijną wartość dziewictwa można zrozumieć jedynie w świetle Objawienia. Ze strony Boga jest ono wezwaniem, ze strony człowieka — wyborem, ze strony Kościoła — charyzmatem dla dobra Mistycznego Ciała Chrystusa. Dlatego niektórzy chrześcijanie składają ślub dziewictwa.

W Starym Testamencie uważano dziewictwo za pewnego rodzaju kontr-wartość. Celibat niektórych proroków miał wartość symboliczną w sensie negatywnym: Izrael, który odrzuca Boga, jest tak biedny jak dziewica, która nie ma potomstwa. Chrystus, który zrealizował miłość w wymiarze dziewiczym, objawił nową rzeczywistość i wskazał nowy styl życia w miłości — dziewictwo. Aby zrozumieć dziewictwo w sensie chrześcijańskim, potrzeba specjalnej łaski, nadprzyrodzonego oświecenia, szczególniejszej pomocy Ducha św. Chrześcijanie uważają, że dziewictwo, tak samo jak małżeństwo, jest szczególnym powołaniem Bożym. Powołanie to dotyczy tych, do których zostało skierowane przez Boga.

Nowy Testament objawia dwa aspekty miłości: małżeństwo

i dziewictwo, które w jednakowym stopniu uczestniczą w tajemnicy Chrystusa. Między tymi dwiema możliwościami istnieje ścisła współzależność. Nie można oddzielić małżeństwa od dziewictwa i dziewictwa od małżeństwa. Te dwa stany wzajemnie się uzupełniają w Kościele i obydwaj realizują tajemnicę Chrystusa, która jest jedna: miłość Boga ku człowiekowi.

Zauważ, że dziewictwo w sensie moralnym jest raczej możliwością do zrealizowania. Możliwość ta może być w różny sposób realizowana przez konkretnego człowieka. Jedno nie podlega dyskusji: dziewictwo musi służyć miłości, gdyż w przeciwnym wypadku traci wszelki sens. Łączą się z tym takie problemy jak autokontrola, poczucie własnej godności, Łaska. Tabu społeczne dotyczące dziewictwa w sensie fizycznym doprowadziło do tego, że współczesne dziewczyny próbują ocalić swoją integralność fizyczną w tym celu, aby potem nie miały trudności w małżeństwie, ale akceptują inne formy aktywności seksualnej, np. petting. Jest to brak zrozumienia problemu.

44. CELIBAT

Celibat jest problemem ciągle aktualnym. Podejmują go publicyści, lekarze, teolodzy. Wielu ludzi zadaje sobie pytanie: dlaczego Kościół wymaga takiego wyrzeczenia się od swoich ministrów?

Trzeba szczerze powiedzieć, że motywacja minionych wieków nie zawsze trafia do przekonania współczesnego człowieka, który ma swoje kontrargumenty. Czyżby wartość celibatu uległa dewaluacji?

Księża wypowiadają wiele pięknych słów na temat miłości, małżeństwa i rodziny. Całkiem słusznie domagają się poszanowania reguł moralnych w pożyciu małżeńskim. W końcu jesteśmy nie tylko ludźmi, ale chrześcijanami. Niemniej, kiedy słucham tych wzniosłych nauk na temat małżeństwa, zadaję sobie pytanie: ilu księży byłoby w stanie zrealizować katolicką naukę odnośnie małżeństwa, gdyby sami mieli żonę i dzieci? Obawiam się, że...

Małgorzata, l. 14

Nie widzę żadnej przeszkody w tym, aby księża mogli się żenić. Uważam jednak, że to nie jest problem, który my powinniśmy rozwiązać. Jeżeli Kościół wymaga celibatu od kapłanów, to znaczy, że ma jakieś racje ku temu.

W przeszłości znałam jednego młodego księdza. Od dzieciństwa mieszkaliśmy obok siebie jako sąsiedzi. W pewnym momencie przyszedł kryzys. Zobaczył we mnie kogoś więcej niż koleżankę. Udało mi się jednak zachować zdrowy rozsądek...

Po kilku latach spotkaliśmy się na pogrzebie mojej siostry. Był bardzo zrównoważony, pogodny i zadowolony. Odniosłam wrażenie, że kryzys został przezwyciężony. Od dłuższego czasu modliłam się o to...

Nauczycielka, l. 31

Uważam, że kapłan nie powinien się żenić. My chcemy widzieć w nim serdecznego przyjaciela, ale musi być „różny” od nas. Mimo wszystko wydaje mi się, że kapłan jest „ponad” nami, jest pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem, oddał się na wyłączną służbę Kościołowi. Niech takim pozostanie!

Profesorka filozofii, l. 35

Aktualnie duchowni w Kościele rzymsko-katolickim zobowiązani są do celibatu. Celibat polega na tym, że duchowni nie mogą zawrzeć związku małżeńskiego ani mężczyźni żonaci nie mogą przyjąć święceń kapłańskich.

Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że celibat to sprawa karności kościelnej, a nie problem doktrynalny. Kościół go wprowadził i Kościół może go znieść. Wybór Apostołów dokonany przez Chrystusa wcale nie był uzależniony od ich celibatu. W pierwszych wiekach żonaci otrzymywali święcenia kapłańskie z tym, że usuwani byli od święceń ci, którzy po raz drugi się żenili. Pierwsi chrześcijanie stawiali na miłość, która jest mocniejsza niż śmierć i sięgająca poza grób. Małżeństwo jest sakramentem, tak jak i kapłaństwo, celibat natomiast nie jest sakramentem. Kapłan jest wszczępiony w Chrystusa na mocy Sakramentu Chrztu św., a nie na

mocy celibatu, jego władza natomiast płynie ze święceń. Chrystus na temat celibatu nigdy się nie wypowiadał i nie ma żadnych danych w Piśmie św., że celibat musi obowiązywać do końca świata. Wydaje mi się, że z tego właśnie powodu, iż Pismo św. nigdzie nic nie mówi na temat celibatu, poszukuje się różnych motywacji dla przepisu prawa kościelnego. Nie zawsze były to motywacje przekonywujące.

Na celibat można patrzeć pod różnym kątem. Znane są wypadki, że ktoś przyjmuje celibat jako styl życia, aby zyskać korzystną okoliczność w pracy, w zaangażowaniu, w służbie dla innych. Z tego wynika, że życie małżeńskie nie jest jedyną możliwością dla człowieka. Osoba dojrzała może zrzec się tego życia i wcale nie będzie czuła się pomniejszona. Znamy problem sublimacji popędu seksualnego. Dzisiaj słyszy się nieraz błędne opinie, że poza życiem małżeńskim człowiek nie może zrealizować w pełni samego siebie.

Celibat jest wyborem, a nie tłumieniem witalnych sił, represją czy też ucieczką od własnej płciowości. Zakładam, że tego wyboru dokonuje osoba dojrzała, świadoma swoich czynów i która już wcześniej zaakceptowała swoją rzeczywistość płciową. W życiu musimy bardzo często rezygnować z jednych wartości, aby móc osiągnąć drugie. Zdolność wyboru jest wyrazem dojrzałości osobowej.

Różne przyczyny wpłynęły na to, że Kościół podjął decyzję, aby celibat był jednym ze znaków rozpoznawczych kapłanów katolickich. Wydaje się, że gdyby decyzja ta nie była podjęta pod natchnieniem Ducha Św., celibat nie wytrzymałby próby czasu. Chrześcijanie są przekonani, że Chrystus jest rzeczywistością ciągle aktualną i dzień po dniu pisze historię bosko-ludzką swoimi wspaniałymi zwycięstwami. Być może to jest jedno z Jego zwycięstw?

Każda społeczność ma prawo stawiać pewne warunki tym, którzy podejmują się specjalnego zadania dla dobra ogółu. Kościół ma także prawo poddać ogniowej próbie miłości tych, których zawodem ma być miłość. Wydaje mi się, że celibat jest zapłaceniem najwyższej ceny za kapłaństwo, a tym samym jest dowodem miłości. W życiu tak już bywa, że im większą wartość chcemy zdobyć, tym większą cenę trzeba zapłacić. Nic też dziwnego,

że za wartość małżeństwa płaci się dziewictwem, za wartość kapłaństwa płaci się małżeństwem.

Celibat nie opiera się na negacji, braku szacunku wobec kobiety czy też pomniejszaniu wartości małżeństwa. Bogu nie ofiarowuje się rzeczy bezużytecznych, ponieważ ofiara nie miałaby żadnego sensu. Kościół domaga się celibatu od swoich ministrów w tym celu, aby mogli poświęcić się służbie płomiennej miłości: miłości Boga względem ludzi i miłości ludzi względem Boga. Celibat nigdy nie był sam w sobie celem, lecz środkiem, warunkiem szerzej pojętej miłości. Czystość, która nie przeistacza się w miłość, staje się jałową i nikomu niepotrzebną.

Należy zauważyć, że u podstaw wszystkich rzeczy znajduje się miłość. W tym zawiera się wezwanie skierowane przez Boga pod adresem człowieka. Realizacja miłości może przybierać różne konkretne formy. Nie można zaprzeczyć, że w małżeństwie realizuje się dialog miłości między osobami, że wyrazem tej miłości jest współżycie małżeńskie, że właśnie ono pogłębia więź duchową między małżonkami. Z drugiej strony należy pamiętać o tym, że życie zna wiele przejść i odcieni, dlatego też w określonych wypadkach rezygnacja z małżeństwa jest także wyrazem miłości. Natomiast pytanie: która miłość jest wyższa — pozbawione jest najmniejszego sensu. Miłość jedno ma imię: pragnienie całkowitego poświęcenia się.

Psycholodzy bardzo słusznie zwracają uwagę na to, iż na płaszczyźnie naturalnej bardzo trudno znaleźć sens w celibacie. Niedocenienie wartości życia seksualnego jest wyrazem patologii. Zdarzają się celibatariusze, którzy próbują przekonać innych, że ich droga życia jest najwartościowsza poprzez dewaluowanie życia seksualnego. Tego rodzaju sztuczne podnoszenie wartości celibatu nie ma najmniejszego sensu. Wszyscy wezwani jesteśmy do miłości.

Nie trzeba dziwić się temu, że niektórzy nie są w stanie zrozumieć sensu celibatu i jego wymiaru religijnego. Dla przyjęcia i zachowania celibatu potrzebne jest zawierzenie Chrystusowi jako Miłości, która jest w stanie skupić na sobie całe oddanie człowieka. Trzeba uwierzyć, że Bóg daje człowiekowi równorzędną szansę wyzwolenia się z egoizmu i realizacji samego siebie. Historia wskazuje, że Kościół dokonał właściwego wyboru.

Na przestrzeni dziejów pisarze kościelni wskazywali różne pozytywne racje, dla których Kościół zaakceptował celibat. Można sprowadzić je zasadniczo do jednej: „specyficzna” forma naśladowania Chrystusa. Chrześcijanie od samego początku uważali umiarkowanie płciowe, a zwłaszcza dobrowolne dziewictwo, za pewną cechę doskonałości. Widziano w tym całkowitą ofiarę uczynioną z siebie Bogu. To prawda, że celibat znany był już przed Chrystusem, ale Kościół podłożył pod ten „znak” inną treść. Z biegiem czasu „znak” ten stawał się coraz bardziej czytelny. Zdajemy sobie wszyscy sprawę z tego, że wskutek grzechu pierwotnego ciało pożąda przeciw duchowi, a ta dysharmonia szczególnie uwydatnia się na odcinku życia seksualnego, dlatego też celibat zachowany przez duchownych w Kościele rzymsko-katolickim ma jakiś sens.

Czystość kapłańska ma wartość odkupiającą. Doświadczenie życia wskazuje, do jakiego upodlenia może doprowadzić rozluźnienie obyczajów. Człowiekowi nie wystarczy seks, z którego robi się nieraz bożka, ale potrzebna jest autentyczna miłość, serdeczna więź, wzajemna troska. Wiadomo, że wartości te realizuje się za cenę największych wyrzeczeń, a nie wszyscy do tego dorastają. Dlatego spotyka się poniżane żony, krzywdzone dzieci, załamane dziewczyny. Kapłan jest tym, który pokutuje, wynagradza i hamuje. Przez tajemnicę świętych obcowania wysługuje szczególne łaski wytrwania dla kuszonych i łaskę dźwignięcia się dla upadłych. W ten sposób ponad powszechnym brudem powstaje prąd czystości, która zbawia świat.

Celibat jest znakiem wolności, która służy. „Bezzenność dla Królestwa” ma nie tylko wymowę znaku eschatologicznego, ale również znaczenie społeczne w życiu i posługiwaniu Ludowi Bożemu. Kapłan, rezygnując z tego rodzicielstwa, które jest udziałem małżonków, staje się w inny sposób „człowiekiem dla drugich”, dzięki czemu może realizować ojcostwo w wymiarze duchowym. Powołanie duszpasterskie kapłana jest uniwersalne i z reguły jest ono związane ze służbą określonej wspólnoty Ludu Bożego, w której każdy czeka na troskę, pamięć, na miłość. Serce kapłana, aby było gotowe do takiej służby — musi być wolne. I taką właśnie wolność daje celibat.

Trzeba podkreślić, że celibat, którego istotę stanowi rezygnacja

z jednej wartości, aby osiągnąć inną wartość, poszerza zakres wolności konkretnego człowieka i daje mu możliwość poświęcenia się braciom w ramach Mistycznego Ciała Chrystusa. Niemniej łączy się z tym pewnego rodzaju ryzyko, że niektórzy nie dorastają do wykorzystania tych możliwości. I to są bolesne dramaty ludzi, którzy się nie sprawdzili, nie wytrzymali wielkiej próby miłości, wycofali swoje zaangażowanie. Łatwiej ich potępić niż zrozumieć...

Kościół od samego początku liczył się z tym ryzykiem, ale patrząc realnie na życie doszedł do wniosku, że więcej argumentów jest „za” niż „przeciw” celibatowi. Każda rezygnacja, jeżeli wypływa z pragnienia osiągnięcia większej wartości, stanowi dla konkretnego człowieka szansę, a nie zagrożenie w jego autorealizacji.

45. „REWOLUCJA SEKSUALNA”

Za naszych dni podejmuje się próby wyzwolenia człowieka ze wszystkich ograniczeń religijnych i moralnych, jakie miały miejsce w dawniejszych czasach. Nowa „ideologia” podważa określone zasady etyczne, traktuje seks jako „rzeczywistość człowieka” i poszukuje nowego stylu życia, który gwarantowałby całkowitą wolność osobie ludzkiej. W tej sytuacji powstaje nowa kultura seksualna, która podważa religijne znaczenie seksu człowieka.

Człowiek, który kieruje się w swoim działaniu wolnością, może oddzielić przyjemność od prokreacji. Wówczas akt seksualny nie jest środkiem intymnej komunikacji między „ja” i „ty”, nie „ucieleśnia” miłości i nie pogłębia wspólnoty duchowej, lecz staje się jedynie źródłem przyjemności. Czyż to nie jest podważanie godności osoby ludzkiej?

Uważam, że seks jest normalnym dobrem konsumpcyjnym tak jak sport czy literatura. Kobieta ma takie samo prawo do satysfakcji seksualnej jak i mężczyzna. Od tego zależy jej równowaga psychiczna. Dziewictwo i wierność małżeńska nie są już

w modzie, ale w końcu to nie są najważniejsze problemy w ludzkim życiu...

Artur, l. 24

Nie stało się to nagle, ponieważ od dłuższego czasu myślałam o tym doświadczeniu, które miały już poza sobą moje koleżanki. Wiele razy opowiadały mi o tym, co potęgowało moją ciekawość. Nie zwracałam uwagi na zaangażowanie uczuciowe i dlatego przyjąłam propozycję chłopca, którego nie darzyłam najmniejszym uczuciem...

Obecnie czuję się pomniejszona, zawiedziona w swoim „odkryciu”, załamana duchowo. Tamtego wieczoru straciłam „coś”, czego już nigdy nie odzyskam. Nie mogę zrozumieć tego, że byłam taka lekkomyślna...

Studentka, l. 21

Udałam się w odwiedzinę do jednej z moich córek, której mąż posiada tytuł naukowy. Któregoś wieczoru zauważyłam, że rodzice wraz z dwoma swoimi córkami (2 i 5 lat) kąpią się całkowicie nago. Zwróciłam im delikatnie uwagę, ale odpowiedzieli mi, że nie mam żadnego pojęcia o współczesnym wychowaniu seksualnym własnych dzieci, które opiera się na naukowych podstawach. Proszę mi odpowiedzieć, mnie czy im pomieszało się w głowie?

Matka, l. 52

Trzeba przyznać, że wiele przyczyn złożyło się na głębokie przemiany, jakie zachodzą na odcinku seksualnego życia współczesnego człowieka. Przemiany te są tak głębokie, radykalne i dynamiczne, że niektórzy mówią wprost o „rewolucji seksualnej”, której celem jest wyzwolenie człowieka z obskurantyzmu minionych wieków. Dzięki środkom masowego przekazu „rewolucja seksualna” przenika do naszego konkretnego życia i podważa tradycyjny kodeks moralny. Erotyzm wywiera głęboki wpływ na kulturę współczesną, która nosi na sobie znamię czasu.

Zadaniem każdej rewolucji jest zburzenie starego porządku.

i wprowadzenie nowego ładu. W tym wypadku chodzi o wyzwolenie człowieka ze wszystkich ograniczeń instytucji, prawa i obyczajów. Wydaje się jednak, że w imię szacunku dla człowieka trudno byłoby zaakceptować wszystkie propozycje, które składają się na „rewolucję seksualną”. Przemiany te muszą być oceniane w kontekście cywilizacji technicznej, która nie bardzo sprzyja wewnętrznemu rozwojowi jednostki. Nic też dziwnego, że człowiek współczesny zatracą zdolność krytycznego myślenia, nie ma odwagi płynąć pod „prąd” i poddaje się naciskowi „opinii” publicznej, którą tworzą ci, mający do dyspozycji środki masowego przekazu.

Wielu uważa, że u podstaw „rewolucji seksualnej” znajduje się sekularyzacja, która wyciska swoje piętno na współczesnym stylu życia. W tej chwili zostaje coraz bardziej rozluźniony kontakt pomiędzy Bogiem i człowiekiem. Człowiek, który zrywa łączność z Bogiem, stara się zrealizować samego siebie poza jakąkolwiek instytucją religijno-kościelną. Nic też dziwnego, że w tej sytuacji pragnie także sferę seksualną ułożyć według własnej woli. Uważa się, że sekularyzacja seksu jest afirmacją człowieka, uznaniem jego autonomii i podkreśleniem odpowiedzialności. W tym kontekście seks traci swój charakter religijny i staje się rzeczywistością ludzką, która nie musi liczyć się z przykazaniami Bożymi.

Wynikiem sekularyzacji seksu jest nowa etyka seksualna, której zasady zostały wyraźnie sformułowane.

1. Wszystkie nakazy i zakazy mają sens jedynie ze względu na człowieka. Człowiek nie musi rezygnować ze szczęścia ze względu na zachowanie zasad.

2. Wszyscy ludzie mają prawo do szczęścia. Prawo do satysfakcji seksualnej jest częścią tego fundamentalnego prawa osoby ludzkiej, które z natury przysługuje każdemu człowiekowi.

3. Moralność musi służyć szczęściu ludzkiemu. Jeżeli jakieś zasady uniemożliwiają osiągnięcie celu — tracą ważność i sens.

4. Seks umożliwia osiągnięcie szczęścia, dlatego powinien być wyzwoleniem, radością i spełnieniem życia.

Nietrudno zauważyć, że jest to hedonizm w najczystszej formie, która uważa przyjemność za najcenniejszą wartość w życiu ludzkim.

Faktem jest, iż w przeszłości nie zawsze umiano doceniać wartość seksu, który jest także wezwaniem Bożym skierowanym pod adresem konkretnego człowieka. Niektórzy uważają, że przyjemność seksualna z natury swej jest czymś złym, zepsutym i niegodnym chrześcijanina. Nie jest to jednak opinia zgodna z Biblią, która wyraźnie podkreśla, że realizacja wartości seksualnych odpowiada zamierzeniom Bożym. Zasadniczy błąd minionych wieków polega na tym, że w ludzkiej płciowości dostrzegano jedynie wymiar fizyczny i na pierwszym miejscu postawiono prokreację, która „usprawiedliwiała” działanie seksualne.

Niektórzy twierdzą, że kobiety współczesne „odkryły” swoje prawo do zadowolenia seksualnego, że w tym wypadku chcą mieć równe prawa z mężczyznami, że pragną żyć na własną odpowiedzialność. Oczywiście, że bardzo słusznie podkreśla się dzisiaj osobistą odpowiedzialność każdego człowieka za swoje życie seksualne, docenia się jego wolność i szanuje dokonany wybór. Życie seksualne w małżeństwie, jeżeli prowadzone jest z poszanowaniem chrześcijańskich zasad etycznych, nigdy nie było czymś złym z natury. W imię szacunku dla kobiety mężczyzna musi liczyć się z jej odrębnością fizyczną i psychiczną, aby i dla niej akt małżeński był miłosnym spotkaniem, intymnym kontaktem z „ty”, a nie przykrym spełnieniem obowiązku małżeńskiego.

Trzeba przyznać, że współczesna „rewolucja seksualna”, chociaż opiera się na różnych ideologiach, zawiera w sobie wiele aspektów pozytywnych. Przede wszystkim spowodowało to, że została przezwyciężona ignorancja seksualna. Rozwój nauk antropologicznych (biologia, filozofia, psychologia, socjologia) ukazał w nowym świetle seksualność człowieka. Seksuologia nie jest już tabu, wiedzą zakazaną czy też dziedziną naznaczoną grzechem. Słusznie podkreśla się dzisiaj, że rzeczywistość seksualna została również stworzona przez Boga i jako taka jest dobra i święta, tylko że człowiek nie zawsze potrafi zrobić właściwy użytek z tej rzeczywistości.

Pozytywnym aspektem „rewolucji seksualnej” jest docenianie przyjemności seksualnej, którą kiedyś uważano za „zło konieczne”. A przecież zdolność do przeżywania tej przyjemności jest również wspaniałym darem Boga, i jako taka ma swój udział w integralnym rozwoju człowieka. Trzeba tylko pamiętać o tym,

że przyjemność nie może stać się absolutem, gdyż wówczas zagraża integralnemu rozwojowi człowieka. Przyjemność seksualna nigdy nie może stać się celem sama w sobie, lecz zawsze ma być środkiem potęgującym wzajemną miłość i pogłębiającym wewnętrzną wspólnotę małżonków.

Innym pozytywnym aspektem jest interioryzacja prawa. Znaczy to, że podstawowym prawem, na którym opiera się cała moralność seksualna, jest wewnętrzny rozwój człowieka, dojrzewanie, wzrost. Każde zachowanie czy działalność seksualna, które hamuje wewnętrzny rozwój człowieka, musi być ocenione negatywnie. To podstawowe prawo znajduje się we wnętrzu człowieka.

„Rewolucja seksualna” przyczyniła się do tego, że zaczęto traktować seksualność jako działanie osoby, która pragnie nawiązać kontakt z drugą osobą ludzką na płaszczyźnie miłości. Personalizm współczesny podkreśla wymiar duchowy i uczuciowy w ludzkiej realizacji możliwości seksualnych, a to oznacza, że jedynie miłość „usprawiedliwia” działanie seksualne. Konsekwentnie uważa się, że także akt małżeński może być kontra-naturze, jeżeli nie będzie podjęty w imię miłości. Odkrycie wymiaru personalistycznego dowartościowało miłość, która jest zasadniczą potrzebą osoby ludzkiej. Istnieje jednak niebezpieczeństwo oddzielenia prokreacji od miłości, niedoceniańcia społecznego charakteru małżeństwa i przeakcentowania spontaniczności. Nie można zapomnieć o tym, że miłość między mężczyzną i kobietą z natury swej nastawiona jest na dziecko.

Trzeba jednak podkreślić, że „rewolucja seksualna” niesie ze sobą również niebezpieczeństwa: nieład moralny, postawienie na psychologię przyjemności, nerwice. Zasadniczym błędem „rewolucji seksualnej” jest domaganie się całkowitej wolności, prywatyzacja życia seksualnego w oparciu o osobistą odpowiedzialność człowieka oraz akceptacja seksu w jego naturalnej czystości, spontaniczności i prymitywizmie. Każda wolność w odniesieniu do życia seksualnego człowieka musi liczyć się z uwarunkowaniami fizjologicznymi, psychologicznymi i społecznymi. Realizacja możliwości seksualnych ma swoje reperkusje i jest swoistego rodzaju służbą wobec wspólnoty. Nakazy, zakazy i ograniczenia na odcinku życia seksualnego nie stanowią niewoli dla człowie-

ka, lecz stoją na straży jego osobistej godności. Wolność instynktów nie oznacza jeszcze wolności człowieka.

Niesłuszny jest pogląd, który utożsamia szczęście osobiste z zadowoleniem seksualnym. Slogan o „szczęściu seksualnym” brzmi w naszej rzeczywistości fałszywie, ponieważ społeczeństwo techniczne bardziej interesuje się wzbudzaniem potrzeb, niż ich zaspokojeniem. W naszych czasach zauważamy pewnego rodzaju „manipulację” człowiekiem, czego wyrazem jest „przemoc” psychiczna stosowana przy przemocy środków masowego przekazu, by człowiek zaakceptował te modele, cele i ideały, które mu się proponuje.

Profanacją ludzkiej godności jest „seks konsumpcyjny”, który widzi w kobiecie źródło wszelkiej przyjemności i spycha ją do roli użytecznego przedmiotu. Wartość kobiety zależy od wartości jej ciała. Ma to swoje zastosowanie w reklamie handlowej, gdzie wykorzystuje się bodźce erotyczne.

Doświadczenie historyczne wykazuje, że głębokie przemiany na odcinku życia seksualnego determinowane są przemianami społeczno-kulturalnymi i ściśle związane są z ewolucją określonych społeczeństw. Seksualne zachowanie się człowieka zależy od pojęcia, jakie ma on o sobie samym, od hierarchii wartości, którą świadomie zaakceptował, od poziomu społeczeństwa, w którym żyje. Nie znaczy to jednak, że każde przewartościowanie dotychczasowych wartości jest moralnie usprawiedliwione. Człowiek musi zawsze postępować w zgodzie z własnym sumieniem.

46. EROTYZM

Eksplozja erotyczna, która wyciska swoje piętno na naszej cywilizacji, przyczyniła się do demistyfikacji, umiędzynarodowienia i wulgaryzacji fenomenu. Współczesny erotyzm praktyczny nie ma nic wspólnego z miłością. Po niższej cenie sprzedaje się romantyzm, uczucia, sentymenty. Zauważono, że współczesne dziewczyny rozbierają się coraz częściej i coraz chętniej. Wykorzystują to różnego rodzaju „spece” od reklamy handlowej. Erotyzm wystawiony na pokaz pobudza instynkt, prowokuje pragnienia,

ekspłoduje ludzkie namiętności. Czyżby życie miało stać się nieprzerwanym świętem ciał!

Nie wiem dlaczego, ale mam ogromne „powodzenie” u dziewcząt. Codziennie otrzymuję wiele listów od koleżanek z klasy, które zwierają się, że tracą głowę z mego powodu. Bawi mnie to bardzo.

Muszę powiedzieć, że „wykorzystuję” nadarzające się okazje, aby nie uchodzić za „kretyna” w ich oczach, ale nie daje mi to wewnętrznego zadowolenia. W sercu pozostaje smutek, gorzyc i ból. Zdaję sobie sprawę z tego, że postępuję niewłaściwie, ale nie mam odwagi, aby płynąć pod prąd...

Kai, l. 19

Uważam, że kobiety mają równe prawa z mężczyznami w dziedzinie życia seksualnego. Przyznaję, że podejmuję współzycie z różnymi mężczyznami, ponieważ dostarcza mi to zadowolenia, radości, szczęścia. Nie zwracam specjalnie uwagi na mężczyznę, ponieważ niewiele się liczy dla mnie. Być może jestem dziwną dziewczyną, ale w każdym akcie seksualnym poszukuję czegoś, co znajduje się blisko mnie, chociaż nie potrafię nazwać tego po imieniu. To jest przeżycie, którego nie można wyrazić przy pomocy słów...

Realistka, l. 24

Dzisiaj zarzuca się młodzieży, że źle postępuje, nie szanuje samej siebie, odrzuca wartości akceptowane przez pokolenia. Nie podzielam tej opinii, sądów i zarzutów. Wydaje mi się, że młodzież współczesna jest bardzo szczerą, autentyczną i prostolinijną. W czasach mojej młodości podobne rzeczy się zdarzały. Bądźmy szczerzy!

W tej chwili mam 70 lat. Nigdy nie byłam mężatką, ale od dawna nie jestem dziewicą. W trzynastym roku życia miałam już chłopca. Dziewczęta były zawsze kokietkami, a chłopcy bardzo przedsiębiorczy. Tylko że w moich czasach było więcej hipokryzji...

Jedna z nich...

Erotyzm jest zjawiskiem wyłącznie ludzkim. Istotę jego stanowi poszukiwanie przyjemności seksualnej w odłączeniu od prokreacji. W erotyzmie szuka się przyjemności osobistej poprzez przyjemność sprawioną drugiemu. Trzeba przyznać, że każda kultura i cywilizacja ma „swoje” formy erotyczne.

Człowiek, jako istota obdarzona inteligencją i wyobraźnią twórczą, może „oddzielić” przyjemność seksualną od funkcji przekazywania życia i poszukiwanie przyjemności może stać się głównym celem działania seksualnego. Wówczas mamy do czynienia z etyką hedonistyczną, która przyjmuje zasadę, że człowiek ma prawo robić to, co mu sprawia przyjemność, jeżeli przez to nie wyrządza krzywdy drugiemu człowiekowi. Zasada ta nie jest w pełni akceptowana na gruncie etyki katolickiej, która nie uznaje przyjemności za najwyższą wartość w życiu ludzkim. Pewne obiektywne wartości muszą być realizowane niezależnie od tego, czy sprawiają przyjemność, czy też wymagają wiele wyrzeczeń, poświęceń i rezygnacji. Dla człowieka religijnego najwyższą wartość przedstawia Bóg.

Płciowość ludzka umożliwia najbardziej intymne spotkanie między „ja” i „ty” na poziomie całkowitego i wyłącznego oddania się. Należy zaznaczyć, iż na tym poziomie osoby ludzkie zobowiązane są do wymiany wartości. Wyrazem tego ma być akt seksualny. Kontakt seksualny jest wyrazem spotkania się „ja” i „ty” na wszystkich trzech poziomach: fizycznym, psychicznym i osobowym. Bez kontaktu na płaszczyźnie osobowej, gdzie następuje spotkanie w miłości, nie ma mowy o dialogu, wymianie wartości, ludzkiej realizacji możliwości seksualnej.

Należy zauważyć, że ludzka płciowość nie ogranicza się do rozrodczości. Celem rozrodczości jest związek fizyczny, który kończy się w orgazmie. W tym momencie zostaje spełniony cel biologiczny instynktu seksualnego. W ten sposób działają zwierzęta, ale nie jest to zgodne z duchową naturą człowieka. Człowiek pragnie nawiązać duchowy kontakt z osobą płci odmienną, który prowadzi do szczęścia bycia razem „we dwoje”. Na płaszczyźnie duchowej łączy ludzi miłość, a nie możliwość sprawiania sobie wzajemnie przyjemności.

Oczywiście, że dialog miłości nie przekreśla przyjemności seksualnej, która towarzyszy tego rodzaju spotkaniom. Przyjemność

ta nie została nigdzie „potępiona” w Piśmie św. Człowiek nie jest aniołem, dlatego też musi liczyć się z ludzkimi uwarunkowaniami, które są zdeterminowane jego naturą cielesno-duchową. Jeżeli akt seksualny nie daje radości, zadowolenia z wzajemnego oddania się, to znaczy, że nie jest wyrazem miłości. Ciało nie oznacza jedynie „odrębności płci”, lecz przede wszystkim intymny kontakt między „ja” i „ty”.

Pragnienie przeżycia przyjemności seksualnej, która towarzyszy kontaktowi cielesnemu, wcale nie jest czymś złym z natury czy też niegodnym człowieka. Musi ono być jednak podporządkowane miłości łączącej mężczyznę i kobietę, ponieważ w przeciwnym wypadku podważa osobistą godność osoby ludzkiej, która bezpośrednio pochodzi od Boga. Ma to miejsce jedynie w małżeństwie, gdzie kontakt seksualny jest środkiem komunikacji, wyrazem miłości i „totalnym” spotkaniem z drugim człowiekiem.

Z natury jesteśmy „nastawieni” na osobę płci odmiennej. Każdy normalnie rozwinięty człowiek odczuwa potrzeby seksualne. Co więcej: w każdej prawdziwej miłości zawarte jest wzajemne pożądanie się dwóch osób. Problem zaczyna się w momencie, kiedy erotyzm zostaje odłączony od miłości i staje się celem w sobie. Wówczas nie wychodzi się poza poszukiwanie przyjemności seksualnych, duch zostaje podporządkowany ciału, człowiek zostaje zepchnięty do roli podmiotu. Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo współczesnego erotyzmu, że w sztuczny sposób prowokuje się pragnienia seksualne w człowieku, które nie mogą być w pełni zaspokojone.

W erotyzmie nigdy nie dochodzi do intymnego spotkania „ja” i „ty”, ponieważ zwraca się uwagę jedynie na przyjemność, którą „ty” musisz sprowokować w jakikolwiek sposób. Dlatego uważa się wielką „pomysłowość” w kontaktach seksualnych na płaszczyźnie erotycznej, różnorodność podniet i perwersje. Partnerom erotycznym wystarczy ciało.

Erotyzm jest doświadczeniem przyjemności „we dwoje”. Nie jest on jednak dialogiem, w którym następuje wzajemne oddanie się osób, lecz przybiera formę „monologu”, gdzie każdy szuka własnej przyjemności, a partnera ceni jedynie ze względu na jej dostarczenie. Obydwie osoby traktują się jak przedmioty, które po „zużyciu” można zamienić na inne. Erotyzm, jako po-

szukiwanie własnej przyjemności w drugim człowieku, nastawiony jest na wykorzystanie partnera, w którym widzi się „narzędzie” mojej woli, wzmocnienie mego „szału”, „przedmiot” dostarczający przyjemności seksualnej.

Erotyzm jako taki nie istnieje poza człowiekiem. Realizuje go konkretna osoba ludzka, która żyje własną przyjemnością, własnym seksem, własnymi wyobrażeniami. Co więcej: nie ma erotyzmu bez pewnego poziomu inteligencji, twórczej wyobraźni i pewnego rozwoju kulturalnego. I tu powstaje zasadniczy problem: w jakim kierunku powinien pójść rozwój ludzkich możliwości twórczych? Erotyzm jest pytaniem zwróconym ku wolności i wszystkie możliwości stoją przed nim otworem. Może być zwrócony w kierunku jedności, osobowego spotkania, wzajemnej komunikacji, a może być także zwrócony ku uprzedmiotowieniu człowieka, prowokacji ludzkich namiętności i dyshumanizacji.

Zasadniczą rolę w poszukiwaniu przyjemności seksualnej odgrywa wyobraźnia. Poszukiwanie to przybiera w niej różne formy: fantazja, symbole, oczekiwania. Na zewnątrz wyraża się poprzez słowa, gesty, sztukę. W miłości ludzie akceptują się takimi, jakimi są naprawdę, natomiast w erotyzmie rzutuje się na partnera własne wyobrażenia o nim, które nigdy nie są zgodne z rzeczywistością. Dlatego też kontakty erotyczne nie wytrzymują ogniowej próby czasu.

Erotyzm, jako forma indywidualnych działań seksualnych, znany jest od najdawniejszych czasów. Wspomina o nim Biblia: Zuzanna i starcy, Dawid i Batszabe, Salome i Herod. Obok erotyzmu indywidualnego istnieje erotyzm środowiska, który w imię różnych racji prowokuje ludzkie pragnienia, pożądania i namiętności. Współczesna „eksplozja erotyczna” polega przede wszystkim na erotyzacji środowiska. W tym celu wykorzystuje się środki masowego przekazu: film, telewizję, radio, prasę. Najczęściej pokazuje się w sposób „artystyczny” głupotę i wulgaryzm, który podnieca i prowokuje do namiętności, a nie apeluje do inteligencji człowieka. Nie ulega wątpliwości, że ma to swoje reperkusje w życiu indywidualnym i społecznym. Jak daleko można pójść w tym kierunku?

W tej chwili mówi się bardzo dużo na temat wyzwolenia czło-

wieka ze wszystkich ograniczeń, podkreśla się jego autonomię i prawo do decydowania o samym sobie. Niektórzy upatrują w erotyzmie współczesnym przewyżczenie faryzeizmu, konwencji i hipokryzji. Należy jednak zauważyć, że człowiek jest istotą cielesno-duchową i dlatego erotyzm, jako poszukiwanie własnej przyjemności w drugiej osobie, jest pseudowyzwoleniem. W kontaktach erotycznych rezygnuje się ze sztuki miłości na rzecz instryktażu, kupna, „techniki”.

Życie wykazuje, że istnieją ścisłe związki między współczesną erotyzacją i mentalnością konsumpcyjną. Wyrazem obniżenia się ludzkiej wrażliwości jest wykorzystanie podniet seksualnych w reklamie handlowej. W tym celu wykorzystuje się ciało kobiece, które jest tylko „tłem” dla reklamowanego przedmiotu. Najczęściej nawet ciało jest podzielone na „części”, które skupiają na sobie całą uwagę widzów: biust, nogi, wyzywające pozycje. Oczywiście, że nikt w tych wypadkach nie myśli o „czystej kontemplacji kobiecego ciała”.

Trudno nie zauważyć, że w każdym z nas tkwi pragnienie intymności, które jest pewnego rodzaju samoobroną przed otoczeniem. Człowiek nie wystawia swego życia całkowicie na pastwę jawności. Ludzka godność domaga się, aby nasze sprawy intymne nie w każdej formie przeznaczone były do publicznej wiadomości. Płeć, jako odniesienie się człowieka do człowieka, należy do intymnej sfery osoby ludzkiej. Każdy radykalny wyłom przestaje się liczyć z naturą człowieka. Erotyzm jest pewnego rodzaju zdradą intymności. Przeciw pustym sercom i samotności proponuje zjednoczenie cielesne.

Wydaje mi się, że za ten stan rzeczy jesteśmy wszyscy odpowiedzialni. Oni nie mogą żyć bez nas. Jesteśmy im potrzebni, aby mogli podnieść nogę czy obnażyć ciało. Publiczność się na to godzi. My widzowie, jesteśmy pierwszym elementem współczesnego bezwstydu.

47. ZŁAMANIE WIerności

Nowoczesne społeczeństwa przyjęły zasadę, że w niektórych sytuacjach można rozwiązać związek małżeński, który wcześniej

został uznany za istniejący na płaszczyźnie prawnej. Zakłada się, że w określonych sytuacjach jest to jedyny sposób rozwiązania ludzkich dramatów.

Kościół katolicki opierając się na słowach Chrystusa zawsze podkreślał, że małżeństwo sakramentalne z natury jest zobowiązaniem się mężczyzny i kobiety do wierności małżeńskiej. Zobowiązanie to dotyczy całego życia. W tym wypadku nie chodzi o obronę teoretycznych zasad, lecz o obronę wartości, które zasady te reprezentują.

Mam czworo dzieci, z których jestem dumna. Poświęciłam się im bez reszty i oni w pełni to doceniają. Niemniej poniosłam osobistą klęskę w życiu. Od 4 lat jestem rozwiedziona z mężem. Odszedł ode mnie, ponieważ nie jestem w stanie już nic więcej mu dać. Znalazł sobie inną kobietę...

Nie chciałam zgodzić się na rozwód. Robiłam wszystko, aby ocalić nasze małżeństwo. Zależało mi przede wszystkim na dzieciach. Mąż jednak, który zachował wszystkie kaprysy jedynaka, przyzwyczajony był do tego, aby wszystko mieć dla siebie. Nie poczuwał się do żadnej odpowiedzialności za rodzinę...

Skrzywdzona, l. 34

Niewiele otrzymałam od życia. Mam jeszcze dwie młodsze siostry, które przeżywają głębszą depresję niż ja. Mam 18 lat i czuję się „skończona” w życiu z powodu moich rodziców, którzy nie stanęli na wysokości zadania. Zawsze wzajemnie się przeklinali, kłócili i wypominali sobie błędy przeszłości. W końcu każde z nich poszło w swoją stronę. Na nas nie zwrócili uwagi. Czy w tym celu zawiera się związek małżeński?

Maryla, l. 18

Modliłam się wiele, aby Bóg ocalił nasze małżeństwo, które zostało zawarte z miłości. Przez wiele lat było nam dobrze ze sobą, ale to już przeszłość, która nigdy nie powróci. Kilka lat temu mój mąż nawiązał romans z żoną naszego przyjaciela. Miałam ciągle nadzieję, że to minie. Niestety przyjaciel nasz zmarł, a mój mąż wystąpił o rozwód ze mną, ponieważ tamta kobieta jest już

wolna. Po latach wierności małżeńskiej zostałam odrzucona jak zużyty przedmiot...

Zrozpaczona, l. 42

Istotę rozwodu stanowi prawne rozwiązanie związku małżeńskiego, który został zawarty wobec kompetentnej władzy i uznany przez nią jako rzeczywiście istniejący. Rozwód umożliwia obu partnerom zawarcie związku małżeńskiego z drugą osobą. Przyczyny, które usprawiedliwiają rozwiązanie związku małżeńskiego, określone są przez prawo. Przepisy prawne zależą od uwarunkowań społecznych, filozoficznych i religijnych konkretnej społeczności.

Rozwód, jako rozejście się małżonków wraz z możliwością powtórnego zawarcia związku małżeńskiego z inną osobą, znany jest od najdawniejszych czasów. W Starym Testamencie znane były „listy rozwodowe”, na co zwrócono Chrystusowi uwagę podczas słynnej dyskusji z faryzeuszami na temat moralności małżeńskiej. Należy jednak zaznaczyć, że w przeszłości decydowały przede wszystkim względy natury społecznej, a kobieta była zawsze w trudniejszej sytuacji.

Chrystus przywrócił małżeństwu pierwotną godność i nierozzerwalność. Powiedział wyraźnie, że związek mężczyzny z kobietą, który znajduje się u podstaw przekazywania życia, z natury jest nierozzerwalny. Taki był pierwotny zamiar Stwórcy, ale z biegiem czasu człowiek sprzeniewierzył się temu postanowieniu. Chrystus zabezpieczył nierozzerwalność małżeństwa na przyszłość przez to, że podniósł je do godności Sakramentu. Z tego powodu w Kościele katolickim nie ma rozwodów. W sytuacjach kryzysowych dopuszczalna jest separacja małżeńska, ale nie daje ona prawa do powtórnego zawarcia Sakramentu Małżeństwa z drugą osobą.

Należy zauważyć, że istnieje zasadnicza różnica między chrześcijańską i laicką koncepcją małżeństwa. W pierwszym wypadku mówimy o związku sakramentalnym, który jest znakiem miłości Chrystusa do Kościoła, w drugim natomiast wypadku chodzi o związek małżeński, który zawarty jest według przepisów prawa. Prawo cywilne zaakceptowało laicką koncepcję małżeństwa. Na-

leży zaznaczyć, że Sakrament Małżeństwa dotyczy jedynie ludzi ochrzczonych, czyli chrześcijan.

Trzeba przyznać, że w każdym wypadku rozwód jest tragedią ludzką, dowodem niedorastania do określonych zadań, sprzeniewierzeniem się miłości. Człowiek nie sprawdza się po prostu na określonym odcinku życia. Każde rozejście się małżonków, nawet jeżeli zostaną zachowane przepisy prawa, jest profanacją intymnego kontaktu między „ja” i „ty”, złamaniem wierności małżeńskiej, złem, które ktoś będzie musiał wyrównać. Najczęściej za rozwód rodziców płacą dzieci. Trudno w takich wypadkach mówić o wewnętrznej odpowiedzialności za drugiego człowieka.

Na płaszczyźnie naturalnej małżeństwo jest układem optymalnym, który umożliwia konkretnej osobie ludzkiej zrealizować siebie w „ty”. Człowiek jest istotą „skazaną” na innych. Potrzebujemy innych, abyśmy mogli cokolwiek poznać, przeżyć i osiągnąć. Naznaczenie płcią „nastawia” na siebie dwie osoby płci przeciwnej. Płciowość podporządkowana jest w człowieku tej rzeczywistości, którą nazywamy miłością. Miłość oznacza pragnienie uszczęśliwienia drugiego, poświęcenia się do ostatecznych granic, zrozumienie, służbę. Ze względu na naturę człowieka miłość między mężczyzną i kobietą pragnie wyrazić się w „języku ciała”, co dokonuje się poprzez akt seksualny. Miłość jako rzeczywistość wyłącznie ludzka zależy od woli, a to z kolei pociąga za sobą odpowiedzialność za drugiego człowieka. Nie ma miłości bez wzajemnego zobowiązania się, poszanowania ludzkiego dostojęstwa w drugim człowieku, zaakceptowania go z „ciałem” i „duszą”.

Drugi moment: małżonkowie z chwilą powołania dziecka do istnienia, stają się „my” w stosunku do „ty”. Powstaje tym samym wspólnota rodzinna, która zobowiązuje rodziców wobec dzieci. Dziecko, które od pierwszego momentu swego istnienia jest nierozzerwalnie związane z matką i ojcem, potrzebuje ich miłości, aby mogło spokojnie dojrzeć do pełni człowieczeństwa. Potrzebuje miłości rodziców nie tylko w stosunku do siebie, ale również miłości między sobą. Ze względu na dziecko małżonkowie nie mogą nie kochać się. Zadaniem małżonków jest nie tylko zrodzenie dziecka, lecz także wychowanie go. Rodzice wychowują nie tylko przez to, co mówią, ale przez to, jak żyją, jak odnoszą się wzajemnie do siebie, jaką miłość realizują w codzien-

nych kontaktach ze sobą. Nic też dziwnego, że w tej sytuacji rozejście się rodziców jest krzywdą wyrządzoną dziecku.

Okazuje się, że na płaszczyźnie naturalnej istnieją wystarczająco silne argumenty, które przemawiają za nierozzerwalnością małżeństwa. Rozwód podważa godność osoby ludzkiej, profanuje wierność małżeńską, wyrządza krzywdę dziecku. Niemniej chrześcijanie nie poprzestają na płaszczyźnie naturalnej. W Kościele katolickim małżeństwo jest Sakramentem, czyli znakiem miłości Chrystusa do Kościoła. Fakt ten ma decydujące znaczenie dla nierozzerwalności sakramentalnego związku małżeńskiego. Chrześcijanie ślubują sobie wzajemnie miłość w obliczu Boga. Z chwilą zawarcia Sakramentu Małżeństwa powstaje religijny obowiązek dochowania nienaruszonej wierności.

Sakrament Małżeństwa z natury swej jest nierozzerwalny i wyklucza możliwość rozwodu, który dawałby prawo do powtórnego zawarcia małżeństwa w Kościele katolickim. W tym wypadku nie chodzi o teoretyczne zasady doktrynalne, ale o wartość, którą chce się obronić. Wartością tą jest wierność małżeńska. Z tego też powodu problem rozwodów to nie problem możliwości rozejścia się małżonków, ale przede wszystkim obowiązek dochowania wierności małżeńskiej.

Małżeństwo jest wspólnotą osobową, która opiera się na miłości. Miłość pociąga za sobą zobowiązanie się wobec współmałżonka i odpowiedzialność za niego. Podstawowym warunkiem trwania wspólnoty ludzkiej jest wierność. Każdy z nas buduje swoją przyszłość na zaufaniu do drugiego człowieka. Wierność jest kategorycznym imperatywem człowieczeństwa. W dochowaniu wierności stajemy się w pełni ludźmi. Zawieść czyjeś zaufanie, zdradzić człowieka, pozostawić go bezbronny wobec rozwydrzenia świata, to znaczy pozbawić go nadziei, która jest nicią łączącą człowieka z życiem. Każda niewierność jest pewnego rodzaju zabójstwem, zbrodnią, grzechem, który Dante karze umieszczeniem w najniższym kręgu piekła. Wierność małżeńska wyklucza płaską dyplomację, kompromis, uniki: jeden mąż i jedna żona — oboje sobie wierni być muszą. Każde rozejście się małżonków poprzedzone jest złamaniem wierności wobec drugiego człowieka. Rozwód to tylko „urzędowe” stwierdzenie, że „umarła” miłość między mężczyzną i kobietą, którą kiedyś wzajemnie sobie ślubowali

i nic już ich nie łączy. Ale i w takich wypadkach trudno przyznać komuś prawo do zdrady przyjaciela. Etyka katolicka nie przyznaje takiego prawa żadnemu małżonkowi.

Małżeństwo opiera się na wolnym wyborze dwóch osób ślubujących sobie wzajemnie miłość, wierność i uczciwość małżeńską aż do śmierci. Nie można dawać obietnic, których nie myśli się realizować. Z chwilą zawarcia związku małżeńskiego mężczyzna i kobieta zobowiązani są do wspólnego życia i obowiązków dochowania wierności „wyprzedza” prawo do rozejścia się. Musimy jednak pogodzić się z faktem, że w ludzkiej rzeczywistości zawsze znajdują się tacy, którzy nie dorastają do podjętych zadań. W sytuacji kryzysowej, kiedy jeden z partnerów zawodzi pokładane w nim nadzieje i nie dorasta do realizacji zobowiązań małżeńskich, Kościół zezwala na separację, czyli zwalnia z obowiązku wspólnego życia. Między separacją a rozwodem jest istotna różnica. Rozwód oznacza rozwiązanie ważnie zawartego związku małżeńskiego, separacja natomiast oznacza zwolnienie z obowiązku wspólnego życia. Należy zaznaczyć, że separacja nie daje prawa do powtórnego związku małżeńskiego.

W Kościele katolickim małżeństwo jest Sakramentem. Sakramentalny związek małżeński z natury swej jest nierozzerwalny. Niemniej, aby małżonkowie mogli wzajemnie udzielić sobie Sakramentu Małżeństwa, muszą być spełnione pewne określone przez Kościół warunki. Niespełnienie warunków, które określa prawo kanoniczne, powoduje, że małżeństwo od samego początku jest nieważne. Zdarza się niekiedy, że kompetentne władze kościelne stwierdzają nieważność związku małżeńskiego. Nie jest to rozwód w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale orzeczenie, iż małżeństwo od samego początku jest nieważne, a to zmienia postać rzeczy: między mężczyzną i kobietą nigdy nie zaistniał sakramentalny związek małżeński.

Nasza cywilizacja nie bardzo sprzyja wierności małżeńskiej i dlatego potrzeba ogromnej dojrzałości osobowej, wyrobienia religijnego i poczucia odpowiedzialności za drugiego człowieka, aby nie „płynąć z prądem”. Na płaszczyźnie moralnej nie można sprowadzać problemu rozwodów do problemu ludzkiej wolności i prawa decydowania o sobie. Nie ma wolności bez poczucia wewnętrznej odpowiedzialności. Człowiek ma nie tylko pewne pra-

wa, ale ma także określone obowiązki. Z podstawowym prawem osoby ludzkiej do zawarcia małżeństwa związany jest obowiązek dochowania wierności małżeńskiej, która stanowi podstawę wszelkiej więzi.

Kościół stara się obronić tę wartość w imię godności osoby ludzkiej i w imię miłości.

48. NIE ZABIJAJ

Nie ulega żadnej wątpliwości, że przerywanie ciąży stało się w naszych czasach niepokojącym i dramatycznym zjawiskiem społecznym. Jeszcze nie tak dawno uważano, że spędzenie płodu jest zabójstwem i nikt go nie zaaprobuje, dzisiaj natomiast coraz więcej krajów niezależnie od systemów politycznych, tradycji kulturalnych i religijnych idzie w kierunku legalizacji przerywania ciąży. Jakkolwiek podnoszą się głosy sprzeciwu ze strony niektórych lekarzy, polityków i działaczy społecznych, to jednak w końcu rządowy projekt ustawy „przechodzi” w parlamencie. Czy liberalizacja prawa odnośnie przerywania ciąży rozwiązuje jeden z najdelikatniejszych problemów moralnych?

- 1.05... Dzisiaj, w wyniku miłości moich rodziców, zostałem powołany do życia.
- 15.05... Ukształowały się moje arterie i ciało rośnie bardzo szybko.
- 19.05... Mam już usta.
- 21.05... Moje serce zaczyna bić. Kto wątpi w to, że ja żyję?
- 22.05... Nie rozumiem, dlaczego moja matka nie spostrzegła jeszcze tego.
- 28.05... Zaczynają rosnać moje ręce i nogi.
- 8.06... Na moich dłoniach ukazały się palce. To świetnie! Wkrótce będę mógł nimi wszystko chwytać.
- 15.06... W dniu dzisiejszym po raz pierwszy moja matka poczuła, że jestem w niej. Ucieszyłem się bardzo z tego powodu.
- 20.06... Obecnie jest już pewne, że jestem dziewczynką.
- 24.06... Wszystkie moje organa są już ukształtowane. Mogą doświadczać bólu.

- 6.07... Wyrastają mi włosy i brwi. Z każdym dniem staję się piękniejsza.
- 8.07... Moje oczy są już na właściwym miejscu, chociaż powieki jeszcze się nie zamykają. Wkrótce będę widziała wszystko: całe piękno świata, a przede wszystkim moją ukochaną mamę, która jeszcze nosi mnie w sobie.
- 19.07... Moje serce bije cudownie. Czuję się bardzo pewna pod sercem mamy i szczęśliwa.
- 20.07... Dzisiaj zabiła mnie moja matka...

(dr Schaetzing)

Sztuczne poronienie jest to zamierzone usunięcie z łona matki żywego dziecka, niezdolnego jeszcze do życia poza jej organizmem. Świat współczesny zebrał w tak zwanych „wskazaniach” powody, które „doradzają” i „usprawiedliwiają” przerywanie ciąży.

— wskazania eugeniczne — gdy spodziewamy się chorego lub słabego potomstwa;

— wskazania etyczne — gdy dziecko poczęte jest na drodze wiarołomstwa lub gwałtu;

— wskazania społeczne — gdy dziecko staje się ciężarem społecznym lub ekonomicznym;

— wskazania medyczne — gdy poród zagraża życiu matki.

Z biologicznego punktu widzenia nie ma najmniejszej wątpliwości, że przerywanie ciąży jest zniszczeniem ludzkiego życia. Psychologicznie rzecz biorąc, większość kobiet i dziewcząt „czuje”, że jest to zabójstwo i po wielu latach odczuwa konsekwencje psychiczne tego aktu oraz wyrzuty sumienia. Zdrada macierzyństwa, która jest tym samym gwałtem zadany własnej kobiecości, pozostawia głębokie ślady w psychice kobiety.

Niezależnie od tych zastrzeżeń, przerywanie ciąży było i jest przedmiotem kontrowersji ze stanowiska etycznego. Już na gruncie etyki laickiej moralna ocena sztucznego poronienia nastrocza wiele trudności. Zwolennicy tej etyki przyznają, że przerywanie ciąży jest niełatwym wyborem między mniejszym i większym złem. Na płaszczyźnie moralnej dostrzega się cały osobisty dramat kobiety, ponieważ żadna niewiasta nie dokonuje tego „zabiegu” z upodobaniem.

Nie ulega wątpliwości, że przerywanie ciąży jest przede wszystkim problemem ludzkim i problem ten musi być rozwiązany w aspekcie moralnym — zasadniczym aspekcie działania ludzkiego. Odrzucenie moralności jest zdradą człowieczeństwa. Zdaje sobie sprawę z tego, że z problemem przerywania ciąży łączy się wiele problemów personalnych i socjalnych, niemniej są pewne wartości moralne, które musimy przyjąć bez dyskusji. Do nich przede wszystkim należy wartość ludzkiego życia. Rozwiązanie problemu przerywania ciąży wymaga największej odpowiedzialności i poszanowania zasad etycznych.

Stanowisko Kościoła wobec problemu przerywania ciąży jest zawsze takie samo: zabójstwo niewinnego dziecka. Na gruncie moralności katolickiej nie ma żadnego wypadku, który usprawiedliwiłby przerywanie ciąży. Nawet jeżeli poród zagraża życiu matki, co obecnie bardzo rzadko się zdarza. Życie, które rodzi życie, jest zawsze zwycięstwem nad śmiercią. Przygoda ludzka wymaga odwagi. W końcu nie jest to jedyny wypadek, kiedy za życie trzeba zapłacić życiem. W tym wypadku Kościół odrzuca zasadę, że z dwojga złego należy wybrać mniejsze zło, ponieważ nie wolno czynić zła, aby osiągnąć dobro.

Kościół wychodzi z założenia, iż życie ludzkie pochodzi od Boga i jako takie naznaczone jest świętością i miłością. Niezniszczalność ludzkiego życia od pierwszej chwili poczęcia jest wyrazem poszanowania specyficznej godności osoby ludzkiej. Misja przekazywania życia, którą Stwórca powierzył człowiekowi, musi być realizowana w poczuciu odpowiedzialności przed Bogiem i z poszanowaniem zasad etycznych.

Zasada obrony życia od pierwszej chwili poczęcia jest logicznym wnioskiem wyprowadzonym z przykazania: Nie zabijaj! Prawo do życia jest jednym z niezbywalnych praw osoby ludzkiej. Ponieważ Bóg jest jedynym Panem życia i śmierci, dlatego Kościół nie może zaaprobować kradzieży życia nienarodzonym. Fakt, że współczesne społeczeństwa legalizują przerywanie ciąży, w niczym nie pomniejsza moralnej odpowiedzialności konkretnego człowieka przed Bogiem, ponieważ każdy z nas żyje na własny rachunek. W tym konkretnym wypadku, metoda postawienia Kościoła wobec „faktu” dokonanego nie odniesie żadnego skutku. To zdecydowane „nie” broni ludzkiej godności i sprawdza ludzką

miłość, której istotę stanowi poświęcenie się dla innej osoby.

Zwróć uwagę na fakt, że w naszych czasach moralność walczy z prawem, które zajmuje bardziej liberalną postawę wobec problemu przerywania ciąży. Prawo wprowadza po prostu umowne rozróżnienie między zabójstwem i interrupcją, czego nie może zaakceptować etyka katolicka. I jeszcze jeden moment: prawo nie uwalnia od konfliktu sumienia.

Państwo, wydając ustawę o dopuszczalności przerywania ciąży, kieruje się różnymi motywami i interesami. Najczęściej mówi się, że liberalizacja prawa eliminuje niebezpieczeństwo, które stwarza dla życia matki sztuczne poronienie w „ukryciu”; że w pewnym sensie przyczynia się do rozwijania trudnych problemów demograficznych; że jest wyrazem emancypacji kobiet. Oczywiście, że jest to motywacja jaskrawo utylitarna, a nawet nietrudno przypisać jej cechy oportunistu i okrucieństwa. Na jakiej zasadzie ustalono, że dopiero od 3 miesiąca ciąży dziecko w łonie matki ma prawo do życia? Czyżby wcześniej było ono „wyłącznym” produktem procesu biologicznego? Czyż nie jest ono od samego początku owocem ludzkiej miłości?

W ostatnim czasie niektóre ruchy feministyczne zaczęły upatrywać w możliwości dokonania abortu „wyraz” wyzwolenia kobiety. Na transparentach feministek pojawiły się slogany: O naszym ciele chcemy decydować my. Jest to jakieś wielkie nieporozumienie. Przecież tu nie chodzi o „prawo do dysponowania własnym ciałem”, lecz o prawo do życia niewinnej istoty. Jak to się dzieje, że kochające żony i czule matki dochodzą w pewnym momencie do tego punktu, iż eliminują owoc swej miłości? Czyż to nie jest dowód kryzysu kobiety i macierzyństwa?

Kobieta z natury swej jest matką i w głębi swego jestestwa pragnie służyć życiu. Dziecko, dlatego że jest bezsilne i zależne od matki, powinno cieszyć się szczególną jej opieką i troską. Bóg, powierzając życie dziecka kobiecie, wezwał ją tym samym do największego altruizmu, do całkowitego poświęcenia się, do istnienia dla „innych”. Zdolność do bezgranicznego poświęcenia się dla innych uzasadnia wyjątkową godność kobiety. Jeżeli współczesne matki kradną życie własnym dzieciom, jak długo będziemy uważali miłość macierzyńską za najwyższy stopień miłości w ogóle?

Współczesne kobiety zaczęły nagle upatrywać w sztucznym po-

ronieniu sposób rozstrzygnięcia życiowych perypetii. Usuwanie ciąży stało się zjawiskiem masowym, pospolitym procederem, „naturalnym” stylem bycia. Większość kobiet podejmuje te dramatyczne decyzje w imię życiowego wygodnictwa bez jakiegokolwiek poczucia winy. Czyżby bardziej pokochały śmierć niż życie?

Wielkość kobiety i godność mężczyzny uzasadnia ich bezinteresowną służbę wobec życia. Małżeństwo ma być źródłem życia, a nie śmierci. Powinni pamiętać o tym przede wszystkim ci, którzy w Sakramencie Małżeństwa podjęli służbę życiu. Każdorazowo zabicie dziecka w łonie matki jest wystąpieniem przeciwko naturze kobiety, wypowiedzeniem wierności Bogu, przekreśleniem prawdziwej miłości, raną zadaną Mistycznemu Ciału Chrystusa. Czyż miłość może rodzić śmierć?

Musimy w końcu powiedzieć sobie prawdę w oczy: legalizacja przerywania ciąży jest wyrazem głębokiego kryzysu macierzyństwa i kobiety, którą dzisiaj wolimy widzieć w roli kochanki niż matki. Stanowisko Kościoła wobec problemu przerywania ciąży nigdy nie ulegnie zmianie. Jest to wyraz konsekwentnego humanizmu opartego na prawie Bożym. Musi się zmienić mentalność współczesnego człowieka. Każdy chrześcijanin, który występuje przeciwko przerywaniu ciąży, sprawdza swoją wiarę, świadczy o prawdzie i dobru, staje w obronie macierzyństwa, okazuje swoją siłę moralną.

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jest łatwo stosować w całej rozciągłości chrześcijańskiej zasady przekazywania życia. Wiem także i o tym, że konkretna matka staje nieraz wobec dramatycznych wyborów. Niemniej człowiek sprawdza się w trudnych sytuacjach. Chrześcijanie liczą na pomoc Łaski Bożej, która wspiera i umacnia dobrą wolę człowieka, ponieważ „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” — w Jezusie Chrystusie.

49. ANTYKONCEPCJA

Człowiek, jako istota rozumna, może oddzielić przyjemność seksualną od prokreacji. Współczesna nauka dała człowiekowi do dyspozycji cały szereg różnego rodzaju środków antykoncepcyj-

nych, które uniemożliwiają poczęcie dziecka. Antykoncepcję uważa się za postępek seksualny twierdząc, że jest ona normalnym obowiązkiem w utrzymaniu równowagi małżeńskiej.

Antykoncepcja jako taka nie powinna w ogóle budzić zastrzeżeń natury etycznej — przeciwnie — jest ona z pewnością pożądana z uwagi na to, że ogranicza rozmiary etycznie kontrowersyjnego problemu interupcji. Niezależnie od tego antykoncepcja ogranicza, oczywiście przypadkowe i indywidualne, gestacje oraz ich złe skutki, a dalej liczbę ciąż, których mnogość wywiera niekorzystny wpływ na zdrowie kobiet. Oczywiście i ważne jest równocześnie to, że antykoncepcja może ograniczyć eksplozywny wzrost przyrostu naturalnego, obserwowany szczególnie w krajach słabo rozwiniętych.

dr Julian Godlewski

Wielkie rozpowszechnienie się antykoncepcji w ostatnich latach przekonało mnie, że antykoncepcja bardziej niż nieświadomość przeszkadza w odzyskaniu przez miłość jej wartości i że ją jako główną przeszkodę należy przewyciężyć.

Wszystko, co dzieli małżeństwo w trakcie aktu, sprzeciwia się miłości. Odnosi się to także do mechanicznych środków antykoncepcyjnych, które odbierają godność stosunkowi, a w skutkach są niepewne.

dr Paul Chauchard

Odrzucić również należy wszelkie działanie, które — bądź to w przewidywaniu zbliżenia małżeńskiego, bądź podczas jego spełnienia, czy w rozwoju jego naturalnych skutków — miałyby za cel uniemożliwienie poczęcia lub prowadziłyby do tego.

Encyklika „Humanae vitae”

Antykoncepcja jest to zamierzone przez człowieka działanie na układ rozrodczy, mające na celu uniemożliwienie poczęcia nowego życia. Istnieje wiele metod i środków antykoncepcyjnych.

Z moralnego punktu widzenia należy dostrzec różnicę między

przerywaniem ciąży a stosowaniem środków antykoncepcyjnych. W antykoncepcji jest egoizm, w sztucznym poronieniu — zbrodnia; środki antykoncepcyjne sprzeciwiają się prawom natury, przerywanie ciąży natomiast niszczy życie ludzkie, które ma w sobie coś świętego, ponieważ pochodzi od Boga. Nic też dziwnego, że inaczej ocenia się pod względem moralnym przerywanie ciąży a inaczej stosowanie środków antykoncepcyjnych.

Faktem jest, że praktyki zapobiegające poczęciu nowego życia istniały zawsze. Wystarczy wspomnieć biblijnego Onana. Niemniej we współczesnej propagandzie antykoncepcyjnej nie chodzi już o pomoc w trudnościach, lecz o systematyczne dostarczanie małżeństwom środków antykoncepcyjnych jako rzeczy normalnej.

Wiele przyczyn złożyło się na to, że obecnie antykoncepcja stała się dramatycznym problemem moralnym i zagraża nie tylko człowiekowi w jego rozwoju osobowym, lecz także stanowi niebezpieczeństwo dla konkretnych społeczności i narodów. Najważniejsze przyczyny to: eksplozja demograficzna, neomaltuzjańska koncepcja planowania rodziny, pogłębiająca się mentalność antykoncepcyjna, propaganda antykoncepcyjna, traktowanie seksu jako wartości autonomicznej, zanik szacunku dla życia jako wspaniałego daru Boga, wzmagające się poczucie odpowiedzialnego rodzicielstwa.

Kościół potępia sztuczne środki antykoncepcyjne w imię prawa natury. Każdy czyn przeciwny prawu naturalnemu jest przeciwny myśli Bożej i narusza transcendentną godność osoby ludzkiej. Bóg, stwarzając naturę ludzką, wyznaczył jej pewne konkretne cele do osiągnięcia. Struktura ludzkiej natury i jej poszczególne władze są tak „ustawione”, że cel zostanie osiągnięty, gdy działanie człowieka będzie przebiegać poprzez określone etapy. Człowiek, jako zależny w swoim działaniu od Boga, nie może dysponować swoją naturą według własnej woli. Antykoncepcja, jako celowe zakłócenie działania zdrowego organizmu, podważa prawo natury, które Bóg najmądrzej ustanowił dla dobra człowieka. Jest ona próbą „poprawiania” Stwórcy.

Akt seksualny jest zawsze związkiem między dwiema osobami, stosunkiem najbardziej intymnym, a więc najbardziej niebezpiecznym, jeżeli nie jest poprawny. Równowaga spotkania sek-

sualnego może być tylko wtedy zachowana, jeżeli obie strony uznają swoje równe prawa i swoją osobowość. W stosunku seksualnym dwóch osób musi być oddanie się wzajemne i wzajemne przyjęcie, a nie egoistyczne posiadanie. Każdy stosunek miłosny między mężczyzną i kobietą jest stosunkiem ciała i duszy w obecności Boga. Jest to najgłębszy duchowy związek, jaki może powstać między dwiema istotami. Nic też dziwnego, że środki antykoncepcyjne, które zwalniają mężczyznę z odpowiedzialności za współżycie seksualne, utrwalają egoizm w małżeństwie, sprowadzają kobietę do roli narzędzia zaspokojenia popędu seksualnego mężczyzny, sprzeciwiają się zarówno miłości małżeńskiej, jak i godności ludzkiej. Zwrócił na to uwagę papież Paweł VI w encyklice *Humanae vitae* pisząc: „Należy również obawiać się i tego, że mężczyźni, przyzwyczajawszy się do stosowania praktyk antykoncepcyjnych, tracą szacunek dla kobiet, sprowadzając je do roli narzędzia, służącego zaspokojeniu swojej egoistycznej żądzy, a w konsekwencji przestaną je uważać za godne szacunku i miłości towarzyszkę życia”.

Osoba ludzka w świetle światopoglądu religijnego jest powołana do rozwoju i doskonalenia się moralnego. Dlatego w sferze popędów rozwój nie polega na najpełniejszym ich zaspokojeniu, lecz na świadomym kierowaniu nimi i integrowaniu ich w całość swego życia moralnego. Natomiast u podstaw antykoncepcji leży nieumiarkowanie, nieopanowane szukanie przyjemności seksualnej. Jeśli nie da się wyizolować duchowości od tego, co fizyczne, to trzeba się zgodzić z tym, że duchowość wyciska znamię swojej godności także na procesach biologicznych człowieka. Domagają się one od nas zachowania pewnego dystansu nacechowanego szacunkiem. Antykoncepcja, jako działanie pozbawione względu na dobro drugiego człowieka, w szczególniejszy sposób sprawdza męski egoizm. Dlatego walka z nią polega na wychowaniu człowieka do opanowania i odpowiedzialności za swoje postępowanie i do otwarcia się na wielkie wartości ludzkie: miłość, wolność, szacunek dla drugiej osoby, troskę o dobro drugiego.

Miłość do osoby ludzkiej przejawia się zarówno w aktach czynnej zyczliwości, w dialogu, w uzasadnianiu wspólnych celów, w uczuciu, a w małżeństwie — także w aktach seksualnych, pod warunkiem, że akty te są spełniane w sposób odpowiadający

godności osoby ludzkiej i obiektywnym kryteriom określonym przez fizyczno-duchową naturę człowieka. Dlatego miłość małżeńska może przejawiać się tak w akcie płodnym, jak w normalnym akcie niepłodnym, jak i powstrzymywaniu się niekiedy od tego aktu. Antykoncepcja, która niesie ze sobą wiele głębszego nienasyceńca, podważa podstawowe wartości natury człowieka, przesłania optykę transcendentną, desakralizuje małżeństwo i rodzinę, powoduje kryzys stałości małżeństwa i wzrost rozwodów.

Antykoncepcja powoduje pewną deformację instynktu rodzicielskiego człowieka do tego stopnia, że może to nawet zagrażać biologicznemu *status quo* danej społeczności. Tendencje egoistyczne zaczynają stopniowo dominować nad instynktem samozachowawczym biologicznego zachowania gatunku. Kultura, która dba jedynie o zachowanie wysokiej stopy życiowej i kładzie główny nacisk na zdobycze techniczne, macierzyństwo natomiast uważa za pech życiowy i fakt godny współczucia, taka kultura ulega degeneracji. Koniecznym atrybutem prawdziwej kultury jest społeczny szacunek dla macierzyństwa i ojcostwa.

Środki antykoncepcyjne obarczają odpowiedzialnością za kontrolę urodzeń przede wszystkim kobietę, mężczyzna natomiast zostaje całkowicie zwolniony od odpowiedzialności za stosunki seksualne. Można wątpić, czy taka formacja charakterologiczna mężczyzny jest najbardziej pożądana w naszym czasie.

Środki antykoncepcyjne przyczyniają się do upowszechnienia stosunków seksualnych przedmałżeńskich i pozamałżeńskich. Taka swoboda seksualna może przeradzać się w anarchię seksualną, która przynosi szkody prawdziwej miłości między kobietą a mężczyzną, przyczynia się do erotyzacji kultury i sprzyja kształtowaniu się konsumpcyjnej postawy życiowej.

Zwolennicy antykoncepcji uważali, że obroni ona ludzką miłość, ochroni kobietę przed lękiem macierzyństwa i związanymi z nim trudnościami, stworzy dla dzieci wygodny świat i rozumne środowisko, wyzwoli ludzi od obskurantyzmu, wszelkiej tajemnicy i wiary, by na ich miejsce postawić realizm społecznego przewidywania i praktyczne planowanie oraz zmniejszy liczbę sztucznych poronień. Okazało się jednak, że dała ona wulgaryzację praktyk i mentalności, zwiększyła liczbę poronień wskutek zawodności stosowanych środków, spowodowała wzrost bezwsty-

du i wyuzdania seksualnego przez fakt, że funkcje seksualne odłączono od celów prokreacyjnych i sprowadzono je do gry erotycznej. Następuje dewirilizacja mężczyzn i defeminizacja kobiet. Dobrowolna sterylizacja instynktu macierzyńskiego, tak bardzo wrodzona każdej kobiecie, zrodziła wrogość przeciw życiu i jego wczesnym przejawom: ciąży, macierzyństwu, niemowlętom i małym dzieciom. Antykoncepcja przyczyniła się do wzrostu oziębłości seksualnej, zwłaszcza u kobiet, spowodowała rezygnację rodziców z zadań wychowawczych oraz obniżyła zdrowie duchowe. I dziwna rzecz: coraz powszechniej stosuje się środki antykoncepcyjne i coraz więcej kryzysów małżeńskich. A przecież antykoncepcja miała być wyrazem postępu.